

BENTE PEDERSEN

Pożegnanie

Róża znad fiordów 13

1

Żal odbiera mi mowę. Ból dusi słowa. To uczucie wokół mnie rozbrzmiewa tak głośno, że mnie ogłusza. Jest wszędzie. We wszystkim. Wdycham je. Rozsadza mi piersi, krąży we krwi, płynie przeze mnie wzburzoną falą, która paraliżuje mi członki. Wypuszczanie powietrza boli. Gardło mam ściśnięte. Wierzę, że jego imię przynosi ulgę. Wargi mi krwawią, kiedy go wołam.

Nie przychodzi...

Przyzywam go niemym krzykiem:

- Seamus!

Nie wierzyłam, że może istnieć ból większy niż ten, który czułam, gdy straciłam Synneve. Nie przypuszczałam, że w ogóle istnieje. Chciałabym tego nie wiedzieć. Moje ciało jest ociążałe od jego dziecka. Po głowie chodzą mi myśli, które powinny być zabronione. Dobrze, że brak mi głosu, by przekazać je dalej.

Zamieniłabym to dziecko na niego.

Gdyby to zależało ode mnie, wybrałabym jego.

Lepiej więc chyba, że żaden człowiek nie ma mocy podejmowania takich decyzji. Wiele byłoby podobnych strasznych wyborów. Boję się samej siebie, swoich uczuć i myśli, a przede wszystkim tej jednej, obsesyjnej, którą stale obracam w głowie.

Czy mogłabym dokonać wyboru, gdybym postanowiła wykorzystać to, czym być może zostałam obdarzona?

Wybrałabym jego.

Czy właśnie dlatego wątpię w swoje zdolności?

Ponieważ także ja rozumiem, że taki wybór byłby zły?

Seamus był wszystkim, co miałam. Nie ma już cienia pod dębami. Światło dzienne dociera do mnie również tutaj. Docierają do mnie ich spojrzenia. Ból jeszcze mnie nie oślepił. Widzę je. Widzę, że zerkają na mnie i rozmawiają. Chociaż ich nie słyszę, wiem, co mówią. Moje wargi formują jego imię, zlizują ciepłą krew.

- Z początku przyjęła to tak dobrze. Właściwie lekko! Tak rozsądnie...

Jenny westchnęła, zerkając w stronę dębów. Roza siedziała w swoim zwykłym miejscu, nogi miała okryte pledem, ręce na kolanach. Dłonie spoczywały na pledzie białe i puste. Tkwiła tak samo milcząca jak w ostatnich tygodniach. Deidre, żona Adama, przewróciła oczami.

- Ty jesteś tutaj tylko od czasu do czasu, Jenny. My na to patrzymy co dzień. Wszyscy bardzo na nią uważają. Wszyscy krążą wokół niej jak ćmy wokół świecy. Fiona również straciła Petera. Ale Fiona nie zachowuje się jak wariatka!

- Ty z kolei nie masz do czynienia z Fioną na co dzień - skwitowała Jenny. Przeszedł ją dreszcz. Mimowolnie wzięła Rozę w obronę.

Deidre posłała jej zdziwione spojrzenie.

- Chciałabym, żebyśmy wyjechali natychmiast. Już jutro. Żałuję, że wyjazd został odłożony...

Jenny westchnęła.

- Dobrze wiesz, że Junior nie chce narażać Colleen na żadne niebezpieczeństwo. Pragnie, by dziecko urodziło się tutaj. Nowa Zelandia z pewnością leży na wschód od wybrzeży Australii już od dawna. Wyspy nie zapadną się w morze tylko dlatego, że o rok opóźnicie wyjazd.

- Przez ten czas tyle może się zdarzyć! - westchnęła Deidre.

- Adam może się rozmyślić? - spytała Jenny, uśmiechając się leciutko.

- Adam na pewno się nie rozmyśli - z niezłomnym przekonaniem oświadczyła Deidre.

A nawet gdyby tak się stało, już ona zatroszczy się o to, by mimo wszystko wyjechali. Jeśli Adama strach obleci, ona będzie wiedziała, jak go przywołać do porządku. Nie zamierzała milczeć, gdyby tylko zaczął wykazywać jakiegokolwiek oznaki chęci pozostania w Georgii czy w ogóle w Ameryce.

- Może Junior zmieni zdanie - rzuciła Jenny w powietrze.

Wciąż było ciepło, wręcz gorąco. Nagły powrót upalnych dni jesienią nazywano tu *Indian summer*.

- Co masz na myśli? - spytała Deidre ostro.

- Dziecko - odpowiedziała Jenny. - Kiedy dziecko się urodzi, on może zmienić pogląd na życie. Juniorowi może być trudno zrezygnować z plantacji. Porzucić wszystko, co mu się należy jako najstarszemu synowi. Co ma przypaść jego synowi. Rezygnacja ze spadku po ojcu w swoim własnym imieniu to jedno,

lecz kiedy robisz to również w imieniu własnego dziecka, taka decyzja ma zupełnie inny wymiar... Możliwe, że ty i Adam będziecie musieli jechać sami.

- No to pojedziemy! - oświadczyła Deidre, z dumą prostując plecy. Jej przejrzyste oczy błyszczały niczym szlachetne kamienie w blasku tysiąca migotliwych płomieni. - Pojedziemy sami. Już poprzednio zdarzyło nam się porzucić więcej. - Odetchnęła głęboko. - Poza tym wydaje mi się, że się mylisz, Jenny. Oni wybiorą się z nami. Colleen i Junior też wyjadą. Nie sądzisz, że on również ma ochotę stać się kimś innym niż tylko Juniorem? Nie uważasz, że chciałby, aby kiedyś mówiono o nim jak o tym, kim naprawdę jest? Tak jak o Jaredzie. Nie tylko jak o synu swego ojca, nie jak o marnym naśladownictwie wielkiego Jareda Jordana, nie jak o Juniorze. Wydaje mi się, że on po to wyjeżdża. Tutaj nigdy tego nie osiągnie. I sądzę, że nie chce takiego losu również dla swego syna.

- Może urodzi się córka - stwierdziła Jenny bez troski. - To by wiele uprościło, prawda?

- My w każdym razie wyjeżdżamy - oświadczyła Deidre z mocą. W jej słowach było tyle samo żaru co w powietrzu, którym oddychały.

Jenny popatrzyła na szwagierkę i stwierdziła, że lato wryło w umyśle Deidre głębokie ślady. Wprawdzie wyglądało na to, że wszyscy jakoś sobie radzą, ale śmierć najpierw Petera, a później Seamusa, zmieniła każdego członka rodziny. Stracili coś ze swej niewinności, a blask Nowego Świata trochę spełzł. Jenny wiedziała, że teraz najślabi się poddadzą.

- My zostajemy - powiedziała. - Joe i ja. Zostaje-

my. Będziemy teraz żyć tak, jak zechcemy. Nie licząc się ze zdaniem innych.

- Ponieważ Seamusa już nie ma? - padło z ust Deidre. Słowom towarzyszył leciuteńki uśmieszek.

Odgarnęła jasny lok z czoła, a pełne wargi lekko się wygięły. Dłonie miała szczupłe, wręcz kruche, lecz ich wnętrza także u niej były czerwone, trochę szorstkie. Również ona miała krótkie, popękane paznokcie, tak samo jak Jenny. Znalazły się daleko od Irlandii, ale od przeszłości nie dało się uciec. Zdradzały ją czerwone dłonie. Z Colleen było podobnie. Mogły siedzieć jak królowe w swoich wspaniałych domach, ale nie urodziły się po to, by wieść leniwe życie, pełne haftów i jedwabnych sukni.

- Nigdy nie pozwoliłabym Seamusowi sterować moim życiem - oświadczyła Jenny.

Deidre żałowała, że nikt inny oprócz niej nie słyszy, jak Jenny to mówi. Zawładnęła nią jedna uporczywa myśl: musi jakimś sposobem doprowadzić do tego, aby Jenny powtórzyła swoje słowa w obecności innych. Może by się wtedy zdziwili. Może zadawaliby pytania. Prędzej czy później ktoś by zaczął.

Deidre sądziła, że ich wtedy już tu nie będzie. Wierzyła, że dawno już zaczną nowe życie tak daleko za morzem, że żadne ewentualne podejrzenia już ich nie osiągną, nie osiągną Adama, nie zniszczą im wszystkiego.

Nie przyjechali tak daleko jedynie po to, by wszystko stracić.

Jenny była taka szczerą, otwartą. Mówiła, zanim pomyślała. Jej gniew dawało się rozpaścić. Podsycić strach. Jenny bała się, że straci Joego. Żadnych in-

nych powodów do lęku u Jenny Deidre nie potrafiła znaleźć. Tylko Joe był jej słabym punktem. Deidre uśmiechnęła się do siebie.

- Duchy nie mogą nikomu niczego zepsuć, Jenny. Ale dochody nie są już takie same. Wyjazd Breandana i Eamonna z rodzinami na zachód pomógł zaledwie na chwilę. Jest nas za dużo, Jenny. I są też wśród nas tacy, którzy tak naprawdę wcale do nas nie należą.

- Może to dlatego Adam chce zabrać Rosi do Nowej Zelandii? - spytała Jenny.

Deidre nie żywiła żadnych podejrzeń wobec Adama. Był zbyt mocno do niej przywiązany. Wiedziała, że nie straci go dla Rosi. Z bratową wiązało męża Deidre coś w rodzaju poczucia obowiązku. Adam jako mały chłopiec zbyt wiele czasu spędził na mamrotaniu *Ave Maria*, podczas gdy chłopięce palce przesuwały się po paciorkach różańca. Jako najmłodszy z dzieci został zbyt dobrze wychowany. Adam miał sumienie.

- Nie wierzę, że ona z nami pojedzie - stwierdziła Deidre ze spokojem i pewnością w głosie. - Może to raczej ty powinnaś się martwić, Jenny. Joseph poświęca mnóstwo czasu na nakłanianie jej do pozostania. Na mówienie, że dość już się napodróżowała. Że jesteście jej rodziną. Że O'Connorowie są jej coś winni.

Jenny za wszelką cenę starała się to ukryć, lecz szczęki napinały jej się natychmiast, gdy tylko ktoś wspomniał o Joem w związku z innymi kobietami. Dostrzegła teraz chytry błysk w spojrzeniu Deidre i w głębi ducha wiedziała, że szwagierka najprawdopodobniej z niej żartuje. Właściwie Jenny była tego pewna. Dlaczego Joe - który miał przecież ją - miałby zerkać łasym oczkiem na wdowę po bracie?

Deidre lubiła żartować i drwić. Uderzała w najczulszy punkt. Świetnie dostrzegała słabostki innych ludzi. O wiele lepiej niż inni wiedziała, jak ważny dla Jenny jest Joe. Jenny nie zapomniała, że Deidre była kiedyś jej najlepszą przyjaciółką. Dzieliły się ze sobą rozmaitymi myślami. To na pewno tylko żart.

Rosi była brzemienna. Rosi wyglądała jak wyładowany po brzegi wóz w drodze na targ. Miała oszpeconą twarz. No i była wdową po Seamusie. Nawet gdyby Jenny o tym zapomniała, Joe będzie pamiętał o tym fakcie zawsze. Seamus był dla Joego bratem, przyjacielem i ojcem. Prawie bogiem.

- Jeżeli Rosi postanowi zostać z nami, to ma do tego pełne prawo - powiedziała Jenny. - Ale nie mogę uwolnić się od myśli, że na pewno będzie chciała wrócić do swoich. Przecież musi kogoś mieć, prawda? Jakaś rodzinę. Kogoś, kto ma w żyłach tę samą krew. Na ślubie dostaje się tylko nazwisko.

- Zamierzasz ją nakłonić do powrotu do Norwegii?

Jenny wzruszyła ramionami i wstała z ławki przed domem. Wieczór był równie ciepły jak dzień. Noc również będzie lepka i gorąca. Wolnym krokiem ruszyła w stronę dębów.

- Ona nie może siedzieć na dworze do rana - rzuciła jeszcze przez ramię gwoli wyjaśnienia.

Deidre wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co powiedzieć. Tym razem się pogubiła. Ale przyjdą jeszcze inne chwile. Jenny nabierze wątpliwości i nastąpią dni, kiedy wyrwie jej się coś bez zastanowienia. Kiedy wypluje z siebie gorycz, niepewność i zazdrość - bo taka właśnie była Jenny. Znały się przez całe życie. Deidre znała Jenny równie dobrze jak samą siebie.

Jenny została panią na Rose Garden, ale wszyscy wiedzieli, dla kogo przeznaczona była plantacja. Wszyscy wiedzieli również, jak małe ma to znaczenie dla Rosi. Jenny takich rzeczy nie rozumiała.

Deidre zdawała sobie sprawę, że zniszczy coś, czego nigdy już nie da się naprawić, ale nawet ta świadomość jej nie powstrzymywała. Ona i Adam i tak stąd wyjadą. Georgia nie jest dla nich. W dodatku starała się chronić Adama. Nikt nigdy nie może go o nic podejrzewać.

... Czają się w zasadzce. Jest noc. Nie widzę tego, ja to po prostu wiem.

Może byłam w mocy ich ostrzec. Może mogłam odmienić tę chwilę. Ale gardło mam ściśnięte i suche, a wargi mi krwawią, gdy próbuję je otworzyć, uformować nimi słowa. Nie można się ode mnie spodziewać żadnej pomocy.

Widzę wszystko, widzę, jak to się dzieje, a te obrazy pieką mnie w oczy, szczypią mocniej niż mydło i łzy. Nie jestem w stanie krzyknąć. To wszystkie moje koszmary jednocześnie. Ten, w którym biegnę, nie mogąc oderwać nóg od ziemi. I ten, w którym spadam i spadam bez końca. Ten, w którym krzyczę, a pomiędzy moich warg nie wydobywa się żaden dźwięk.

Słyszę to. Słyszę uderzenie. Może to się nazywa inaczej. To coś więcej niż atak z zasadzki. Nie wiem, jak nazywają taką akcję podczas wojny. Tak mało wiem o wojnach. To strzały w ciemności. To szczęk stali, szczęk noży, bagnetów.

To odgłosy dobywające się z gardeł, które po tej akcji mają zamilknąć na zawsze. Krzyk urwany tak

nagle, jakby ktoś przeciął go nożem. To dźwięki, których nie rozumiem. Odgłosy, których nie chcę rozpoznawać.

Czuję zapach prochu, dymu i błota. Czuję zapach krwi, słodkawy wpełza w moją świadomość. Czuję swąd palonego ciała.

Czuję, jak to strasznie piecze. Ale to nie mój ból. Ja tylko patrzę. Może sens tego jest taki, że powinnam kogoś ostrzec, ale nikt mnie nie słucha. Wiem, że nie potrafię tego powstrzymać. To nieszczęście musi się wydarzyć.

W porannej mgłę odnajduję martwe ciało Joego. Jest w szarym mundurze. Poznają go, chociaż leży twarzą w błocie. Obracam go i czuję, że ciało jest sztywne. Noc była zimna. On nie żyje od wielu godzin. Strzelono do niego od tyłu. Kurtka na plecach jest czerwona i czarna. 2 przodu czerwona. Ktoś poderżnął mu również gardło. Twarz ma białą, lecz nie jest to biel śniegu. Ma żółtawy odcień, ten, który towarzyszy śmierci. Jest jak wosk.

Przesuwam palcami przez jego ciemne włosy i wiem, że nie da się zamknąć mu oczu. Będą dalej szklanym spojrzeniem wpatrywać się w wieczność. Będą gapić się w ciemność grobu, do którego go złożą.

Przynajmniej usta ma zamknięte...

Upadł tak, że szczęki się nie rozsunęły. Wygląda, jakby w śmierci się uśmiechał. Jest starszy. O wiele starszy niż teraz, niż kiedy go znam.

Pamiętam go...

Obracam go na plecy. Jest taki lekki. Układam go tak, żeby poznali go ci, którzy przyjdą tu szukać swoich bliskich. Będą wiedzieć, kim on jest. On nie

może spocząć w bezimiennym grobie. Musi leć w ziemi, która należy do niego, w ziemi O'Connorów. Dla Irlandczyków to takie ważne. Ziemia. Jest dla nich bogiem.

Kładę go tak, aby szklane oczy patrzyły w niebo i słońce. Słyszę też ludzi, którzy go znajdują. Ptaki nie wydziobią Joemu oczu.

Koniuszkami palców wodzę po jego wargach, po tym uśmiechu, z którym wyszedł na spotkanie śmierci, i wiem, że nie cierpiał. Przynajmniej nie długo. Pod tym względem wojny są niezwykle sumienne. Zabili go dwa razy. Zastrzelili go i poderżnęli mu gardło. Jest starszy, niż go pamiętam, ale daleko mu do starości. Wygląda na to, że O'Connorom trudno się zestarzeć. Żyją bardzo prędko.

- Powinieneś być stąd wyjechać - szepczę do niego. - Powinieneś być opuścić ten kraj. Szkoda, że mnie nie słuchałeś. Zawsze się śmiałeś, kiedy mówiłam, że twoja krew użyźni ziemię w południowych stanach. Zanosiłes się tym swoim głośnym śmiechem, wrywającym się głęboko z gardła. Mogłeś stąd wyjechać i żyć...

- Jako pacholek w Irlandii? - pyta Joe, ale jego głos nie płynie wcale z martwego ciała leżącego przede mną. Ten głos jest gdzie indziej. Może w mojej głowie. Może mogłabym się odwrócić i zobaczyć go żywego, roześmianego, zaledwie o krok ode mnie. Może wystarczyłoby, bym wyciągnęła ręce i dotknęła go, poczuła ciepłą, żywą skórę.

- W Nowej Zelandii - odpowiadam, zdziwiona, że wciąż jeszcze pamiętam tę nazwę, że jestem w stanie wymówić ją w taki sposób, aby on zrozumiał.

Rozumiem, że upłynęło wiele lat...

- Musiałem zostać - mówi. - Musiałem zostać i poddać się przeznaczeniu, Rosi. Taki los był mi pisany. Moje życie ułożyło się tak, jak zostało mi przeznaczone. Tak samo śmierć. Nie chciałem przed nią uciekać. Przecież ją znałem. Opowiadałaś mi o niej dostatecznie często. Nie pamiętasz, Rosi? Zapomniałaś, jak opowiadałaś mi o moim końcu, żeby mnie wystraszyć, żeby nakłonić mnie do opuszczenia Rose Garden? Zawsze sądziłaś, że ci nie wierzę. Ale ja ci wierzyłem. Wierzyłem za każdym razem, gdy malowałaś przede mną te obrazy. Tylko po prostu nie umiałem uciec przed tym, co mi przeznaczone. Mój los należał do mnie tak samo jak wszystko inne, co posiadałem. To nie jest piękna śmierć. Ale też i na to nie liczyłem. Nie była dla mnie żadnym zaskoczeniem. Nie widzisz, że się z niej śmieję? To ty nauczyłaś mnie, jak wyjść na spotkanie śmierci ze śmiechem, Rosi.

To niezwykle podziękowanie. Nie mam siły mu odpowiadać. Jak zwykle pod wesołością, którą zawsze mi prezentuje, kryje się cień rozsądku.

- Cieszę się, że tu przyszłaś - mówi. - Cieszę się, że dotrzymałaś obietnicy i zechciałaś się ze mną spotkać. Że zgodziłaś się odprowadzić mnie do domu.

Odwracam się.

... widzę, że on się do mnie uśmiecha...

- Nie możesz tu dłużej siedzieć, Rosi.

Roza potrzebowała czasu na otwarcie oczu. Nie była pewna, czy to sen, czy jawa. Nigdy nie wiedziała, czy wizje ukazują jej się na jawie, czy też należą do snu. Wszystko w niej protestowało przed nazywa-

niem ich snami. Chciała wierzyć, że jest przytomna.

Rozpoznała kroki Jenny. Były takie lekkie, miały w sobie elegancję. Nie mogła sobie przypomnieć, czy Jenny tak samo się poruszała, zanim opuściła Irlandię. Roza ledwie ją tam znała. Miała zresztą wówczas inne sprawy na głowie niż wsłuchiwanie się w odgłos kroków żony Joego.

- Martwimy się o ciebie - powiedziała Jenny z uśmiechem.

Roza w odpowiedzi też się uśmiechnęła. Nie miała pewności, czy ta druga kobieta jest w stanie rozpoznać u niej swój własny fałsz. Jenny nie była głupia. Najprawdopodobniej zauważyła wszystko i wiedziała, co to znaczy. Była jednak zbyt mądra, by ten układ jakkolwiek skomentować.

Jenny jedną dłoń wsunęła Rozie pod krzyż, drugą ujęła ją mocno za rękę. Roza pozwoliła się podnieść z ławki. Ciepły pled upadł na ziemię, lecz gdy tylko Roza stanęła pewnie na szeroko rozstawionych nogach, Jenny natychmiast go podniosła. Ujęła szwagierkę pod ramię i skierowała się w stronę domu.

- Zastanawiałaś się nad tym, że mieszkanie w samotności może być dla ciebie niebezpieczne? - spytała Jenny w połowie drogi przez podwórze.

Roza zaśmiała się ochryple.

- Przecież nie mieszkam sama!

- Na Tommy'ego i Danny'ego nie bardzo można liczyć, kiedy pochwyca cię bóle, moja Rosi - Jenny rzuciła w powietrze uśmiech.

Roza potrafiła go sobie wyobrazić. Nie musiała widzieć.

- Zdażą pobiec po Bridget - odrzekła Roza z prze-

konaniem, zastanawiając się, do czego Jenny tak naprawdę zmierza. - A Bridget i Paddy dochowali się już tylu dzieci, że mam do niej pełne zaufanie. Ona wie, jak to się odbywa, Jenny!

- To dziecko Seamusa - powiedziała Jenny cicho, ale z naciskiem.

Roza przystanęła. Nie czuła się zmęczona, ale wychwyciła coś w głosie Jenny. Jakiś półton, którego nie umiała nazwać. Na pewno sobie tego nie wmówiła, zresztą z czasem zdążyła już całkiem nieźle poznać Jenny. Wcale nie przesadzała, uważając, że żona Jogo jej nie lubi. Nie musiały sobie tego wyjaśniać słowami. Obie wyczuwały wzajemny brak sympatii. Tak samo pewne było, że Jenny bardzo ceniła Seamusa. Łączyło ich coś na kształt przyjaźni. Porozumienie, które Seamus dzielił z niewidoma osobami.

Roza się z tym pogodziła. Akceptowała to, dopóki Seamus żył. Przyjmowała, że Jenny czci jego pamięć, że ich przyjaźń zajmowała wysokie miejsce w jej życiu. Roza nie mogła się jednak pogodzić z tym, że Jenny ją obwiniała, choć oczywiście nie nazywała swoich oskarżeń słowami.

- Możemy rozmawiać szczerze - oznajmiła Roza zachrypniętym głosem i puściła rękę Jenny.

Popatrzyła w piwne oczy tej drugiej kobiety. Jenny miała spojrzenie równie mocne jak Roza. Pod wieloma względami były do siebie bardzo podobne. Żadna nie bała się drugiej.

- O co ci chodzi, Jenny? Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że igrasz z życiem syna Seamusa - oświadczyła Jenny z mocą.

Zapadła między nimi cisza. Ogromna cisza. Nie było nawet wieczornego wietrzyku, który mógłby żartobliwie dmuchnąć rozbawiony i schłodzić pełne napięcia, rozedrgane powietrze między dwiema młodymi kobietami.

- Spójrz na siebie! - poprosiła Jenny, lekkim ruchem dłoni wskazując na Rozę. - Ciało masz niezwykle ociążałe, Rosi. Wiele przeszłaś. Ciężko przeżyłaś śmierć Seamusa. Już wcześniej straciłaś dziecko, chociaż to było w początkach ciąży. - Jenny umilkła na chwilę, lecz w końcu zdecydowała się powiedzieć wszystko, co jej leżało na sercu. - Ja bym nie ryzykowała. Warunki tutaj są trudne, daleko do doktora. Bridget wiele potrafi. Deidre z pewnością również może pomóc. Ale jak sprawy pójdą naprawdę źle, Rosi, co wtedy poczniesz?

- Jak powinnam się zachować? - spytała Roza głosem grubym od łez, ponieważ Jenny dotknęła jej własnych lęków. Już wcześniej myślała o wszystkim, o czym teraz mówiła Jenny.

- Od nas jest bliżej do doktora. Pewne jest, że przyjedzie, na nic nie zważając, jeśli pośle się po niego z Rosę Garden. Nie miałabym takiej samej pewności, gdyby posłaniec przybył z Favourite.

Roza nic na to nie powiedziała.

- Dlaczego zapraszasz mnie do swego domu? - rzuciła w końcu nieswoim głosem. - Dlaczego zapraszasz mnie do Rosę Garden? Nie chcesz mnie tam widzieć, Jenny. Nie lubisz, kiedy rozmawiam z Joem. Myślisz, że rzucam na niego urok...

Jenny nie zwracała uwagi na słowa Rozy. Zorientowała się, że Deidre udało się wbić jej do głowy róż-

ne myśli. Odsłoniły się przed nią w tym momencie, stały się nagie i wyraźne niczym gałęzie odarte z liści jesienią. Nietrudno było je odczytać - ale Jenny i tak nie rozumiała, o co chodzi Deidre. Zaproszenie Rosi, żeby przeniosła się do Rosę Garden, było w pewnym sensie zagranie Deidre na nosie.

- Ufam Joemu - oświadczyła Jenny z przekonaniem, chociaż nie było to do końca prawdą. - Nie wierzę, aby pozwolił się uwieść brzemiennej kobiecie, Rosi, i to prawie na ostatnich nogach. A już zwłaszcza wdowie po bracie. Jesteś dla niego równie niegroźna jak te świątobliwe zakonnice w Irlandii. Nie wierzę, że byłabyś w stanie rzucić jakikolwiek urok, Rosi. Myślę jedynie o dziecku.

- O synu Seamusa?

- O synu Seamusa - odparła Jenny z oddaniem.

- Dobrze, zrobię to dla niej - powiedziała w końcu Roza. - Pojadę z tobą, Jenny. Przeprowadzę się pod twój dach i zostanę u ciebie, dopóki córka Seamusa się nie urodzi...

2

To wcale nie życzliwość powoduje Jenny. Wiemy to obydwie. Ona wie, że ja wiem, lecz tymczasem to ona ma przewagę. Nie rozumiem, do czego ona właściwie dąży. Coś się za tym kryje. Jenny niczego nie robi bez namysłu i bezinteresownie, nie mając powodu, który by ją dręczył. Podobna jest w tym do mnie...

... dlaczego już do mnie nie mówisz, Natalio? Dlaczego przestałaś przychodzić do mnie w snach? Dlaczego nie przynosisz mi wizji, których nie chciałam, a za którymi prawie już teraz tęsknię? Dlaczego mnie opuściłaś? Czy przestałam być ważna? Czyście już ze mną skończyły?

Boję się, Natalio. Jestem tak bezgranicznie samotna, odkąd mi go odebrali i rzucili pod nogi jak zarżnięte zwierzę. Wolałabym mieć swoje wizje, niż stale nosić ze sobą to wspomnienie.

Roza jasno i wyraźnie oświadczyła Fionie, że wcale nie jest chora, chociaż przypadkiem spodziewa się dziecka. Nie potrzebuje ciągłej obecności opiekunki. Dlatego siedziała teraz sama w pokoju, który wspólnie z Fioną ochrzcili swoim salonem.

Oddano im do dyspozycji jedno skrzydło na piętrze Rosę Garden i obie kobiety, nie chcąc stale deptać Jenny po piętach, spędzały u siebie mniej więcej tyle sa-

mo czasu, co w pokojach należących do Jenny i Joego. Siobhan, Patrick i Charlotte kręcili się natomiast po całym domu podczas szalonych zabaw z Nickym i Denise. Dzieci Fiony nie rozumiały, że Rosę Garden jest bardziej domem Nicky'ego i Denise niż ich. Nie obchodziło ich, co jest czyją własnością.

Przyjęcie urządzone przez Jenny trudno było nazwać balem. Zbyt krótki czas dzielił tę chwilę od śmierci Petera i Seamusa, nie wypadało organizować bala. Jenny zaprosiła jednak najbliższych sąsiadów, a Fiona, chociaż wciąż nosiła żałobę, pozwoliła mimo wszystko się przekonać i zeszła do gości. Roza wymówiła się bliskim porodem. Cieszyła się, że nie będzie musiała spotykać się z tymi ludźmi, których nie znała i których nie miała ochoty poznawać. Wiedziała, że odnoszą się do niej z wyższością. Za jej plecami wymieniali wiele mówiące spojrzenia i oczerniali imię Seamusa, chociaż byli to ci sami ludzie, którzy kupowali od niego niewolników. Ci sami ludzie, którzy więcej niż chętnie gotowi byli robić z nim interesy, kiedy miał tę władzę, którą dają pieniądze. Może ci sami, którzy doprowadzili do jego zabójstwa...

Roza doskonale zdawała sobie sprawę ze swego rozgoryczenia i wiedziała, że to uczucie donikąd jej nie zaprowadzi, lecz nie mogła go z siebie zetrzeć, wyrzucić. Wryło się w jej duszę. Przesłaniało gniew, który raczej powinna nosić w sercu. Rozgoryczenie, w odróżnieniu od gniewu, nie wymagało działania. Gorycz była jak mgła.

Zdrzemnęła się, kiedy nagle usłyszała głosy. Przez sen wydawało jej się, że ją wołają. Poczowała skradającą się radość, sądząc, że to Natalia powróciła. Była

na pół obudzona i cieszyła się, że Natalia w końcu się pojawiła. Nareszcie ją odnalazły! Nareszcie będzie jej wolno pójść dalej!

Roza obudziła się naprawdę. Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak przed zaśnięciem. Siedziała w tym samym fotelu, mając pod plecami poduszkę obramowaną ozdobnymi frędzlami i dwie takie same poduszki pod stopami. Była zbyt drobna, by wygodnie usadowić się w tych fotelach, a ciężar i rozmiary brzucha jeszcze bardziej jej to utrudniały. Bolały ją łydki, zsunęła więc buty. I nagle Roza zrozumiała, że w tym przytulnym, pogrążonym w półmroku pokoju jest sama, tak jak przedtem.

Głosy były prawdziwe. Słowa nie zostały przeznaczone dla jej uszu. To ktoś rozmawiał w pokoju tuż za ścianą, tym, który Joe nazywał swoim pokojem do pracy, a Jenny uporczywie starała się nadać mu nazwę gabinetu Josepha.

Prawdziwe głosy. Ściszone, rzeczywiste głosy z tego świata, a nie z czasu, który przestał już istnieć. Męskie, o ile dobrze słyszała. Ktoś powiedział coś głośniejsz, potem ledwie było słyhać, a później rozległ się mroczny, głęboki głos. Widać Joe przyprowadził tu po cichu kilku znajomków, najpewniej zaś Adama, Paddy'ego i Juniora, żeby wypalić cygaro i wlać w siebie kilka szklaneczek brandy w okolicznościach nazywanych przez niego sprzyjającymi.

Roza uśmiechnęła się do siebie, z trudem podnosząc się z fotela. Czynność ta wymagała zarówno determinacji, jak i siły w rękach. Joe nie był karierowiczem, ze starannością pielęgnującym stosunki z właściwymi ludźmi. To Jenny miała wielkie ambicje i podporząd-

kowała im całe swoje życie. Teraz robiła wszystko, byle ograniczyć szkody, jakie mogła wyrządzić śmierć Seamus. Dzisiejsze przyjęcie również stanowiło część piana Roza doskonale rozumiała, że Joe uznał za konieczne zniknąć na chwilę i w „sprzyjających okolicznościach” rozpiąć kołnierzyk koszuli i rozluźnić fular.

Roza w samych pończochach poruszała się cicho, chociaż ciężko jej było chodzić. Przyszło jej do głowy, że w towarzystwie Joego i jego braci może być przyjemnie. Nawet Junior był miły, no i przecież to nie jego wina, że jest synem akurat takiego człowieka. Wiedziona impulsem, postanowiła do nich dołączyć. Żadna z pań i tak nie dowie się, że pozwoliła sobie w towarzystwie mężczyzn powdychać trochę cudownego ciepłego dymu z cygar. Żadna się nie dowie, że uczestniczyła w ich męskich rozmowach.

Wargi Rozy wygięły się w uśmiechu. Czuła się nieposłuszna, jak gdyby ktoś mógł jej dać za burę, jak gdyby jej ojciec jeszcze żył i mógł ukarać ją pasem za to, że zrobiła coś w jego mniemaniu niestosownego. Roza od bardzo dawna już się tak nie czuła, a że uczucie to wprost pulsowało życiem, zapomniała o wszystkim innym.

Drzwi nawet nie zaskrzypiały, kiedy po cichutku wyszła na korytarz, rozdzielający sypialnie od salonów. Na przeciwległym jego końcu widać było schody, opadające lekkim łukiem w dół. Dochodził do niej szum głosów. Nie muzyka, tylko głosy. Nawet Jenny widać uznała, że muzyka to rzecz nieprzyzwoita na przyjęciu urządzanym wkrótce po tym, jak rodzina O'Connorów straciła dwóch swoich członków. Roza jednak była pewna, że Jenny za

tym tęskni, za życiem, za wspaniałością prawdziwego balu.

Już miała nacisnąć klamkę do gabinetu Joego, kiedy zorientowała się, czego dotyczy prowadzona w środku rozmowa, i w jednej chwili zrozumiała, że Joe nie zaprosił wcale towarzyszy na szklaneczkę brandy i wypalone ukradkiem cygaro. Usłyszała, że w środku jest Adam. Rozpoznała jego głos. Mówił prawie tyle co Joe. Najmłodszym braciom O'Connor nie towarzyszył jednak ani Paddy, ani Junior. Joseph i Adam za zamkniętymi drzwiami pielęgnowali inne przyjaźnie. Roza nie rozpoznała wprowadzie pozostałych głosów, ale prędko pojęła, jakie sprawy uzgadniają.

- Seamus nie w ten sposób prowadził interes - oświadczył ktoś.

- Teraz, po śmierci Seamusa, sytuacja się zmieniała.

To głos Joego. Jakby niechętny. Roza słyszała, że Joe stara się nad sobą panować. Zawsze, kiedy był zły, cedził słowa. Potrafił rozprawiać równie kwieście jak Seamus, lecz nie w gniewie. Z nich dwóch to Seamus umiał zachować twarz pokerzysty.

- A ty trzymasz jego stronę? - spytał inny głos.

Roza domyśliła się, że pytanie zostało skierowane do Adama. Ci ludzie nie byli zadowoleni z tego, co okazał im Joe. Serce waliło jej bardzo mocno, aż się przestraszyła, że tamci w środku mogą ją usłyszeć przez zamknięte drzwi. Pożałowała, że nie ma tu Paddy'ego. Paddy był rostry, silny i spokojny. Nikt nie ośmieliłby się przemawiać do niego takim tonem. Jednocześnie rozumiała, dlaczego Adam i Joe nie wtajemniczają najstarszego brata w te sprawy. Nawet Seamus je przed nim ukrywał. Od Padraiga O'Connora

wprost biła uczciwość. Jego dłonie zostały stworzone po to, by uprawiać nimi ziemię. Te ręce musiały zaciskać się na narzędziach i kłaść się miękko na końskich grzywach. Paddy był obdarzony mądrością przydatną przy uprawie ziemi, lecz nie urodził się do interesów, przypominających gry hazardowe, w których z pewnością trzeba przynajmniej choć troszeczkę oszukać, żeby wynieść jakiś zysk.

- Nie można wszystkiego nagle uciąć - oświadczył jeden z głosów, należących do nieznanym, i Roza natychmiast zrozumiała, że umknęła jej odpowiedź Adama. Zakładała jednak, że brat stanął ramię w ramię z Joem. To by się nawet składało z protestami tamtych.

- Seamus zamierzał już z tym skończyć - powiedział Joe. - Zatoszczyliśmy się o to, by zaplanowane przez niego wyprawy doszły do skutku. Zadbaliśmy, aby towary zniesiono na ląd i bez kłopotu sprzedano.

- No właśnie! - podkreślił inny głos.

Roza nie potrafiła określić, ilu ludzi może być za tymi drzwiami oprócz jej szwagrów, nie bardzo umiała rozróżnić te głosy. O wiele łatwiej by było, gdyby mogła przypisać do nich twarze. Domyślała się jednak, że nieznanym jest trzech. Może czterech.

- Przecież wszystko się udało! Zresztą nie zrobiliście tego za nic. O ile wiem, chłopcy, przyniosło wam to całkiem pokaźny zysk.

- I tyle wystarczy - oświadczył Joe.

- Nikt nie oczekiwał, że to przejmiecie - odezwał się któryś z obcych. Ten człowiek nie mógł być bardzo młody. Roza po akcencie poznała, że nie urodził się w Georgii. Przybył tu zza morza.

- Przejęliśmy niemal cały rynek. Dlatego się wystraszyli.

- Dlatego straciliśmy brata. Dlatego nasza siostra straciła męża. Przykro mi. Adam i ja się wycofuje-
my. My, O'Connorowie, zapłaciliśmy już za to zbyt
wysoką cenę.

- A co z Irlandią?

Mężczyźni w środku wstrzymali oddechy. Cisza
w uszach Rozy wprost zadudniła. Domyślała się, że
ci ludzie mają zupełnie inne niż pieniądze powody
tego, co robią.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Seamus pragnął
skończyć również z ojczyzną? Twój brat Seamus ni-
gdy nie zdradziłby Irlandii!

- Seamus był świętym - mruknął Adam.

Roza ściągnęła brwi. Nie podobał jej się ton w gło-
sie szwagra, nie chciała jednak wierzyć, że Adam mo-
że nosić w sobie złość na Seamusa. To tylko bunt
najmłodszego przeciwko starszym. Inaczej być nie
mogło. To gra. Adam również był hazardzistą. Przy-
pominał w tym Joego i Seamusa. To ci trzej zostali
wycięci z jednego i tego samego kawałka drewna. To
ci trzej nosili w sobie te same tęsknoty.

- Seamus po skończeniu z handlem niewolnikami
nie miałby z czego się dołożyć - rzekł Joe wprost.

Cisza trwała jeszcze przez chwilę. To Joe musiał
podjąć wątek:

- My daliśmy tyle, ile naszym zdaniem Seamus do-
łożyłby do ostatniego transportu. A teraz wam
oświadczamy, że nie będzie więcej żadnej pomocy ze
strony O'Connorów.

- Jesteście znacznie zamożniejsi niż przeważająca

większość naszych tutaj! A i tak wielu daje więcej niż wy teraz. Dosłownie widzę, jak Seamus przewraca się w grobie!

- Seamus leży tak nieruchomo, jak potrafi tylko trup! - z gniewem wyrwało się Joemu. - Nie będzie od nas więcej żadnych pieniędzy na broń. Nie możemy też w przemycańcu jej do Irlandii. Ta część interesów ustala wraz ze śmiercią Seamusa. To Seamus miał kontakty.

- I ty nosisz nazwisko O'Connor...

Roza również wychwyciła obraźliwy ton. Oczyma wyobraźni widziała, jak skrzydełka nosa Joego drgają w milczącym gniewie. Potrafiła wyobrazić sobie Adama. Adam był zapaleńcem. Był też dostatecznie wysoki i silny, by odwołać się do pięści. I dostatecznie bezmyślny, by to zrobić.

- Wasze nazwisko otwiera wiele drzwi w kraju - ciągnął mężczyzna, który do tej pory mówił najwięcej. Ten, który paroma słowami obraził Joego. - Wciąż pozostajesz bratem Seamusa. Ludzie o tym pamiętają. O Seamusie w kraju opowiadają baśnie. On jest legendą. Dla sprawy byłoby bardzo dobrze, gdyby jego brat odwiedził stary kraj. Gdyby nawiązał kontakty. Gdyby połączył nas z większością ludzi.

- Ja nie mam czego szukać w Irlandii - odparł Joe sztywno.

- Przecież prosimy cię jedynie o prostą przysługę, Joseph! Chociaż nie chodzisz w spodniach Seamusa, to jesteś jego bratem. Tu, w Ameryce, stałeś się bogatym człowiekiem. Ubrania, które nosisz, mówią za ciebie, a ludzie wciąż pamiętają, jak żyłeś, zanim wyjechałeś za morze. Nam potrzeba, żebyś pokazał się

w kraju. Żebyś powiedział tym mężczyznom, którzy zostali, że postępują słusznie. Że właśnie tego pragnął Seamus. Że Seamus wybrałby nas...

- A jeśli ja w to nie wierzę? - padło z ust Joego.

- Jakie to ma znaczenie? Do diabła, Joe, zapomniałeś, skąd pochodzisz?

- Tak, zapomniał! Inaczej z jakiego powodu dusiłby pieniądze, wiedząc, jak jest w kraju? Mając świadomość, że tylko broń może wygnać Anglików za morze? Oczywiście, że całkiem o tym zapomniał. Joe O'Connor został wielkim człowiekiem w Nowym Świecie. Wzbogacił się na tej ziemi, którą dał mu Seamus. Cóż, w każdej rodzinie znajdzie się czarna owca. Dlaczego wśród O'Connorów miałoby być inaczej? Za łatwo mu to przyszło. To Seamus się pocił. Seamus nadstawiał karku. Seamus za wszystko płacił.

- Dam pieniądze - oświadczył Joe ochryple. - Ale nie na broń. Dam pieniądze, jeśli kupi się za nie jedzenie dla głodujących w kraju.

- Oni nie chcą dobroczynności - odparł głos, należący do któregoś z nieznanym. - Chcą sprawiedliwości. Chcą uprawiać ziemię, która urodzi im pożywienie. To jednak niemożliwe, dopóki ziemia pozostaje w rękach Anglików i protestantów. Możesz kupić tyle ziarna, ile zechcesz, Josephie, ale przez to nikt w kraju nie zdobędzie większej wolności. Nasz naród woli głodować, jeśli tylko dzięki temu mógłby odebrać chociaż część tej ziemi, która należy do nas. Anglicy dobrowolnie jej nie oddadzą. Trzeba im ją odebrać. Ale ty może tego nie rozumiesz, kiedy siedzisz tu jak jaki książę w swoim Rose Garden? Jakie przybierzesz nazwisko? Będziesz się nazywał lord Zdrajca czy lord Ignorant?

- Nie damy na broń - odezwał się Adam.

- My ją załatwimy.

- Damy pieniądze na utrzymanie dla tych, którzy tego potrzebują - obstawał przy swoim Joe. - Ja je dam - dodał. - Nie chcę nic brać z tej części, która należy do moich braci i do Fiony. Wprawdzie Seamus tak robił, ale teraz będziemy postępować inaczej.

W śmiechu, który rozległ się za zamkniętymi drzwiami, zabrzmiała nie tylko i wyłącznie serdeczność, lecz Roza domyślała się, że dzięki niemu napięta atmosfera trochę się rozluźniła.

- Potrzebne nam jest nazwisko O'Connorów...

- Na wiosnę pojedę z wami - odparł Joe. - Wcześniej nie. Zimą muszę zatroszczyć się o rodzinę.

- Coś mi się wydaje, że ani nie chodzisz w spodniach swego brata, ani nie podążasz jego śladem - stwierdził któryś z mężczyzn.

Głosy zbliżyły się do drzwi i Roza, wystraszona, czym prędzej schowała się w swoim pokoju. Zdyszana przytknęła drzwi, zostawiając jedynie maleńką szparę, przez którą ledwie mogła wyglądać. Wprawdzie wejścia do obu pomieszczeń sąsiadowały ze sobą, lecz nie było rzeczą naturalną, aby ludzie wychodzący z gabinetu Joego skierowali się w jej stronę. Schody leżały na drugim końcu korytarza, w przeciwnym kierunku. Nikomu raczej nie przyjdzie do głowy zerkać na drzwi do jej pokoju.

Miała rację. Oddech powoli jej się uspokajał, gdy obserwowała, jak mężczyźni, których głosy przedtem słyszała, opuszczają sąsiedni pokój. Widziała ich w wąskiej szparze między skrzydłem drzwi a futry-

na. Było ich pięciu. Czterej całkowicie nieznajomi. Nie przypominała sobie nawet ich twarzy.

Możliwe, że miała okazję poznać ich na jednym z przyjęć, ale podczas takich okazji stała zwykle u boku Seamusa i ścisłała ręce, nie zwracając uwagi na przypisane do nich twarze czy nazwiska. Nie chciała ich zapamiętywać. Wzbraniała się przed włączaniem w tę działalność. Seamus należał do niej, kiedy był w domu. Gdy był przy niej. Tamtego drugiego Seamusa nie starała się przytrzymać za koszulę. Był człowiekiem, którego nie dało się okiełznać.

Piątego z mężczyzn natomiast znała, ale nigdy by się nie spodziewała, że zobaczy go wśród ludzi takich jak tamci. Nie przypuszczała, że należał do zaufanych, z którymi Seamus załatwiał interesy.

Jasper Jordan.

Drugi z kolei syn Jareda Jordana. Ten, któremu nie przypadnie w spadku farma. Ten, który nie był przystojny i zabawny jak najmłodszy z braci, Jeremy. Ten, który trochę za bardzo przypominał ojca.

Roza zawsze uważała, że człowiek ten ma w sobie jakiś chłód. Pewną bezwzględność, którą rozpoznawała, ponieważ na to samo zwróciła uwagę u Seniora. Nigdy by mu nie zaufała. Nieoczekiwanie myśl nagle wykrystalizowała się w niej, zabłysła jak gdyby w chłodnym świetle poranka.

Czy to on zdradził Seamusa? Czy to Jasper Jordan przekazał informacje, które doprowadziły do zabicia Seamusa?

Dlaczego Seamus mu ufał?

Roza całkiem zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Nie było nic więcej do oglądania. Nic wię-

cej do odkrycia. Być może lepiej by się stało, gdyby nie podsłuchiwała tej rozmowy, gdyby nie zobaczyła tego, co widziała przed chwilą. Pulsowanie krwi czuła aż w koniuszkach palców, krew zdawała się tętnić nawet we włosach. Ale Roza nie była już niczego nieświadoma. Nie mogła udawać, że nic nie wie.

Teraz Adam i Joe rozmawiali ze sobą. Ich głosy były tak do siebie podobne, że musiała bardzo się skupić i dobrze nastawić uszu, by wiedzieć, co który z nich mówi. W końcu zdołała jakoś ich od siebie odróżnić, lecz nic poza tym jej z tego nie przyszło. Nie była w stanie wychwycić słów. Potrafiła jedynie stwierdzić, że teraz, gdy zostali sami, nie byli równie zgodni w swoich poglądach jak w obecności tamtych pięciu. Wyłapała zaciętrzewienie, chociaż nie mogła wychwycić jego przyczyny.

W końcu uległa pokusie i zaczęła podsłuchiwać. Przyłożenie ucha do ściany nie na wiele się jednak zdało. Będzie musiała znów wyjść na korytarz. Bardzo ciężko jej było tak długo stać. Oddech miała krótki, kolana się pod nią uginały, ale zacisnęła zęby i usiłowała wytrzymać. Sama przed sobą broniła swojego zachowania, tłumacząc sobie, że te sprawy dotyczą również jej. Interesy dotyczyły całej rodziny, a chociaż Seamus nie żył, ona wciąż pozostawała częścią klanu O'Connorów. Skoro Joe i Adam nie zgadzali się ze sobą, miała prawo wiedzieć, co się za tym kryje.

Roza odetchnęła głębiej i ponownie wyslizgnęła się na korytarz. Zrobiła to z zamkniętymi oczyma. Tymczasem kiedy znów je otworzyła, spostrzegła, że stoi twarzą w twarz z Jasperem Jordanem.

Otworzyła usta, ale wiedziała, że nie krzyknie. Aż

taka głupia nie była. Niestety, wyglądało na to, że Jasper miał do czynienia przede wszystkim z głupimi kobietami. Czym prędzej nakrył jej usta dłonią, a drugą ręką i całym swoim ciałem przycisnął ją do ściany pomiędzy dwiema parami drzwi. Jego ciemne oczy jeszcze pociemniały, gdy popatrzył na nią ostro i wręcz syknął przez zęby:

- Ciicho!

Roza przełknęła ślinę, jednocześnie kiwając głową. Dłoń Jaspера zasłaniała jej także nos. Trudno było oddychać. On się zorientował, odrobinę przesunął rękę, lecz nie przestawał przyciskać jej do ust Rozy. A ona stała wepchnięta w ścianę. Stawianie oporu na nic by się nie zdało. On przyszedł tutaj w tym samym celu, co ona. Nie chciał wyrządzić jej krzywdy, tyle Roza pojmowała. Jasper Jordan nie był głupi. Świadczył o tym już sam fakt, że myślał podobnie jak ona i wrócił tutaj, żeby podsłuchiwać.

- Seamus chciał z tym skończyć! - mówił Joe w gabinecie.

Zadzwończyły karafki i szklanki. Któryś nalewał dla obydwo.

- Seamus marzył, by z tym skończyć - poprawił go Adam. - Pragnął tego ze względu na Rosi. Ale broń zamierzał nadal wysyłać.

Na chwilę zapadła cisza.

- Seamus wkrótce by zrozumiał, że nie zdoła sfinansować zakupu broni z zysków, które przynoszą przedziałnie i plantacja. Potrzebowałby innych źródeł dochodu. A ile ich jest?

- Seamus chciał skończyć z handlem niewolnikami! - powtórzył z mocą Joe.

- Można postawić na Indie - powiedział Adam. - Nie trzeba przywozić ich z Afryki.

- Sądziłem, że wybierasz się do Nowej Zelandii!

- Może zostanę, braciszku - rzucił Adam jakby od niechcienia. - Może dojdę do wniosku, że Georgia ma mi więcej do zaproponowania. Potrzebuję pieniędzy, Joe. Chcę mieć konie. Nie obchodzi mnie bawełna, tytoń ani orzeszki ziemne. Nie mam ochoty tracić na to zdrowia. Nie chcę mieć niewolników. Chcę mieć konie. Stadninę. Będę hodował najwspanialsze konie, jakie ludzkie oko widziało. Twierdzą, że powinniśmy się do nich przyłączyć. Dać im wszystko, co możemy. Oni przecież sami tak powiedzieli: Nazwisko O'Connor ma w niektórych kręgach szczególnie wyjątkowy, braciszku... Seamus to legenda.

- W innych kręgach to nazwisko brzmi raczej jak wyrok śmierci - odparł Joe cierpko.

- Ty masz tę plantację. Ja jej nie mam.

- Chcesz to zrobić dla koni? - zdziwił się Joe.

- Pragnę mieć coś swojego.

- Nie zamierzam znów się wplątywać w handel niewolnikami tylko dlatego, że ty chcesz mieć własną stadninę, Adamie.

- Ja mógłbym się do nich przyłączyć...

Jasper uwolnił usta Rozy, lecz cały czas przytrzymując ją mocno, zdecydowanie poprowadził ją do jej pokoju. Zachowywał się przy tym równie cicho, jak ona wcześniej. Ledwie zdążyli przymknąć drzwi, kiedy Adam wybiegł z gabinetu i popędził w dół po schodach, żeby dołączyć do towarzystwa. Włosy miał zmierzwione, a ruchy gniewne. Jasper zamknął

drzwi na klamkę. Stał przy nich, bacznie przyglądając się Rozie. Usiadła.

- Ci O'Connorowie mają bardzo gwałtowne usposobienie - stwierdził Jasper z namysłem.

Roza się skrzywiła. Celowo obróciła się do niego oszpeconym, poparzonym policzkiem. Zadarła brodę w oczekiwaniu, że Jasper odwróci się z obrzydzeniem. Już dawniej zauważyła u niego taki odruch. On jednak wciąż nie odrywał od niej oczu.

- Eleganckie damy nie podsłuchują pod drzwiami - powiedział. - Tej umiejętności nie przewiduje dobre wychowanie.

- W związku z tym o niczym nie wiedzą - odparowała Roza. - A czy w wychowaniu Jordanów uwzględnia się podsłuchiwanie cudzych rozmów?

Jasper uniósł brwi.

- Owszem, jeśli może nam to wyjść na dobre - odparł gładko. - Wydaje mi się, że jesteś kobietą niedocenioną, Rosę O'Connor. Czy ty mogłaś coś zyskać na podsłuchiowaniu?

- Nie - odpowiedziała.

- Wiedza zawsze jest zyskiem - pouczył ją Jasper Jordan. - Adam i Joe powinni cię przyjąć do spółki. Coś mi mówi, że masz niezłego nosa do interesów.

- Interesy nie są dla kobiet - odparła Roza z nadzieją, że Jasper uwierzy, iż ona naprawdę tak myśli. Zachichotał.

- Czyją stronę pani trzyma, pani O'Connor? - spytał, a potem skinął jej głową na pożegnanie.

3

Roza musiała porozmawiać z Joem. Nie traciła czasu na czekanie, aż Jasper dotrze do schodów. Średni syn Jareda Jordana uśmiechnął się jednym z tych swoich rzadkich uśmiechów, gdy zobaczył, że Roza otwiera drzwi do gabinetu Josepha. Jemu w niczym nie przeszkadzało, że Joe będzie wiedział, iż on poznał treść jego rozmowy z bratem. To wciąż mogło mu zapewnić coś w rodzaju przewagi. Jasper nie miał natomiast pewności, czy Joe i Adam zdają sobie sprawę z siły Mrs. Rosę O'Connor. Wdowa po Seamusie nie była wprawdzie pięknym kwiatkiem, lecz w głowie miała sporo oleju. Jeśli bracia nie będą się z nią liczyć, to on zachowa przewagę.

Joe ściągnął marynarkę z aksamitu w kolorze czerwonego wina. Wisiała przerzucona przez oparcie krzesła, nie była starannie złożona, jak zapewne chciałaby Jenny. Podwijał właśnie do łokcia rękaw koszuli, kiedy do pokoju weszła Roza. Joseph wyraźnie usłyszał odgłos otwieranych drzwi, lecz nawet nie podniósł głowy ani się nie odwrócił. Przyjął za pewnik, że to Adam wraca.

- Zmieniłeś zdanie? - spytał wręcz z rozbawieniem, bez cienia gorzkości. - Z kim się porozumiałeś? A może sam zdążyłeś się zastanowić?

- Słyszałam was - powiedziała Roza.

Joe natychmiast zareagował, odwracając się gwałtownie. Dywan pokrywający podłogę tłumił wszelkie odgłosy kroków. Joe westchnął niemal z ulgą, widząc, że Roza jest sama. Szczupłymi palcami dalej podwijał nakrochmalone rękawy koszuli. Gdy wreszcie się z nimi uporał, rozpiął jeszcze guziki niebieskiej kamizelki z brokatu i wsunął palec pod fular w tym samym połyskliwym odcieniu błękitu nocy.

Roza zdążyła pomyśleć, że ciemnowłosemu, śniademu Joemu bardzo do twarzy w tym kolorze, zdawała sobie jednak sprawę, że on wcale się nad tym nie zastanawia.

Joe z irytacją jednym ruchem zręcznych palców ściągnął fular i rzucił go na marynarkę.

- Gospodarz już opuścił towarzystwo - wyjaśnił Rozie i podsunął jej krzesło.

Usiadła ciężko, uważnie, ale nawet na moment nie spuszczała wzroku ze szwagra.

- Obudziłam się - wyznała. - Nie mogłam was nie usłyszeć - dodała, nieco mijając się z prawdą.

- Nie przypuszczałem, że w tym przekętym domu głos tak się niesie! - mruknął Joe, podciągając brwi z miną wyrażającą rezygnację. Palcami jak grzebieniem przeczesał gęste, ciężkie włosy. Na chwilę się wzburzyły, lecz zaraz i tak opadną. Roza widziała to już wiele razy wcześniej.

Joe usiadł za biurkiem. Rzadko służyło mu w innym celu niż jako podpórka pod łokcie, gdy nachodziła go potrzeba porozmyślenia w jakimś miejscu, gdzie mógł być sam. Rachunkami i prowadzeniem ksiąg zajmowała się głównie Jenny. Joe tylko podpi-

sywał się pod tym, co ona zanotowała kosztownym piórem, starannie kaligrafując.

- To były interesy Seamusa - powiedział Joe zmęczonym głosem i przeciągnął dłońmi po wychudzonych policzkach. - Wszystko to nierozdzielnie łączyło się z Seamusem. Sądziłem, że to zniknie, jak przymknę oczy. - Westchnął. - Nie chcę tego kontynuować. Wydawało mi się, że Adam też tego nie pragnie. Ale on jest taki cholernie młody. I ma cholernie wielkie marzenia. On wierzy w Nowy Świat, Rosi. Wierzy, że tutaj każdy może zostać królem. Widział, że Seamus nim został, a przynajmniej prawie. A teraz Adam wmawia sobie, że to samo może spotkać również jego. Miałem nadzieję, że już będzie w drodze na te swoje wyspy mórz południowych. Powinien realizować inne marzenia. Powinien znaleźć mniejszy, trudniejszy świat, Rosi. Tymczasem on nagle oświadcza, że chce tu zostać i hodować konie w Favourite. Nie sądzę, żeby Paddy'emu się to spodobało. Mam wrażenie, że Paddy już zaczął się uważać za pana Favourite. Wydaje mi się, że lubi, kiedy ludzie się do niego zwracają „Master Padraig”. A raczej „Master Patrick...” - Roześmiał się: - Zauważyłaś, że woli być teraz nazywany Patrickiem?

- Czy Seamus prowadził interesy z Jasperem Jordanem? - spytała Roza. Nie odpowiedziała na pytanie Joego, ale rozumiała, do czego zmierzał. Nowy Świat odmienił ich wszystkich. Naznaczył ich na wiele sposobów.

- Oczywiście - odparł Joe.

Roza poczuła drżenie, które przeszło przez jej ciało, poczuła je i rozpoznała, lecz ukryła to przed Jo-

em. Doszła do wniosku, że on, nawet gdyby coś zauważył, i tak by nie zrozumiał. Był mężczyzną. W dodatku nic mu do tego.

Zresztą tak naprawdę to nic nie znaczyło. Ostatnio wiele razy czuła podobne drobne skurcze. Przypominały jej po prostu, że ten dzień się zbliża. Jej własne ciało się z nią drażniło.

- Seamus robił interesy ze wszystkimi, którzy zgadzali się zapłacić żadaną cenę za współudział, Rosi - powiedział Joe znużony. - Jasper Jordan uczestniczył w tej działalności od pierwszego dnia. Nie wiedziałaś o tym?

Roza pokręciła głową.

- Seamus się tym ze mną nie dzielił - wyznała cicho. - Nie chciałam słuchać o takich sprawach.

Joe znów zmierzwił ciemne włosy. Jego oczy nigdy nie były takie mroczne. Wydawały się teraz bardziej czarne niż szare. Roza rozpoznała w jego spojrzeniu współczucie. Nieprzyjemnie ją to poruszyło, podobnie zresztą jak jego. Oboje byli dumni, oboje zdawali sobie sprawę, jaki dystans potrafi stworzyć współczucie między ludźmi, którzy powinni trzymać się razem. Oni nie chcieli się od siebie oddalać, lecz być może nie potrafili zapobiec pojawieniu się między nimi takiego uczucia.

- Seamus skrywał wiele tajemnic - Joe wyrzucił z siebie te słowa z prędkością kamiennej lawiny, spadającej w dół stromego zbocza. - Od niektórych staram się nas uwolnić. Nie chcę, żeby O'Connorowie byli zmuszeni do tego czy tamtego, Rosi, jedynie z powodu obietnic, które złożył Seamus. Jego już nie ma. A nam do tego brzemienia, które musimy dźwigać, nie potrzeba na dokładkę jego upiora.

- On chciał skończyć z przemytem niewolników - szepnęła Roza.

- Chciał się też wycofać z tej sprawy z bronią - oświadczył z mocajoe. - Seamus z czasem zaczął myśleć o sobie, Rosi - uśmiechnął się miękko. Kiedy mówił o Seamusie, gdy myślał o dobru tkwiącym w zmarłym bracie, jego oczy zrobiły się niemal przezrocyste. - To dziecko sprawiło, że zaczął inaczej patrzeć na swoje życie. Pragnął żyć również dla siebie. Dla ciebie i dla dziecka, Rosi. Seamus wcale nie chciał być legendą. A przynajmniej nie tylko legendą. Zaczął dostrzegać, że w życiu może być coś więcej niż tylko ta jego misja. Niż ten sen o wolnej Irlandii. Wydaje mi się, że zaczął wreszcie rozumieć, że ludziom potrzeba także jedzenia, nie samych tylko strzelb. Nie zdążył jednak powiedzieć o tym innym. Niektórzy z nich przyłączyli się wyłącznie ze względu na broń. Wierzą, że za kilka lat powrócą do kraju. Wydaje im się, że Irlandia będzie wtedy wolna. Że te statki wyposażone w broń załatwią im prawie wszystko, że będą mogli wrócić do domu jako bohaterowie...

Roza pokręciła głową. Miała świeżo w pamięci swój koszmarny sen, ale nie chciała opowiadać o nim Joemu teraz. To nie była właściwa chwila.

- Skończyliśmy już z niewolnikami - Joe wyraźnie, z naciskiem wymówił każde słowo, dłońmi przesunął po ciemnym drewnie blatu biurka. Jego palce zostawiły ślady. Jak niegrzeczny uczeń usiłował je zetrzeć brzegiem kamizelki w kwiatowy wzór.

Roza uśmiechnęła się na ten widok.

- Adam nic nie może zrobić - dodał Joe.

- Jasper wie, że się ze sobą nie zgodzicie - powie-

działa Roza. - On tu wrócił. Podśłuchiwał i słyszał, o czym rozmawiacie. Przyłapałam go przed chwilą w holu - wyjaśniła.

- To nic nie znaczy - stwierdził Joe. - To nie znaczy absolutnie nic pod słońcem. Oni potrzebują mnie. Oczywiście Adam jest również bratem Seamusa, ale jest za młody. W kraju nikt mu nie zaufa. On się jeszcze nie liczy, Rosi. Jest stanowczo zbyt młody. Wszyscy traktują go jak młodzieniaszka, którym w istocie jest. Mają tylko mnie. Tylko Josepha Craiga O'Connora. Jedynie mnie mogą wysłać do kraju. Tylko ja mogę przekazać tamtejszym ludziom, czego pragnął Seamus.

Roześmiał się do siebie, cierpko, bez radości. Nagle musiał kilkakrotnie mrugnąć.

- To ja mam ponieść dalej tę legendę. Włożyć spodnie mego brata...

Joe, kiedy mówił o Seamusie, stał się taki bezbronny. Do oczu napłynęły mu łzy, głos mu się zatrzęsł. Roza to spostrzegła. Zacisnęła wargi, sama miała ochotę się rozpłakać. Chciała krzyknąć, wyciem wyrazić swój ból.

- On nie miał do tego prawa, prawda? - spytał Joe łagodnie, wręcz z czułością. - Nie miał prawa umierać, zostawiać nas takich samotnych.

- Nie miał - odparła cicho i mimo wszystko jakoś zdołała się uśmiechnąć.

Joe użył właściwych słów. Rzeczywiście, Roza była najbardziej zła właśnie na Seamusa, zła za to, że umarł. Opuścił ją. O ile dobrze pamiętała, jedna ze złożonych przez niego obietnic brzmiała, że nigdy jej nie opuści. A tymczasem zrobił to w taki sposób, że nie miała nawet szans, by mu wybaczyć.

- Rzeczywiście nie miał do tego żadnego prawa, Joe. Postąpił paskudnie - dodała i wybuchnęła takim śmiechem, że skurcze w brzuchu stały się jego częścią. Zadrzała, lecz je ukryła. Skrywała je tak, że Joe słyszał wyłącznie śmiech. Widział jedynie, jaka jest dzielna. Wyraz jego twarzy mówił Rozie, że jest z niej dumny, lecz nie zawstydzał jej ubieraniem myśli w słowa. Roza bardzo go za to kochała, lecz tego też nie powiedziała. Seamus byłby z niej dumny. Seamus byłby dumny z nich obojga.

- Jenny nie powinna cię tu zastać - oświadczył Joe nagle i podszedł do niej. Podał jej obie ręce i podciągnął do góry, pomagając podnieść się z krzesła. Roza czuła się jak wielki i ciężki worek kartofli.

- Ona na pewno tu przyjdzie - powiedział Joe z uśmiechem, czającym się w kąciku ust, przekonany o swojej nieomyślności. - Porozmawia z Adamem i przyjdzie. Zawiąże mi fular, zapnie kamizelkę i opuści rękawy, a potem będzie zachodzić w głowę, co zrobiłem ze spinkami do mankietów. Ale ich nie znajdzie... - konspiracyjnie puścił oko do Rozy. - Rzuciłem je do kominka! Na pewno już zdążyły się stopić. Złoto i błyskotki to nie dla mnie...

Roza pozwoliła odprowadzić się do drzwi.

- Potem otrzepie kurz z mojej marynarki, a ja z uśmiechem na ustach zejść na dół do gości, trzymając ją pod ramię, i wspólnie będziemy żegnać tych, którzy okazali nam szacunek, przychodząc tutaj. Tak to już z nami jest, ze mną i z Jenny. Ona chce, żeby tak było. A ja ją kocham.

- I właśnie to jest ważne - stwierdziła Roza, koniuszkami palców dotykając policzka Joego. Prawie

nie było już tego widać, ale Roza wciąż wyczuwała, że płakał. - Jeśli kochasz, wiele potrafisz wybaczyć - dodała cicho i odeszła do własnych pokojów.

Usłyszała potem, że wszystko odbywa się dokładnie tak, jak przewidział Joe. Jenny mówiła cicho, ale zdecydowanie. Roza usłyszała też, że to Joe zamykał drzwi, gdy wychodzili z gabinetu. Zrobił to tak starannie, że aż musiała się uśmiechnąć. A więc również to zdarzenie obrócił w żart. Nikt nie potrafił się śmiać tak jak Joe O'Connor. To dobra cecha.

Skurcze w miednicy nie ustawały. Roza czuła je zarówno w brzuchu, jak i w krzyżu. Były niczym lekkie zmarszczki na spokojnym morzu. Zamarzyła nagle o zapachu morskiej wody, aż do bólu szarpnęła nią tęsknota za morzem. Poczuła ból w członkach. Tak bardzo chciała znów kiedyś stanąć nad brzegiem morza. Na własne oczy ujrzeć jego bezkres. Chciała zobaczyć wschód słońca i zachód tam, gdzie są najpiękniejsze. Zapragnęła widzieć słońce w takim miejscu, gdzie nie będzie jej w tym przeszkadzał żaden łódź, bez względu na to, jaki jest potężny i rozległy.

Chciała patrzeć na słońce w miejscu, gdzie nie ma żadnego łądu, tylko morze.

Chciała jechać przez morze...

... do domu...

... chciała wracać do domu...

Zorientowała się, że potrzebuje powietrza. Z powrotem wcisnęła stopy w buty. Okazało się to o wiele trudniejsze niż ich zrzucenie. Stopy jej spuchły. Palce właściwie nie mieściły się w czubkach, a zawiązanie sznurówek było niemożliwe. Nie mogła się tak nisko schylić. Buty zwykle sznurowała jej Siobhan.

Cóż, trzeba zostawić sznurówki tak, jak są. Będzie tylko musiała uważać, żeby się nie zaplątać i nie potknąć. Dopiero by to było! Roza aż zachichotała na samą myśl.

Wciąż dochodziły do niej odgłosy przyjęcia. Wkrótce zapewne ucichną - już niedługo Joe będzie musiał stanąć u boku Jenny i ścisnąć rękę gościa na pożegnanie. Roza pomyślała o tym, co Joe składa w ofierze, z jakich części samego siebie rezygnuje, kochając Jenny, i zrobiło jej się go trochę żal. Ale Joe chyba nie tak bardzo różnił się od niej.

Ona również z wielu rzeczy musiała zrezygnować, aby móc związać się z Seamusem, i nie żałowała ani jednej przeżytej razem z nim chwili. W każdym momencie gotowa była powtórzyć każdą decyzję. Ich związek wart był wszelkich poniesionych przez nią ofiar. Właśnie dlatego życie bez niego było takie trudne.

Roza nie zdecydowała się na wyjście na balkon. Nie chciała tam stać niczym upiór w czerni i przyglądać się gościom opuszczającym Rosę Garden. Nie chciała dawać im powodu do gadania. Niech Jenny ma swoje drobne triumfy. Żona Joego tak bardzo się starała wejść w dobre towarzystwo i niesprawiedliwością byłoby odciąganie uwagi od przyjęcia, które tak się Jenny udało. Roza nie odczuwała potrzeby, by ktoś ją zauważył albo zapamiętał. Postanowiła skorzystać z wąskich schodków, których używali niewolnicy, kiedy mieli być jedynie usługowymi cieniem dla swoich państwa.

Gdy pierwszy raz zobaczyła te schody, bardzo jej się nie spodobały, gdy jednak wtopiła się w życie Rosę Garden, doszła do wniosku, że nie tylko niewól-

nicy mogą z nich korzystać. Choć były wąskie, a stopnie przypominały raczej drabinę, dawała jakoś radę sprowadzać na dół swoje ciężkie ciało, a wówczas, przez nikogo niezauważona, była wolna. Mogła poruszać się po terenie posiadłości bez nadzoru Jenny. Warto było za to zapłacić krótkim oddechem i bólem rozedrganych ramion, które musiały utrzymywać większość jej ciężaru, gdy z wysiłkiem spuszczała się na dół, stopień za stopniem.

Niewolnicy o niej wiedzieli, uśmiechali się porozumiewawczo, jak sprzysiężeni, lecz zdarzało się również, że kobiety wprost zaklinały ją, prosząc o ostrożność. Za każdym razem przysięgała, że będzie uważać, ale już w następnej chwili robiła to, co chciała.

Noc okazała się chłodniejsza, niż Roza sądziła. Uzmysłowała sobie, że już od wielu dni nie wychodziła na dwór, jeśli nie liczyć siedzenia na balkonie w południe. Może właśnie dlatego tak bardzo potrzebowała świeżego powietrza. W dodatku była rozgrzana, spocona. Powietrze naprawdę chłodziło skórę. Pożałowała, że wyszła w samej tylko sukni, nie pomyślała nawet o tym, żeby narzucić na ramiona szal. Po dziecinnemu usłuchała głosu nagłej tęsknoty, która odezwała się w niej szeptem.

... Wyjść...

Usłuchała tego polecenia, bezmyślnie wymknęła się z domu. A teraz w ciemności marzła, ale sprawiało jej to przyjemność, chociaż odrobinę żałowała podjętych kroków, lecz do tego trudno jej się było przyznać nawet przed samą sobą.

Stajenni zaczęli już wyprowadzać powozy gości, co oznaczało, że przyjęcie naprawdę się kończyło.

Roza nie zdawała sobie sprawy, że zejście po wąskich, stromych schodach zajęło jej aż tyle czasu.

W stajni umieszczono wiele obcych koni. Teraz, gdy je zabrano, zostało jeszcze ich przytulne ciepło. Dobry zapach zwierząt, zapach koni.

Przypominał jej Seamusa...

Poznała go w stajni. Przebudziła się nagle i popatrzyła wprost w jego piękną twarz. Wzięła go wówczas za szaleńca, bo już wtedy wyznał jej swoją miłość.

Roza na to wspomnienie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Również w stajni wzięła z nim w pewnym sensie ślub. Świadcami tej niewiele mającej wspólnego z sakramentem uroczystości byli wuj Seamusa, Frank, jako odprawiający ceremonię ksiądz, i Molly, kochanka Seamusa z młodości.

Ten ślub nie był prawdziwy, nie wiązał ich ze sobą ani wobec prawa, ani wobec Boga, lecz dla niej i dla Seamusa to małżeństwo było tak samo dobre jak każde inne. Uważali się za małżonków.

Rozmawiali o tym w ciszy nocnych godzin, kiedy mogli mówić do siebie jedynie szeptem ze strachu, że ich głosy poniosą się za daleko i ktoś obcy usłyszy. Rozmawiali o tym po śmierci Petera. Rozważali powtórzenie ceremonii. Ich małżeństwo byłoby wtedy prawdziwe. Legalne. Wiążące. Nikt nie mógłby zniszczyć tego, co ich łączyło, czym dla siebie byli.

Mimo wszystko jednak zrezygnowali z powtórnego ślubu. Nawet Seamus, któremu w dzieciństwie wbito katolicką wiarę i do głowy, i w skórę, nie dostrzegał żadnego grzechu w tym, co ich łączyło.

Uważał ich małżeństwo za całkiem prawdziwe, nie traktował tego ani trochę jako oszustwo.

- Nie żyjemy w grzechu - szeptał do Rozy, pocałunkami usuwając wszelkie ślady jej wątpliwości. - Jak to możliwe, żeby coś, co odbieramy jako takie dobre, było tak naprawdę złe? Jak można to uważać za grzech śmiertelny?

Roza nie potrafiła dać mu na to żadnej odpowiedzi.

- W jaki sposób zdołalibyśmy wyjaśnić, że pobieramy się po raz wtóry? - zachodził w głowę. - Jak moglibyśmy ich przekonać, że już i tak jesteśmy prawdziwym małżeństwem?

Roza nie wiedziała. Pragnęła ponownej ceremonii, ale dała temu pokój. Z taką łatwością dała się porwać temu, co Seamus uważał za słuszne. Już taki był. Potrafił wciągnąć innych ludzi na tę falę, na której sam płynął. Potrafił ich nakłonić, by skoczyli za nim w ogień i w wodę. Jego zapał, przepełniony radością, był wprost zaraźliwy.

Roza miała nadzieję, że jej niepewność nie poprowadziła go na zatracenie. Myślała o opowieściach o piekielnym ogniu, wyobrażała go sobie. Widziała twarz Seamusa przez płomień i, chociaż jego oczy błyszczały i tańczyły, nie do końca potrafiła uwierzyć, że Seamus nie cierpi.

Ogień nie był jedynie oczyszczeniem. Ogień potrafił niszczyć. Oznaczał ból. Wieczne zatracenie.

Ich miłość nie powinna go tam zaprowadzić.

... Natalio... powiedz mi, że to nieprawda...

Roza wśród ciemności pospieszyła do stajni. Nikt jej nie widział. Mężczyźni zbyt byli zajęci zaprzęgnięciem koni do powozów, wyprowadzaniem ich przed

wejście do domu, ustawianiem w cieniach licznych kolumnienek, by tam czekały na właścicieli.

W stajni panowało przytulne ciepło, tak jak Roza sobie to wyobrażała. Jej ściszony głos zabrzmiał znajomo, gdy przemówiła do koni, należących do Rose Garden. Nie była obca. Zwierzęta dobrze znały jej głos, zapach i sposób chodzenia. Dotyk jej dłoni na pyskach był lekki i ciepły. Przywitały ją i pozwoliły zostać ze sobą. Może wyczuwały, że Roza potrzebuje samotności i że nie doskwiera jej ona tak bardzo, gdy czuła bliskość zwierząt.

Ukryła się w najciemniejszym kącie. Bele siana utworzyły wokół niej coś w rodzaju twierdzy. Poczowała się jak w jednej z jaskiń, do których uciekała razem z Olem, gdy byli dziećmi.

Kiedy ojca dopadały humory, wymykali się z domu, wspinali po zboczach góry i wyszukiwali skalne występy. Niekiedy były to prawdziwe jaskinie. Tam siadali przytuleni jedno do drugiego i opowiadali sobie baśnie, żeby zapomnieć, że jest im zimno, że są głodni albo że boją się ciemności. Osłaniające ich skalne ściany, ciepło bijące od drugiego ciała, bliskość drugiego człowieka, u obojga przywoływały wrażenie, że są bezpieczni.

A teraz półmrok panujący w stajni, oddechy koni, ułożone w stosy bele siana, przypominające tamte jaskinie, sprawiły, że Roza poczuła się bezpieczna, chroniona. Skuliła się na miękkim sianie. Rozgrzała się. Zamknęła oczy, rozkoszując się tym uczuciem.

Seamus...

... pozwólcie mi jeszcze raz zobaczyć Seamusa, jeszcze ten jeden jedyny raz...

4

Ktoś ją wzywał. Roza wyraźnie słyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Wołanie dochodziło z daleka. Jasny głos. Dźwięczący jak odgłos mosiężnego dzwonka. Głos biegnący przez bezkresne morze. Bardzo się spieszyła, żeby się obudzić. Tak ogromnie tęskniła za widokiem tej kochanej twarzy!

... Nareszcie...

... Natalia!

Nie będzie już dłużej zwlekać!

Próbowała się podnieść, lecz nagle przeszył ją ból, jakby ktoś wbił jej nóż prosto w krzyż. Odjęto jej władzę w nogach i rękach. Wnętrzem dłoni Roza wyczuwała kłujące źdźbła siana. Wiedziała, gdzie jest. Wiedziała, dlaczego przyszła do stajni. Obudziła się i wiedziała, że zasnęła. Pamiętała, że ledwie musnęła krawędź snu. To, co dźwięczało jej w uszach, było ledwie początkiem, dźwięk równie lekki i piękny jak świergot ptaszków na zboczach ponad Kafjorden w ciepłe lipcowe dni.

Stopy odmawiały posłuszeństwa. Nie chciały jej dźwignąć. Nie chciały jej nosić. Nie mogła pojąć, dlaczego własne ciało przestało jej słuchać. Dopiero gdy poczuła, że siano wokół stóp i pod nią jest wilgotne, przestała się dziwić.

- Ach, nie!

Roza przełknęła ślinę i zdusiła zarówno strach, jak i śmiech. Nie było tu miejsca na takie reakcje. Wbił się w nią kolejny nóż, przeszył ją i przygwoździł do zasypanej sianem podłogi. Przyjęła go niczym łuk ze zbyt sztywnego i suchego drewna. Nie była w stanie zdobyć się na miękkość, która pozwoliłaby jej pójść za nim, stopić się z bólem.

Walczyła z nim.

Roza miała wojowniczą naturę. Bezwolne posłuszeństwo i uległość były jej obce.

Krzycz!

Nie.

... Krzycz...

Tu w stajni było ciepło. Nie czuła się sama. Tak tu ciepło i przytulnie, zresztą nie da rady dojść z powrotem do domu.

A nikt nie będzie jej nosił!

Przytulnie tu i dość czysto. Niechże więc się to stanie. Trzeba na to pozwolić. Później ich zawoła. Później będzie krzyczeć. Tak bardzo wówczas osłabiona, że nie da rady stanąć na nogi i nie będzie nawet mogła tego od siebie wymagać. A wtedy niesienie na cudzych rękach po schodach z kolumienkami nie będzie oznaczać żadnej klęski.

- Wybacz mi, Seamusie - szepnęła i zaraz zagryzła wargi do krwi, bo ciałem targnął następny skurcz. - Wybacz mi!

Nie widziała go. Wierzyła jednak, że on jest przy niej. W głowie jej się nie mieściło, że mógłby w takiej chwili być gdzieś daleko.

... Oczywiście, że tu jesteś! Gdyby było inaczej, to dlaczego to miałyby się wydarzyć akurat teraz?

Zrozumiały się staję, że to twoje myśli, twój głos, Seamusie, wezwały mnie do stajni! Rozumiem, że to twoja miłość sprowadziła mnie tutaj.

To rzecz oczywista, że weźmiesz udział w tym cudzie, który akurat następuje! Zawsze marzyłam, byś w takiej chwili był przy mnie, trzymał mnie w silnych ramionach, ścisnął za ręce, kiedy bóle staną się nieznośne, kiedy będę mogła jedynie zagryzać zęby z nadzieją, że ich nie połamię...

Nie sądziłam, że śmierć nie pozwoli ci w tym uczestniczyć. Nasza miłość była zbyt mocna, Seamusie, aby tak się stało. Oczywiście, że powinieneś być przy mnie, gdy przychodzi na świat nasze dziecko. Kiedy rodzi się twój syn, Seamusie...

Ja wprawdzie nigdy nie mówiłam o synu, lecz teraz mimo wszystko wierzę, że twoje marzenie się spełni. Wierzę, że wśród tego bólu urodzi się twój syn. Wierzę, że poniesie dalej twoją krew i wszystko, czym byłeś.

Wydaje mi się, że będzie podobny do ciebie. Nie potrafię jednak wyobrazić sobie jego twarzy jako dorosłego człowieka. To bardzo dziwne, bo wyobrażenie twojej córki przychodzi mi z taką łatwością. Wiem dokładnie, jak by mogła wyglądać, gdyby tobie dano więcej dni na tym świecie, tak byś spłodził tę córkę, której nigdy nie dam życia, której nigdy nie urodzę...

Pamiętam wszystko, o czym rozmawialiśmy, Seamusie. Pamiętam twoje marzenia o synu. Pamiętam twoją nadzieję. Nazwę go Michael. Stanie się jednym

z O'Connorów. Nigdy nie będzie miał wątpliwości, gdzie jego miejsce...

- Położyłaś się już, Rosi?

Fiona delikatnie zastukała do drzwi sypialni bratowej. Panująca w środku cisza bardzo ją zaniepokoiła. Weszła więc do środka i zaraz się zorientowała, że pokój jest pusty, podobnie zresztą jak ich wspólny salonik. Rosi nie siedziała także u dzieci Fiony, tam Fiona zajrzała najpierw. Pospieszyła na dół, a między brwiami rysowała jej się głęboka zmarszczka.

- Ja z nią rozmawiałem - przyznał Joe, udając, że nie widzi spojrzenia, jakie posłała mu Jenny. - Usłyszała, że jestem u siebie w gabinecie - wyjaśnił, zanim ktokolwiek zdążył go spytać. - Rozmawialiśmy o Seamusie.

- Dokąd ona mogła pójść? - zachodziła w głowę Fiona.

- Sprawdziałaś na balkonie? - spytała Jenny i już sama poszła zobaczyć. Nigdzie dalej jednak ich to nie zaprowadziło.

- Pewnie przypomniałeś jej Seamusa i jeszcze zrobiła coś niemądrego! - gniewnym tonem zwróciła się Jenny do męża.

Joe przewrócił oczami, lecz był równie zmartwiony jak reszta rodziny.

- Rosi musi być w którymś z pokoiów - stwierdził i zadzwonił na niewolników służących w domu.

Przeszukanie wszystkich pomieszczeń nie zajęło im zbyt dużo czasu, ale w żadnym nie znaleźli Rosi.

Na czole Jenny rysowały się zmarszczki.

- Ona to robi tylko po to, żeby mnie zaniepokoi-

ić! - oświadczyła. - Schowała się specjalnie. Nie podobają jej się, że urządziłam to przyjęcie. Uważała, że nie wypada. Zbyt krótki czas upłynął od śmierci Seamusa... Robi to przeciwko mnie...

- Rosi nigdy coś podobnego nie przysłoby do głowy - rzekł Joe i siłą zmusił żonę, by usiadła na krześle. Nie oderwał rąk od jej barków.

- Znasz ją dostatecznie dobrze, żeby to wiedzieć, prawda?

- Owszem, dobrze ją znam.

- Rosi nie jest taka - dodał Adam. Tym razem poparcie dla brata przyszło mu bez trudu.

- Rosi nikogo nie obwinia - stwierdziła Fiona. Rodzeństwo O'Connorów trzymało się razem.

Deidre się nie odzywała. Przysłuchiwała się tylko i z całej siły starała się powstrzymać uśmiech. Była skłonna zgodzić się z Jenny: Rosi postąpiła tak, ponieważ chciała spłatać Jenny przykrego figła. I z całą pewnością jej się to udało. Najwyższy chyba czas, żeby wyszła z ukrycia. Jenny przynajmniej na moment wypadła ze swojej roli, zapomniała o godności i dostojności. Na więcej i tak nie można liczyć.

- Master Joseph, sir...

Joe podniósł wzrok i popatrzył na młodą dziewczynę, która nie opuściła pokoju wraz z innymi niewolnikami. Dziewczyna miała wielkie, ciemne oczy. Wargi odrobinę jej drżały, nieustannie zwilżała je koniuszkiem języka. Nie pamiętał, jak jej na imię. Była podobna do wszystkich innych. To Jenny pamiętała ich imiona. To Jenny miała z nimi do czynienia.

- Tak? - spytał poirytowany. Czyżby ta dziewczyna była upośledzona? Nie pojmuję, że nikt już nie

potrzebuje jej usług? Powinna rozumieć przynajmniej tyle, że musi pozostawać niewidzialna, kiedy rodzina ma kłopoty.

- Master Joseph, Missy Rosi...

- Słucham? - zainteresował się Joe. - Co z panią Rosi? Wiesz może, gdzie ona jest?

- Nie - odparła cicho dziewczyna. - Nie. To znaczy tak...

- Albo wiesz, albo nie wiesz - przerwał jej gniewnie Joe.

- Przestań! - syknął na brata Adam, uśmiechając się jednocześnie szeroko, tak jak tylko on potrafił. Okazał przynajmniej odrobinę tkwiącego w nim czaru i jasności.

- Co nam chcesz powiedzieć o Miss Rosi? - zwrócił się do służącej. - Nie bój się, tylko powiedz nam wszystko, co wiesz! Jestem pewien, że to nie twoja wina, bez względu na to, o co chodzi...

- Missy... Missy Rosi... czasami używała tylnych schodów...

- Ha! - oburzyła się Jenny. - To niemożliwe, żeby Rosi w swoim stanie chodziła po tych stromych schodach! Przecież ona by się tam nie zmieściła, są dla niej za wąskie!

Młoda niewolnica milczała, zaciskając ręce na białym fartuszk, który był teraz bardziej pognieciony niż w chwili przybycia gości.

- Kiedy Miss Rosi ostatnio używała tych schodów? Co o tym wiesz? - dopytywał się Adam, który teraz nie krył się już z niczym. Uśmiechnął się promiennie, rozbrajająco, ukazując zęby, a dziewczyna przy drzwiach wyraźnie się odprężyła. Patrzy-

ła wyłącznie na niego. Mówiła jedynie do Adama.

- W zeszłym tygodniu - powiedziała cicho.

- W zeszłym tygodniu? - powtórzyła Jenny i roześmiała się drwiąco. - Wybaczcie, ale nigdy w to nie uwierzę.

- Wiesz to na pewno? - spytał dziewczynę Joe.

- Sama byłam już w połowie schodów - szepnęła prędko młoda Murzynka i wbiła wzrok w czubki butów. Lśniły. - Miałam zmienić pościel i szłam z naręczem prześcieradeł. Bałam się, że je upuszczę, kiedy musiałam się cofnąć, ponieważ ją spotkałam. No bo Missy Rosi nie mogła się cofnąć. Missy Rosi nie mogła się tam obrócić, ja zresztą też nie, ale mnie łatwiej było schodzić tyłem niż jej.

Umilkła.

Pozostali również milczeli.

- Nie upuściłam żadnego prześcieradła - dodała młoda niewolnica. - Missy potrzebowała bardzo dużo czasu, ale udało jej się zejść po tych schodach. Lubiła tamtędy wychodzić. Lubiła wychodzić, żeby po- być trochę sama. Robiła tak, odkąd tu przybyła.

- Wychodziła wieczorami? - spytał Joe.

Dziewczyna kiwnęła głową.

Adam uśmiechnął się leciutko.

- Możesz odejść - oznajmił Joe niewolnicy, która, dygnawszy, usunęła się. Zniknęła tak prędko i bezszelestnie, jakby ją sam diabeł gonił.

- Rosi robi, co zechce - stwierdził Adam. - Dokąd, do pioruna, mogła pójść?

- Rozmawialiśmy o Seamusie - myślał głośno Joe. - Dokąd poszedłby Seamus?

Bracia wymienili spojrzenia. Obaj znali odpo-

wieść. Wypadli z pokoju, zanim Jenny zdążyła się podnieść.

- Ta przeklęta stajnia! - wycedziła przez zęby.

Pospieszyła za Joem i Adamem, a Fiona deptała jej po piętach. Nie miały nawet czasu zamknąć za sobą drzwi. Jeszcze długo słysząc było stukot ich obcasów. Tylko Deidre nie ruszyła się z miejsca. Teraz, gdy została sama, nie musiała już dłużej ukrywać uśmiechu. Śmiała się głośno.

Muszę krzyczeć. Ale nie mogę. Nie mogę krzyczeć! Wystraszyłabym konie, gdybym zaczęła krzyczeć. Nie mogę!

Seamus...

Seamusie, nigdy nie potrzebowałam cię tak, jak potrzebuję cię w tej chwili! Powinieneś być teraz przy mnie. Muszę wierzyć, że przy mnie jesteś...

Nie wolno ci do mnie mówić. Nie wolno. Tylko przy mnie bądź! Tak potrzebuję dotyku twoich dłoni...

Jestem szalona. Wszyscy powiedzieliby, że oszalałam. Rozmawiam z nim tak, jakbym wierzyła, że on żyje. Jak gdyby mógł mnie dotknąć, jak gdybym mogła poczuć, że to zrobił. Rozmawiam z nim tak, jakby on mógł mnie objąć, jak gdyby mógł mi pomóc przez to przejść.

Powinłam krzyczeć. Wołać, żeby ktoś mnie usłyszał. Ale do głównego budynku mój krzyk i tak by nie dotarł. Mogłabym tu umrzeć, zdarłszy gardło do krwi, a i tak nikt by mnie nie usłyszał. Do chat niewolników moje wołanie by doleciało. Oni by mi pomogli.

Nie mogę krzyczeć. Nie mogę straszyć zwierząt. Te, które stoją najbliżej, i tak już się niepokoją. Sły-

sze, jak uderzają kopytami. Jak gdyby wężem wyczuwały, że coś jest inaczej niż zwykle, że dzieje się coś złego. Jakby wiedziały...

... nie będę krzyczeć...

... taka jesteś uparta, mała. Czy ty się nigdy nie nauczysz? Jesteś taka dumna, że wyglądasz, jakbyś kij połknęła. Czujesz, że cię trzymam, malutka? Czujesz, że ocieram ci pot z czoła? Spływa kroplami, tak się pocisz. Czujesz, że cię obejmuję, skarbie? Siedzę w głowach tego posłania, które sobie wybrałaś. Trzymam cię w objęciach. W każdej chwili możesz mnie złapać za ręce. Nie jesteś sama, skarbie. Nie sądziłaś chyba, że zostawię cię samą w takiej chwili, prawda? Nie pozwoliłaś się zwieść myśli, że cię opuściłem?

- Seamus?

Głos tak ci drży, najdroższa. Nie trać sił na mówienie. Niezwykle miejsce sobie wybrałaś na wydanie na świat mego syna. Śmiałym się z tego, gdybym się tak o ciebie nie bał. Czy na pewno tak ma być? Czy naprawdę kobiety aż tak cierpią podczas porodu? Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? Nie chciałem, abys tak cierpiała, najdroższa...

- Chciałeś mieć syna, Seamusie...

Nareszcie zrozumiałaś, że to będzie syn? Wiedziałem, że tylko się ze mną drażnisz. Byłem pewien, że ty również to wiesz. Jesteś za mądra, żeby się omylić. Nie on pierwszy przyjdzie na świat w stajence...

- Nie rób sobie takich żartów! Nie żartuj sobie z tego, Seamus! Twojej matce by się to nie spodobało...

Oddychaj! Oddychaj, najdroższa! Czujesz, że cię podtrzymuję? Czujesz, że przekazuję ci swoją siłę?

Nie jesteś sama, moja Rosi. Nie jesteś sama. Nigdy nie będziesz sama. Czujesz moje objęcia, najmilsza?

- Tak, Seamusie! Tak, czuję! Obejmuj mnie! Nie puszczaj mnie, Seamus! Nie puszczaj! Trzymaj mnie cały czas! Obejmuj mnie, nie będę krzyczeć, Seamus, tylko mnie trzymaj, nie zostawiaj mnie samej... Nigdy nie zostawiaj mnie samej...

- Nikogo tu nie ma - oświadczyła Jenny, ledwie tylko zdążyli otworzyć drzwi do stajni. Zatrzymała się kawałek przed wejściem, ręce skrzyżowała na piersiach. Chłód nocy przenikał przez jej ciemnobrunatną suknię z jedwabiu, pokrytego czarną koronką. Suknia miała bardzo skromny fason. Tak Jenny powiedziała Joemu, gdy zauważył, że żona nie nosi czerni. Teraz pożałowała, że nie ubrała się w coś rozsądniej szego, na przykład w tę suknię z cieniutkiej czarnej wełenki, którą włożyła na pogrzeb Seamusa.

- Cóż, na miłość boską, Rosi miałyby robić w stajni? Nie pojmuję, po co w ogóle tu przyszliśmy - ciągnęła.

- My jesteśmy z rodziny O'Connorów - odparowała Fiona. - My rozumiemy. To ci musi wystarczyć, Jenny. Aż zanadto!

Joe nie wziął żony w obronę. Wiedział, że jeśli ich poczynania nie odniosą skutku, Jenny to sobie zapamięta. Być może zapamięta to sobie i tak. Doprawdy, była zmuszona do przełknięcia wielu kropli gorzycy z uwagi na Rosi. Nie będzie myśleć o tym, że to ona sama zaproponowała Rosi, by zamieszkała pod ich dachem do czasu narodzin dziecka.

- Matko Najświętsza! - syknęła Jenny przez wą-

skie, napięte wargi. - Modłę się o to, by to dziecko urodziło się jak najprędzej!

Zdecydowała się w końcu wejść do stajni za ro-
dzeństwem O'Connorów.

- Nikogo tu nie ma - powtórzyła.

- Cicho bądź! - poprosił Adam.

Jenny chciała coś powiedzieć. Nie życzyła sobie, by pouczano ją, jak ma się zachowywać. Owszem, pozwalała na to Joemu. Ale Adamowi nie wolno od-
zywać się do niej w taki sposób. To przecież jej dom! Jej i Joego. To ona dostała te przeklęte papiery na Rose Garden od Seamusa...

- Cicho!

Usłyszała to niemal równocześnie z nimi. Jakiś słaby odgłos. Ciche pojękiwanie. Głos, który starał się mówić jak najciszej. Boleść zdradzały lekkie jęki, dobiegające z głębi stajni.

Bez słowa poszli za głosem. Nawet Adam miał dość rozumu w głowie, by się nie odzywać. Szedł w cieniu za Joem i zaciskał usta. Jenny dogoniła Fionę.

- Co to jest? - szepnęła Jenny tak cicho, że tylko Fiona mogła ją usłyszeć.

- Twoje życzenia, widać, się spełnią - odpowiedziała jej cierpko szwagierka. - Twoje modlitwy zostały wysłuchane. O ile się nie mylę, dziecko właśnie się rodzi...

Zbliżali się już do rogu budynku, w którym pod ścianami ustawiono bele siana. Przed karmieniem koni zdejmowano je ze stryszku i umieszczano właśnie tutaj, jak najbliżej zwierząt. Tak było najwygodniej.

- Chciałeś mieć syna, Seamusie... - dobiegł słaby głos gdzieś z ciemności.

- Dobry Boże, ona rozmawia z Seamusem! - Jenny przycisnęła ręce do uszu. - Nie chcę tego słuchać!

- Nie rób sobie takich żartów! Nie żartuj sobie z tego, Seamus! - prosił głos Rosi. Pobrzmiwał w nim ton rozbawienia, jak gdyby z kimś się droczyła, jakby flirtowała. Takim tonem rozmawiała z Seamusem. - Twojej matce to by się nie spodobało...

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Słuchać było tylko oddech Rosi. Nierówny, urywany. Musiała odczuwać ból. Dyszała jak pies w upale.

Fiona już chciała do niej przyskoczyć, ale Joe ją powstrzymał. Jenny nie chciała patrzeć. Nie chciała słuchać. Najchętniej w ogóle by o tym nie wiedziała. Rosi postradała zmysły. To nie wróżyło nic dobrego. Nawet Adam stał nieruchomo, na nikogo nie patrząc. Wszyscy tylko nasłuchiwali. Jak gdyby oczekiwali, że zaraz usłyszą znajomy roześmiany głos. Jak gdyby w głębi ducha spodziewali się, że on jej odpowie...

- Tak, Seamusie! - uradowała się Rosi. - Tak, czuję!

W słowach, które z siebie wydusiła, dźwięczało tyle radości, że Joemu aż łzy trysnęły z oczu. Nawet nie próbował ich ukrywać.

- Obejmuj mnie! Nie puszczaj mnie, Seamus! Nie puszczaj! Trzymaj mnie cały czas! Obejmuj mnie, nie będę krzycheć, Seamus, tylko mnie trzymaj, nie zostawiaj mnie samej... Nigdy nie zostawiaj mnie samej...

- Nie zniosę tego dłużej!

Jenny po ciemku rzuciła się ku wyjściu. Joe prędko popatrzył na Adama.

- Potrzebujemy kobiet. W chatach niewolników musi być taka, która pomaga w wydawaniu dzieci na

świat. Dowiedz się, która to. Obudź ich wszystkich, jeśli okaże się to konieczne...

Adam kiwnął głową, ale wciąż nie ruszał się z miejsca.

- Będą pytać, czego nam potrzeba - dodała prędko Fiona.

Uwolniła się z uścisku brata i już wspinała się po belach siana, odgradzających ich od Rosi.

- Po prostu sprowadź tu kogoś, Adamie. Potrzebne nam będą prześcieradła. Jenny i Deidre mogą pomóc. Prześcieradła, koce i ściereczki. Czyste nożyce. Albo nóż. Tylko musi być czysty. Nie możemy jej przenieść.

Zsunęła się na drugą stronę zapory z siana i uklękała przy bratowej. Joe zaczął odrzucać siano, tarasując drogę. Zaprzeszał tego, gdy mógł już widzieć obie kobiety.

- Spójrz na nią! - poprosiła Fiona. Płakała. - Popatrz na nią, Joe! Co o tym powiesz? Co powiesz o takiej rzeczy, Joseph? Jak to, twoim zdaniem, wygląda?

Joe ruszył po wyschniętym sianie. Zatrzymał się. Patrzył, jak Fiona nachyla się nad maleńkim tłumoczkim, leżącym u krawędzi spódnicy Rosi.

- To chłopiec - szepnęła Fiona, niemal oślepiiona łzami. - Otrzyj mi oczy, Joe! Słyszysz? Otrzyj mi oczy! Przecież nie widzę tego maleństwa!

Joe przykucnął przy siostrze i suchymi, choć nie bardzo czystymi koniuszkami palców otarł łzy z oczu Fiony. Nie mógł się nasycić widokiem maleńkiej istotki, którą podniosła z ostrego, kłującego siana.

Rosie wbiła pięty w podłogę i przygryzła wargi. Ciało wciąż miała wygięte, oddychała falami. Oboje

obserwowali ją ze zdziwieniem, aż w końcu Fiona pierwsza pojęła, co się dzieje.

- Matko Przenajświętsza! - wykrzyknęła i podała wilgotnego jeszcze noworodka Joemu.

Nie pozostawało mu nic innego, jak nastawić dłonie i przyjąć dziecko. Odniósł zupełnie inne wrażenie, niż się spodziewał. Skóra dziecka była jakby nasmarowana tłuszczem. Nie rozumiał tego. Swoje dzieci trzymał na rękach dopiero, gdy już je umyło i oporzędowano. Temu maleństwu nie odcięto nawet pępowiny.

- Oddychaj, Rosi! - poprosiła Fiona i bez zażenowania podciągnęła Rozie spódnice.

Joe odwrócił wzrok. Trzymał w objęciach malusieńkiego chłopczyka, maleńkiego synka Seamusa, tulił go do siebie tak mocno, jak mógł, starał się przekazać mu całe ciepło swoich nagich dłoni. Przeklinał w duchu, że Adamowi tyle czasu zabiera sprowadzenie jakiejś kobiety z chat niewolników. I przecież Jenny i Deidre powinny przyjść z prześcieradłami i kocami!

- Gdzie oni się, u diabła, podziewają!

- Nie przeklinaj przy rodzącej! - oburzyła się Fiona. Roza oddychała ze świstem, przez zęby.

- Możesz krzyczeć - prosiła ją Fiona. - Możesz dyseć. Krzycz, jeśli cię boli. Oddychaj, jak trzeba. Oddychaj i przyj, Rosi! Przyj!

Joe nie rozumiał, o co chodzi. Nie pojmował tego z oddychaniem i parciem. Przecież dziecko już się urodziło. Reszta powinna wyjść sama z siebie. Z całą resztą było już dobrze, przynajmniej u koni. Niezbyt dobrze się orientował, jak się to odbywało, gdy Jenny rodziła dzieci. Ona nie chciała, żeby wiedział. Uważała, że to nie jest sprawa mężczyzny. Mężczy-

zna nie powinien brać w tym udziału. Nie powinien tego oglądać. Joe dobrze rozumiał, dlaczego...

- Przyj! - nie przestawała błagać Fiona.

I chociaż Joe właściwie patrzył w zupełnie inną stronę, w tej chwili jego wzrok mimowolnie skierował się na kobiety. Zobaczył, co się dzieje. Na własne oczy ujrzał cud, ale nie pojął go od razu. Wcześniej musiał spojrzeć na maleńkie ciało, które trzymał w rękach.

To było dziecko. Prawdziwe dziecko, chłopczyk. Malusieńkie, żywe, poruszające się dziecko. Tymczasem zobaczył, że Fiona obejmuje dłońmi maleńką główkę i jednym ruchem wyciąga z ciała Rosi jeszcze jedno.

... Jeszcze jedno dziecko...

- To już koniec - roześmiała się Fiona. - Już koniec, Rosi. Masz dwoje! Dwoje! Synka i córeczkę...

Joe usłyszał, że ktoś wreszcie nadchodzi. Trzymał w dłoniach syna Seamusa i słyszał, że nadchodzą inni.

- Spóźniliście się - oznajmił i stwierdził, że nikt go nie widzi.

Później zrozumiał, że płakał. Chociaż się śmiał, łzy płynęły mu z oczu strumieniem.

- Oboje mieliśmy rację - powiedziała nagle Rosi jasnym głosem. - Oboje mieliśmy rację, Seamusie. Jest Michael. I jest Lily...

5

Odetta, niewolnica, oglądała wiele dzieci, przychodzących na świat. Jej ciemne oczy widziały wiele matek. Nie mogło jej zaskoczyć nic, co działo się przy posłaniu rodzącej. Wiedziała, co mówi, gdy twierdziła, że Missy Rosi nie potrzebuje żadnego lekarza.

- Missy Rosi jest zdrowa i silna - oświadczyła przy wtórze parsknięcia, skierowanego w stronę pana Josepha, który posłał Adama po doktora. - Missy jest silna i nic złego jej nie dolega. Jest tylko zmęczona. To minie. A te szczeniaczki dojdą do siebie. Dadzą sobie radę. Ani Missy, ani jej dzieciom nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Aniołowie czuwają nad nimi, nad całą trójką. Nie potrzeba doktora. Aniołowie mają ich w swojej opiece, tak mówi Odetta!

Joe i Fiona wymienili spojrzenia. Odetta już od chwili, gdy przekroczyła próg stajni, zaczęła rządzić. Okazała swą wielkoduszność i wyłącznie dzięki temu wolno im było trzymać dzieci w chwili, gdy przecinała i podwiązywała pępowinę. Troskliwie otuliła też noworodki miękkimi kocami i dopiero po tym pozwoliła Joemu i Fionie zanieść bliźnięta do domu.

Rosi, umyta i przebrana w czystą nocną koszulę, spała. Dzieci leżały obok w kołysce, którą Peter zbił dla swoich potomków. Bliźnięta były takie maleńkie,

że pieśczośliwe określenie Odetty - szczeniaczki - wydawało się jak najbardziej na miejscu.

- Są takie maleńkie - westchnęła Fiona.

- Jak na dwójkę to są duże, Missy Fiona - zaprotestowała Odetta. Ton miała surowy, ale w oczach błyszczała łagodność. Ani na chwilę nie odstępowała od kołyski. - Aniołowie nad nimi czuwają - dodała. - No i Odetta.

Joe zachichotał i jako pierwszy ruszył do drzwi.

- Doktor i tak przyjedzie - rzekł jeszcze do niewolnicy. - I wcale nie dlatego, bym miał jakieś wątpliwości co do Odetty i aniołów.

- Nie powinienes się z nią drażnić! - szepnęła idąca za nim Fiona. - Odetta naprawdę chce dobrze. Przywiązała się do Rosi.

- Joe może ją zastrzelić, jeśli zechce - rzuciła chłodno Jenny ze swego fotela.

Gdy już przenieśli Rozę i dzieci do domu, całkiem się wycofała. Sprawy wyjęto jej z rąk. Uważała, że Joe robi wokół Rozy zbyt wiele hałasu. O ile dobrze pamiętała, nie był aż tak podniecony, kiedy na świat przychodziły jego rodzone dzieci. Z Rozą wszystko wyglądało inaczej.

- Joe jest właścicielem Odetty, Fiono. Może z nią zrobić, co zechce. To niewolnica, Fiono. Zdumiewasz mnie. Nie sądziłam, że przypominanie ci o tym okaże się konieczne. Przecież z niewolników wszyscy żyjemy, moja kochana. Bez nich bylibyśmy brudnym chłopstwem z Irlandii. Bez nich bylibyśmy biedakami pozbawionymi ziemi, mieszkającymi w nędznych ziemiankach...

Fiona nie odpowiedziała. Pobladła wprawdzie, ale

nauczyła się już trzymać język za zębami. Przemknęło jej teraz przez głowę, że Jenny jest zazdrosna.

Jeszcze raz Rozie udało się skupić na sobie uwagę i odciągnąć ją od Jenny. Przez całe przyjęcie Jenny występowała jako królowa i pławiła się w komplementach. Była piękna i zręczna. Szybko się uczyła. Naśladowała przyjęcia urządzone przez ludzi urodzonych w starych domach z kolumnkami, które Jenny liczyła, gdy przybyli do Georgii. Jenny potrafiła sobie radzić, lecz i tak wszyscy wiedzieli, że wyrwała się z biedy. Trzeba kilku pokoleń, by O'Connorowie mogli zacząć się uważać za stary ród z Georgii.

Ale Jenny nie miała czasu czekać. Jenny nigdy nie czekała. To przyjęcie było kolejnym tego dowodem. Tymczasem zdaniem większości sąsiadów nie wypadało urządzać przyjęć w tak krótkim czasie po śmierci dwóch członków najbliższej rodziny. Przybyli to oglądać i pozwolili gospodyni pławić się w dobrych słowach.

Fiona zorientowała się, jak gorzkie były to pigułki, chociaż oblane cukrem. Jenny jednak chciała w to wszystko wierzyć i rzeczywiście błyszczała. Po wyjściu gości mogła dalej pławić się w blasku, gdyby Rozie nie odebrała jej tej możliwości.

- Jesteśmy zmęczeni - powiedział Joe.

Usiłował załagodzić sytuację. Wreszcie pozwolono mu zdjąć marynarkę i uwolnić się od fularu.

- Pora spać - dodał bez cienia gestu wskazującego na to, że usłucha własnego pouczenia.

- Ja i tak nie zasnę - oświadczyła Fiona.

- A ja nie będę z tym miała najmniejszego problemu - stwierdziła Deidre. - Chyba u was przenocuje-

my. Zanim Adam wróci, na pewno zrobi się już bardzo późno.

- Już jest późno - uznała Jenny i poszła za szwagierką. Mężowi jedynie przesłała pocałunek w powietrzu. Nawet z daleka wydawał się bardzo chłodny.

- Czy ktoś posprząta w stajni? - spytała Fiona, kiedy w salonie została już sama z bratem.

Joe pokręcił głową.

- Nie wydałem takiego polecenia - odparł.

- Czy ty też to zauważyłeś? - spytała cicho Fiona.

Wciągnęła stopy na siedzenie głębokiego skórzanego fotela. Ramionami objęła łydki. Jej prosta czarna sukienka pachniała stajnią i sianem. Spódnica w wielu miejscach była mokra. Nasiąkła wodą i krwią.

- Zapomniałem kazać sprzątnąć - powiedział Joe i rozmasował sobie brwi. W głowie mu pulsowało. Miał wrażenie, że czoło tuż nad oczami ma obwiązane przepaską, która zaciska się coraz mocniej, przyprawiając go o koszmarny ból, tak że świat widział tylko w połowie. - Sam się tym zajmę - dodał.

- Zauważyłeś to - stwierdziła Fiona.

Lampy nieco przykręcono, w pokoju panował półmrok. Ciemne ściany i meble również chłoneły światło. Zasłon nie zaciągnięto. Noc była granatowa, wpadająca w czerń. Latarnie w pobliżu domu wciąż pozostawały zapalone, a między chatami niewolników tu i ówdzie płonęły pochodnie. Poza tym panowała ciemność. Nawet gwiazdy nie rozjaśniały nieba. Było pochmurno, wiatry jakby zamarły.

- Nie wiem, o czym ty mówisz - rzucił Joe siostrze i zamknął oczy.

- Nie zauważyłeś, jak ona leżała? - spytała Fiona.

Mówiła bardzo cicho. Nie chciała, by jej słowa wydo-
stały się poza te cztery ściany, które ich otaczały. -
Myślałam, że ona tak się siłowała, że ciało tak jej się
napięło, że aż sama się uniosła - ciągnęła Fiona cicho,
powoli, każde słowo wypowiadając z namysłem.

- Bo tak było - stwierdził Joe.

- Widziałeś, w jakiej pozycji leżała.

- Owszem - powiedział Joe.

Pomimo zamkniętych powiek wciąż miał przed
oczami to, co się wydarzyło. Widział, nie patrząc.
I dopiero niedawno pojął, co usiłowała powiedzieć
mu Fiona. Ta myśl pojawiła się ledwie chwilę wcześ-
niej, niż siostra o tym wspomniała. Nie wpadłby na
to, gdyby nie był taki zmęczony. Gdyby tak bardzo
nie chciało mu się spać, nigdy nie dopuściłby do sie-
bie podobnej możliwości.

- Leżenie w takiej pozycji jest niemożliwe - oświad-
czyła Fiona. - Nie da się utrzymać ciała w ten sposób,
unosić górną połowę ponad ziemią bez pomocy rąk.
To niewykonalne, gdy rodzi się dwoje dzieci.

- Może przytrzymała się siana - podsunął Joe.

- Ona się nie podniosła na rękach! - co do tego
Fiona miała absolutną pewność. - Odpychała się no-
gami od ziemi, ale nawet sznurówek nie zawiązała,
nie bardzo więc miała jak zaprzeć się stopami. Na
ramionach się nie dźwigała. Wszystkimi siłami par-
ła. Ja rodziłam dzieci, Joe, wiem, o czym mówię. Ro-
si wszystkie swoje siły zużywała na to, żeby przeć
i żeby nie krzyczeć.

- Było ciemno - stwierdził Joe. - Dookoła leżały
kupy siana. Nic nie było widać wyraźnie. Na pewno
wszystko ma swoje wytłumaczenie.

- Wcale nie twierdę, że wytłumaczenia nie ma - odparła z powagą jego rudowłosa siostra. Jej szare oczy nabrały niebezpiecznego blasku. - Jestem przekonana, że to się da wytłumaczyć, Joseph. Nawet ty byś potrafił, gdybyś zechciał. Ale nie wiem, czy chcesz. Nie wiem, czy starczy ci odwagi.

- Nie wierzę w duchy - stwierdził krótko Joe.

- Przecież ją słyszałeś.

- Ty też rodziłaś dzieci, prawda? - Joe przewrócił oczami i oparł stopy na haftowanym podnóżku. - Sama o tym wspomniałaś - wytknął siostrze z lekkim uśmiechem. - Ona była pioruńsko dzielna, nie krzyczała. Za to bredziła w malignie. To oczywiste, że myślała o Seamusie. O wiele dziwniejsze by było, gdyby w takich chwilach wzywała kogoś innego. Ale wierzyć w to, że on tam był... Fiono, od dawna już nie jesteś małą dziewczynką w Irlandii. Dużo czasu upłynęło, odkąd przestaliśmy wierzyć w baśnie i elfy...

- Seamus nigdy nie przestał w nie wierzyć - uśmiechnęła się lekko Fiona.

- Seamus nie żyje - oświadczył z mocą Joe tonem, który nie pozostawiał miejsca na jakikolwiek sprzeciw. - I ty, i ja widzieliśmy Seamusa, jak rzucili go przed schody Favourite. Niemożliwe, aby któreś z nas się omyliło. Wszyscy widzieliśmy, że to on. To był Seamus, nasz brat. Czuwaliśmy nad jego zwłokami z taką samą starannością, jak robi się w domu, w Irlandii. Wyprawiliśmy mu pogrzeb, daliśmy grób. Seamus umarł.

- Wiem o tym.

Fiona poczuła smak własnej krwi. W czasie gdy jej myśli wędrowały tam, gdzie nie powinny, ugryzła się w dolną wargę.

- Umarł i oszczędł.

- Wiem.

- To znaczy, że coś sobie wmawiamy!

Fiona pokiwała głową. Wydawało się, że Joe mówi bardzo rozsądnie.

- Żadne z nas nie przywykło do życia bez niego - podjął Joe. Bębnił w poręcz fotela. Odgłos uderzeń szczupłych palców brzmiał jak deszcz. - To Seamus myślał za nas wszystkich. To on decydował i robił wszystko to, czego myśmy nie chcieli. Jemu przychodziło to z łatwością. Przynajmniej tak się wydawało. Nigdy nie wyglądało na to, że potrzebna mu jakaś pomoc. Mogło się wręcz wydawać, że jesteśmy mu niepotrzebni.

- Za to my potrzebowaliśmy Seamusa - Fiona dokończyła myśl brata. - Wydaje mi się, że wciąż nie pojmujemy, ile dla nas zrobił. O ilu rzeczach musiał myśleć...

Joe uśmiechnął się przelotnie.

- Pomyśl o Rosi - rzekł cicho. - Pomyśl tylko, ile dla niej znaczył. Zrozumiesz wtedy, dlaczego poszła do stajni. Zrozumiesz, dlaczego szukała ciemności. Dlaczego musiała sobie wmówić, że on jest przy niej...

Joe dwoma palcami dotknął ramienia siostry. Była to przelotna pieśczoła.

- Ty masz nas, Fiono. Jesteś jedną z nas. Bez względu na to, gdzie na świecie się znajdziesz, będziesz jedną z O'Connorów. Masz braci. Rosi wie, że nie jest z nami złączona więzami krwi. To Seamus ją z nami wiązał. Teraz są dzieci. Ale jej sytuacja nigdy nie będzie taka sama.

Fiona wiedziała, że brat wcale nie próbuje jej powiedzieć, że śmierć Petera była dla rodziny mniej bo-

leśna niż śmierć Seamusa. Joe nosił żałobę również po Peterze. Byli czymś więcej niż tylko szwagrami. Byli kolegami, przyjaciółmi. Brat wcale nie ważył i nie mierzył Petera. Po prostu pokazał siostrze, jaką ona, Fiona, ma wartość.

Wydaje mi się, że śpię. Czuję własne myśli, poruszam się, mówię. Lecz wokół mnie nie ma nic znajomego. Kiedy ostatnio dotykałam rzeczywistości, zasypiałam. Trzymałam dzieci przy sobie, w objęciach. Czarna kobieta mi je odebrała, najpierw chłopczyka, a potem maleńką dziewczynkę. Wiem, że się nimi opiekuję. Tyle w niej dobroci. Widziałam ją już przedtem, ale nie pamiętam, jak jej na imię. Wstyd mi z tego powodu...

Odetta. Ona ma na imię Odetta.

Rozglądam się dookoła. Jego głos dociera ze wszystkich stron. W myślach proszę, aby dane mi było również go zobaczyć. Nie wystarczy mi rozmowa.

- Seamus? - szepczę.

Nie mam pewności, kto może nas usłyszeć. Boję się, że mogą go skrzywdzić, może chowają się po krzakach, bo przecież to nędzne, tchórzliwe psy. Tak właśnie zrobili ostatnio. Tak go dopadli...

Jego ręce kładą się wzdłuż moich ramion niczym szerokie wstęgi, jakie mogli przed setkami lat nosić jego przodkowie, druidzi. Stoi za mną. Czuję jego bliskość. Czuję, że to on, chociaż jego ciało nie dotyka do mojego. Jego siła była zawsze jak peleryna. Teraz muskają mnie jej brzegi.

Powoli, nieskończenie wolno, niemal sprawiając mi tym ból, obraca mnie ku sobie. Rozpoznaję ten

ruch. Nie ma w nim nic groźnego ani niebezpiecznego. Robił to już tyle razy wcześniej. Zamykam oczy. Chowam się za powiekami, pozwalam mu sobą kierować.

Popatrz na mnie, Rosi!

... boję się...

W kurzu przed Favourite wyglądał jak potłuczona lalka. Leżał w pożyczonym ubraniu, lecz nawet ono nie wywiodło ich w pole. Wiedzieli, kim jest. Pamiętam, że zobaczyłam go wtedy i pomyślałam, że Seamusa nigdy nie da się przebrać za kogoś innego.

Leżał zabity u moich stóp. Bez życia, zimny, sztywny. Od tamtej chwili upłynęło niewiele tygodni. Mniej niż mam palców u rąk. Leżał martwy u moich nagich stóp, mój mąż.

... Mój kochanek...

Nie zostałam wdową po nim. Ale jestem sama. Nikt nigdy nie pozostawił mnie w takiej samotności jak on. Mój Seamus.

Szare oczy przyglądają mi się badawczo. Pod ukośnymi brwiami są jak smutne trójkąty. Wąski nos rzuca cienie na zmysłowe usta. Dolna warga jest nieco za duża. Kiedy on się uśmiecha, podciąga kąciki ust w górę i robi się przez to podobny do wiewiórki. Albo do gronostaja. Brodę ma taką wąską jak pyszczek gronostaja. Twarz jest naznaczona bruzdami, pełna cieni. Policzki zawsze miał lekko zapadnięte, ale kiedy się uśmiecha, wygląda dobrze. Włosy lekko mu się wiją. Zawsze są trochę za długie. Grzywka uparcie opada mu na czoło. Ma wysokie, proste czoło, z wyraźnymi zmarszczkami. Te zmarszczki kłamią, nie mówią prawdy o jego dzieciach.

Wiem, ile ich jest. Wiem, że to się nie zgadza. Żartowaliśmy z tego. Liczyliśmy, ile dzieci będziemy mieć. W jego wypadku to się nie zgadza. W moim wróżba także jest błędna, przynajmniej na razie. To nigdy nie może być prawdą. To tylko dziecienna zabawa.

Obiecałem ci, że nigdy cię nie opuszczę - mówi z uśmiechem.

Ten uśmiech w kształcie półksiężyca. Uśmiech gronostaja. Tęskniłam za tym uśmiechem podczas tych kilku tygodni, kiedy miałam jedynie grób, na który mogłam chodzić. Kawałek ziemi i kamienną płytę z jego imieniem. I bryłkę ziemi, wielkości pięści, z korzeniami konwalii, którą przywiózł z Irlandii. To tak mało w zamian za tego smagłego, silnego mężczyznę, który był moim ukochanym.

- Pozwól mi się dotknąć!

On nie znika, chociaż koniuszkami palców wodzę po bruzdach na zapadniętych policzkach. Uśmiecha się, widząc moje zdziwienie, śmieje się ze mnie, aż w popiele jego spojrzenia błyskają gwiazdy. Dłoniąmi pieścąc jego suchą, lekko szorstką skórę. Moje palce znają jego twarz na pamięć. Nikt nie zdołałby mnie oszukać. Nikt nie mógłby przysłać mi innego i twierdzić, że to on. Znam go. To mój Seamus.

Nienawidzę patrzeć na twój smutek - mówi i łapie mnie za rękę. Wolno całuje końce palców, jeden po drugim, tak zmysłowo, jak tylko on to potrafi. Wargi ma popękane, takie, jak pamiętam. Wcale się nie zmienił.

- Nie wiem, co to jest - zaczynam.

On mnie ucisza. Nawet jego wzrok prosi, bym milczała. Jestem mu posłuszna, nie pytając, dlaczego. Nie sprzeciwiam się.

Nie musisz wiedzieć, co to jest, moja Rosi. To nieważne. Nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Czasami po prostu musisz wierzyć. Czasami wystarczy kochać. Mieć zaufanie. Między nami są obietnice, których nie mogę złamać, kochana. Przymierzenia, których nigdy bym nie złamał. Niektórych nie jestem jednak już w stanie dotrzymać. Ale zawsze będę przy tobie. Nigdy więcej nie będziesz sama...

Staję na palcach. Nie mogę się powstrzymać. Nie mogę być tak blisko niego i go nie pocałować. Warga mi muskam te zmysłowe, uśmiechnięte usta. I nie potrafię przy tym zamknąć oczu. Mam je szeroko otwarte, nawet nie mrugam. Jego pocałunek jest jak echo wszystkiego tego, co przeżyliśmy. Jest w nim coś jeszcze. Jest słodki, dziki i namiętny. I nierzeczywisty.

Wargi mnie później bołą. Są pełne ognia i mrozu zarazem. Pulsuje w nich, tęsknię za nim aż do bólu członków.

Musisz dokonać wyboru - mówi Seamus szorstkim, poważnym głosem, nie wypuszczając mnie z objęć. - *Me zawsze będziesz tutaj, Rosi. Nie było ci pisane zostać panią na Rosę Garden. W zasadzie nie zostałam też stworzona do tego, by rządzić na Favourite.*

Wiem, że on ma rację. Nie urodziłam się do bogactwa.

Miałaś dać mi syna - mówi, a jego miłość jest jak blask słońca. - *I dałaś mi syna. Miałaś urodzić córkę. I ją urodziłaś. Oto dwie gałęzie, które urosną w siłę, Rosi. Jesteś pramatką dwóch rodów, które rozrosną się szeroko. Mój syn poniesie marzenia pod obce nieba, pod inne gwiazdy. Twoja córka będzie zbierać gwiazdny blask tam, gdzie nikt inny nie dostrzega*

światła. Nie żyliśmy na próżno, ani ty, ani ja, Rosi. Daliśmy życie tym dwóm rodom. Dołączyliśmy nowe ogniwa do tych łańcuchów. Wszystko to wyrosło z naszej miłości...

Czuję, że za jego słowami kryje się coś jeszcze. Staram się je zapamiętać, każde z nich starannie wryć w pamięć.

Kocham cię, Rosi. Ufam, że podejmiesz słuszne decyzje. Takie, które poprowadzą nas dalej.

On chce mnie opuścić.

Nie opuszczę cię! - zapewnia. - *Będę żył w każdym twoim dniu. Lecz gdybym codziennie ci towarzyszył, zaraz zaczęto by o tobie gadać, najdroższa.*

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślą inni!

Nic nie zniknie - odpowiada mi łagodnie. - *Dopóki potrafiśz kochać, najmilsza, dopóki nie boisz się śmierci, dopóty będę przy tobie. Nigdy nie bój się życia, Rosi. Nie bój się tego, co w sobie nosisz, bo w tym tkwi twoja siła.*

Mówię sobie w duchu, że życie niewiele już może mi zaoferować. Że kochanie przyniosło mi niewiele oprócz bólu. Przez moment tęsknię za zimą i chłodem. Wśród mrozu człowiek traci uczucia. Jeśli tylko dostatecznie przemarznie, przestaje odczuwać ból.

Już nigdy więcej nie będziesz się bała! - oznajmia mi i całuje mnie w czoło, jak to miał w zwyczaju.

Nie zamykam oczu, wszystko widzę. On przesuwając ręce wzdłuż moich ramion. Dłoniąmi przez chwilę obejmuje moje. Ścisną mnie za ręce tak, jak zawsze robił. Ma takie duże dłonie, silne i bezpieczne. Są takie gorące. A były zimne i sztywne, nie dały się rozgiąć, kiedy wkładaliśmy go do trumny.

Wreszcie mnie puszcza. Ta chwila już minęła. On się nawet nie żegna. Nie musi, bo przecież obiecał, że będzie przy mnie zawsze. A przecież nie żegnamy się z kimś, kogo nie opuszczamy.

Odchodzi ode mnie. To jego kroki. Nikt nie potrafi naśladować kroków Seamusa. Znam odgłos jego butów. Znam nacisk ciężaru jego ciała na podłogę.

Podłogę pokrywa dywan...

Na dywanie nie słyszeć stukania...

Roza gwałtownie się podniosła. Lędźwie ją bolały, pulsowało w nich, przypomniała sobie, że przecież rodziała. Zakręciło jej się w głowie, wiedziała, że jest zbyt słaba, by wstać, ale to właśnie zamierzała zrobić. Spuści stopy za krawędź łóżka i wstanie. Przejdzie po wszystkich pokojach w tym domu, będzie szukać Seamusa, szukać czegoś, co da jej dowód, że nie oszalała. Czegoś, co jej powie, że on naprawdę tu był.

- Missy ma się nie ruszać!

Odetta z ogromnym zdecydowaniem przytrzymała Rozę za ramiona i popchnęła z powrotem na poduszki. A Roza, chociaż nie wyraziła tego słowami, była wdzięczna, że ją zatrzymano. Wszystko wokół niej wirowało.

- Ja tylko chciałam wstać...

- Missy nie wolno wstawać! - oświadczyła Odetta, przygważdżając Rozę ciemnym spojrzeniem.

Była pulchną, rozłożystą kobietą. Policzki miała okrągłe, twarz pełną dobroci, ale wokół ust widoczny był rys zdecydowania. To samo Roza dostrzegła w oczach Murzynki.

- Za kilka godzin dwa szczeniaczki Missy Rosi się

przebudzą, a wtedy powinna być wypoczęta, żeby mogły dostać jeść. Chyba że trzeba poszukać dla nich mamy. Eleganckie panie tak woła. Tak się boją o figurę!

Odetta prychnęła pogardliwie. Wyraźnie dała do zrozumienia, co myśli o eleganckich paniach i ich figurach.

- Ja tylko chciałam wstać - wymamrotała Roza. - Chciałam tylko poszukać...

- ... jego? - spytała Odetta łagodnie i delikatnie, a potem starannie otuliła Rozę kocem.

Rozie dech zaparło w piersiach. Pochwyciła Odetkę migotliwym niebieskim spojrzeniem.

- On cię znalazł, prawda? - spytała Odetta, uśmiechając się domyślnie, wręcz szelmowsko.

- Tak...

- A więc nie musisz szukać - stwierdziła starsza kobieta.

- Słyszałaś go? - szepnęła Roza. - Ty też go słyszałaś? Czy również go widziałaś, Odetto?

- Odetta dużo widzi i dużo słyszy - odparła Murzynka. - Ale głośno o tym nie mówi. Po prostu wie.

Zanim złożyła ręce na bujnym biuście, palcem wskazała na swoją głowę.

- A to, co warte zachowania, Odetta chowa tutaj!

Roza westchnęła. Czuła, że policzki jej płoną, i rozumiała, że nie powinna pytać o nic więcej. Zresztą okazało się to niemożliwe. Ledwie zdążyła ułożyć się na poduszkach, a już Fiona otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Za nią kroczył lekarz.

Odetta obróciła się do niego plecami, jasno dając do zrozumienia, co sądzi o potrzebie jego obecności. Fiona puściła oczko do Rozy, a doktor już otwierał zniszczoną torbę.

- Przywożę pozdrowienia od mojej żony - powiedział ciepło. - Ona bardzo panią lubi, pani Rose O'Connor, i jestem pewien, że wybierze się z wizytą, kiedy nabierze już pani sił i będzie mogła ją przyjąć. Ale najpierw ja sobie obejrzę te panine małe cuda, no i panią...

Nie mogła być wobec niego nieuprzejma. Uśmiechnęła się i pozwoliła się zbadać. To w niczym nie mogło zaszkodzić.

- Co ty robisz? - zdziwił się Adam.

Sam zajął się swoim koniem. Wyprawa po doktora była długa i wyczerpująca, lecz mimo zmęczenia nie chciał oddać własnego konia w ręce innych. Nie na darmo nosił nazwisko O'Connor.

Przeszedł teraz przez stajnię i zatrzymał się, przyglądając się Joemu, który z zakasnymi rękawami ładował siano na wóz, do połowy już wypełniony.

- Sprzątam - odparł Joe.

- Do tego chyba mamy niewolników - przypomniał Adam.

- Właśnie. A ty zajmujesz się robotą, którą powinien wykonać chłopak stajenny.

Adam wzruszył ramionami.

- Kobiety cię do tego namówiły? - dalej wypytywał brata.

- A co, są jakieś babskie reguły, mówiące, jak należy potraktować siano, w którym urodziło się dziecko? Chciałbym, żebyś coś zobaczył - oznajmił Joe, opierając się o widły.

Kiwnął głową, wskazując coś za plecami. Niczego nie wyjaśniał. Adam wyminął go, zerknął w miejsce

wskazane przez brata. Niczego nie dostrzegł. Stajnia była marnie oświetlona. Nie widział nic oprócz siana.

Joe odstawił widły z taką mocą, że aż wbiły się w podłogę. Zrobił kilka kroków i przykucnął. Adam poszedł w jego ślady.

- Na co patrzymy? - dziwił się Adam.

- A jak ci się wydaje? - pytaniem odpowiedział Joe.

- Na siano - odparł Adam. - Na siano, w którym siedział mężczyzna. Widzę ślad odcisnięty w sianie.

- A to widzisz? - Joe odgarnął kilka źdźbeł na bok.

- Krew - powiedział Adam charakterystycznym dla niego lekkim tonem. - Ona leżała w tym miejscu. Nic dziwnego, że jest tu krew. Porody łączą się z krwią. To dość paskudne, ale tak już jest. Nikt wcześniej ci o tym nie mówił, Joseph?

- Ona leżała tak, jakby ją ktoś podtrzymywał - rzekł Joe, patrząc bratu prosto w oczy. - Fiona to widziała. Ja to widziałem. Tak jakby ktoś ją trzymał, Adamie. Leżenie w takiej pozycji jest niemożliwe bez podparcia.

- I co?

- Widzisz te ślady na sianie? Wygląda to tak, jakby ktoś tu siedział. Sam to powiedziałeś. Jak gdyby ktoś tu siedział i ją podtrzymywał...

Adam obrócił się z miną wyrażającą powątpiewanie. Uważnie przyjrzał się sianu. Odciskowi, który się w nim odbił. Musnął go palcami. Joe obserwował go w milczeniu, sam przed chwilą zachowywał się tak samo.

- Skąd mogę wiedzieć, że to nie ty zostawiłeś ten ślad? - spytał w końcu Adam.

- Bo tego nie zrobiłem.

- To niemożliwe. To Rosi leżała w tym miejscu. Odcisnęły się tu jej plecy, barki.

- Jak odgarniesz siano, znajdziesz ślady obcasów - powiedział cicho Joe.

- Zmarli nie zostawiają odcisków butów i wgniecień w sianie - obruszył się Adam.

- To prawda - przyznał Joe. - Tylko jak to nazwiesz?

- Nie wiem - odparł Adam. - Ale pomogę ci zabrać stąd to siano. Jestem zdania, że powinniśmy też wyszorować podłogę. I nikomu lepiej o tym nie mówmy...

Joe zacisnął dłonie na trzonku wideł. Cieszył się, że nie zatrzymał tego dla siebie. Adam zobaczył to samo, co on. A więc nie zrodziło się to wyłącznie w jego głowie.

6

- Nie możesz wydać tych pieniędzy, Adamie! Przecież to dzięki nim mamy zacząć nowe życie!

Deidre ściszyła głos do szeptu. Chociaż byli w domu, obawiała się, że ściany mają uszy, a tej rozmowy nikt nie powinien usłyszeć. Musiała przemówić Adamowi do rozumu.

- Chcesz skończyć tak jak Seamus? - spytała, przypominając sobie widok martwego szwagra. O'Connorowie nigdy nie doznali takiego poniżenia jak wówczas, gdy Seamusa, głowę ich rodziny, ciśnięto w kurz i pył jak nic niewartą padlinę.

- Ludzie, którzy chcą skończyć z przemytem niewolników, są potężni - ciągnęła. - Prędko mogą wpaść na pomysł wydania cię władzom. Masz ochotę zgnieć w więzieniu, Adamie? Chcesz, żeby mały Aidan został bez ojca? Nie dość już w twojej rodzinie dzieci, chowających się bez ojców?

- Z nami też są potężni ludzie - stwierdził Adam. - Na to, żeby wydawać swoje własne pieniądze, nie potrzebuję twojego przyzwolenia, Deidre.

- Swoje własne, uczciwie zarobione pieniądze? - spytała cierpko, czując lodowate szpony, zaciskające się na sercu.

- To broń, której nigdy nie użyjesz przeciwko

mnie, najdroższa - uśmiechnął się Adam z wielką pewnością siebie.

Okropne było to, że miał rację. Deidre nie wierzyła, że mogłaby to wykorzystać przeciwko niemu. Nie mogła wydać go jego rodzinie. Nie mogła zrobić przeciwko niemu tego samego, co on zrobił przeciwko Peterowi i przeciwko Seamusowi.

- Zarobimy dziesięć razy więcej, niż w to włożymy - obiecywał jej Adam. - Zresztą nie chodzi wyłącznie o niewolników. Możemy dużo zarobić na broni. - Urwał i uśmiechnął się szeroko. - Seamus miał takie dobre serce, że oddawał broń za darmo, skarbie. Ale Joe ma rację: teraz są inne czasy. Seamus odszedł, a my załatwiamy wszystko inaczej. Jestem pewien, że mam wielu po swojej stronie. Zadbamy o to, żeby broń dotarła do Irlandii, ale nie będziemy jej dawać w prezencie. Będziemy ją sprzedawać. Może być z tego niezły zarobek

Roztargnionym gestem pogładził ją po włosach. Deidre nie umiała przyjąć tego za pieszczotę. Nie takie rozmowy zwykli prowadzić w łóżku. Kiedyś byli weseli i spragnieni pieszczot, chociaż posłanie mieli proste i twarde. Czasami robiło się w nim wilgotno, bo podłoga była zwykłym klepiskiem. Ale śmiali się i kochali, byli młodzi i radośni, nigdy nie rozmawiali o niczym przerażającym. Bardziej przejmowali się sobą i swoimi marzeniami niż chęcią posiadania...

Deidre pomyślała o tym, jak bardzo byli biedni. Nigdy by tam nie wróciła. Chciała sypiać w ciepłe, w suchej pościeli pachnącej świeżością i lawendą. Budząc się rano, każdego dnia chciała mieć pewność, że starczy jedzenia, że wszyscy będą mogli najeść się do

syta. Chciała mieć pewność, że Aidan będzie bezpiecznie dorastał i że czeka go przyszłość inna niż harówka, której celem jest nabijanie kabzy innym ludziom. Nie chciała nigdy wracać do Irlandii.

I pomyślała, że to na takich samych ludziach jak oni Adam chce teraz zbić swoją fortunę. Na biedakach, pozbawionych nadziei, na nich właśnie chciał się dorobić. To oni mieli zapłacić za tę broń, której im dostarczy.

Może dzięki tej broni zdobędą wolność... W takim razie byłby to dobry uczynek...

- Nie możesz działać za plecami Joego!

- Jeśli uda mi się przeciwną na swoją stronę dostatecznie dużo ludzi - zaproponował Adam - to będę mógł robić, co tylko zechcę. Oni myślą tak jak ja. A potrzebują figury dziobowej, którą będą mogli pokazać w Irlandii. Potrzebują jakiegoś O'Connora, wszystko jedno którego. Brata Seamusa.

- Ciebie?

- Na moją głowę nie wyznaczono ceny - uśmiechnął się. - To Seamus został w Irlandii wyjęty spod prawa. Ja jestem tylko jego bratem, niewinnym bratem. Nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie pokazywano.

- A co z naszym wyjazdem? Co z naszymi planami? Co z Nową Zelandią?

- Naprawdę sądzisz, że coś z tego wyjdzie? - spytał Adam. - Naprawdę wydaje ci się, że Jared junior wyjedzie teraz, kiedy spodziewają się dziecka? Myślisz, że porzuci Blossom Hill, w chwili gdy ma się urodzić potomek, który poniesie dalej jego krew?

- Tak - odparła Deidre i nie czuła się przy tym ani trochę naiwna.

- Jeżeli urodzi się syn, Jared junior za nic pod słońcem nie wyjedzie - wróżył Adam. - Jest mężczyzną. Ty nie wiesz, skarbie, jakimi drogami wędrują nasze myśli. Bylibyśmy tam bardzo osamotnieni. A kto powiedział, że nasze marzenia nie mogą spełnić się tutaj? Możemy mieć najwspanialszą stadninę na wschód od Missisipi. Potrzeba nam tylko trochę pieniędzy. Nie tak znów dużo. Tylko trochę więcej...

- Dlatego chcesz zaryzykować to, co mamy, stawiając na handel niewolnikami i bronią? - spytała Deidre z niedowierzaniem, czując w piersi lodowaty chłód. Żołądek zbił się w twardą kulę. Nie wierzyła własnym uszom. Jej mąż nie może tak mówić!

- Czasami trzeba pójść na całość - stwierdził Adam i przyciągnął ją do siebie.

Nie przyznał się, że już rozmawiał z Jasperem Jordanem.

- Nie możesz chrzczyć dzieci nad grobem! - wykrzyknęła Jenny, aż drżąc z oburzenia.

Dłoniami rozcierała ramiona, by się rozgrzać. Roza pomyślała, że wyraz zdumienia na twarzy szwagierki wart byłby kłamstwa. Ale ona nie musiała kłamać. Chciała, żeby właśnie w ten sposób się to odbyło. Dlatego uśmiechnięta, z wysoko podniesioną głową, obstawała przy swoim.

- Jeśli nie chcesz być matką chrzestną tylko dlatego, że pragnę, aby uroczystość odbyła się przy grobie Seamusa, to będę musiała poszukać kogoś innego - odpowiedziała Roza ze spokojem. - Mam nadzieję, że nie będziesz wzbraniać Joemu, by uczynił mi ten zaszczyt. Dla mnie będzie miało ogromne

znaczenie, jeśli wszyscy bracia Seamusa, którzy są tu w Georgii, zgodzą się zostać ojcami chrzestnymi naszych dzieci.

Jenny zasznurowała usta. Bardzo jej się to nie podobało, lecz tak naprawdę nie mogła odmówić. No i jakże by to wyglądało, gdyby w takiej chwili zabrakło jej u boku męża? Roza doskonale o tym wiedziała. Z całą pewnością właśnie o tym myślała, gdy uśmiechała się z takim zadowoleniem, skrywanym pod udawaną wdowią skromnością.

- Deidre i Adam już się zgodzili?

Roza kiwnęła głową.

- Paddy i Bridget także - dodała. - A Fiony nawet nie musiałam prosić. Sama się przymówiła.

- Będzie spory tłum - zauważyła chłodno Jenny.

- Colleen i Jared junior oczywiście również będą rodzicami chrzestnymi - uzupełniła Roza, starając się nie uśmiechać zbyt szeroko.

Wstrzymywała się z zapytaniem Jenny niemal do ostatniej chwili. Bawiło ją, że szwagierka nie potrafi odmówić w uprzejmy sposób. Bez względu na to, jakie miała zdanie w kwestii chrztu, musiała wziąć w nim udział.

- Grób nie jest miejscem odpowiednim na chrzest - powtórzyła Jenny kolejny raz, lecz oczywiście musiała ustąpić. - To zresztą nie moje dzieci. Ja nigdy bym nie wybrała takiego miejsca.

- Bo nie musisz - odparła Roza spokojnie, patrząc szwagierce w oczy. - Twój mąż żyje, Jenny. Sam może nieść dzieci do chrztu. Mój mąż umarł, Jenny. Został mi tylko grób.

„To doprawdy niezwykła prośba”, stwierdził ksiądz.

Po otrzymaniu od Joego okrągłej sumki na swój kościół, zmienił opinię. Od tej pory mówił: „Prośba nieoczekiwana, lecz piękna”.

Dlatego O'Connorowie zebrali się na skraju Favourite w tę pogodną listopadową niedzielę. Drzewa wyciągały do nieba nagie gałęzie. Dęby na środku podwórza nie dawały już schronienia. Z wzniesionymi w górę pustymi rękami oczekiwały na lato, na ciepło, które znów pobłogosławi je zielonymi liśćmi. Tylko pinie barwiły krajobraz plamkami głębokiej zieleni. Wszystko inne miało odcienie szare, brunatne i niebieskawe. Nawet słońce jakby trzymało się z daleka. Promienie nie grzały już tak mocno. Nie wprawiały powietrza w drżenie. Krajobraz otworzył się na zimę. Horyzont był o wiele dalej niż latem, wśród piekącego upału, w którym nie dawało się oddychać.

Stali przy prostym kamieniu nagrobnym Seamusa, spora gromadka ludzi połączonych więzami krwi i powinowactwa, a także więzami lojalności. I przyjaźni. Wszyscy ciepło się ubrali, a powozy czekały w pobliżu. Konie dreptały niecierpliwie w błocie pokrywającym ziemię. Powietrze było przejrzyste i wilgotne. Całkiem z tyłu czarna kobieta o wydatnym biuście mamrotała coś pod nosem tylko do siebie.

- To szaleństwo - powtarzała Odetta. - Istne szaleństwo, wszystko razem. Szczeniaczki mogły zostać ochrzczone w kościele, jak inne dzieci. Im nie zrobiłoby to różnicy. Dla niego też to bez znaczenia.

Otarła łzę palcem w rękawicze. Może i Missy Rossi jest bezmyślna, ale przynajmniej zadbała o to, by Odetcie dano ubranie odpowiednie na taką okazję.

Odetta słyszała rozmowę Missy Rosi z panią. Zonie pana Josepha bardzo się nie spodobał ten pomysł, ale Missy Rosi postawiła na swoim. Ten mały kwiatusek potrafi się uprzeć!

I choć to oczywiście kompletne szaleństwo odprawić ceremonię chrztu w takim miejscu jak grób ojca tych malców, lecz nie dało się zaprzeczyć, że to piękna uroczystość. Tak piękna, że Odetta uroniła łzę albo dwie.

Joseph niósł chłopczyka.

Jenny raczej nie była tym zachwycona, lecz Joe uznał to za zaszczyt. Z dumą też mruknął, że to on trzymał go na rękach zaraz po urodzeniu, by dać mu ciepło. Chronił go, jeszcze nim odcięto mu pępownię. Zdaniem Jenny nie zasługiwało to wcale na miano żadnego wielkiego wyczynu, lecz skoro Joe ma ochotę tak się wygłupiać, ona nie odmówi mu tej przyjemności. Jest doprawdy wielkoduszną żoną.

- Michael Seamus Patrick - oznajmił Joe mocnym głosem w odpowiedzi na pytanie księdza o imię chłopca.

Wymienili z Rozą spojrzenia, gdy duchowny ledwie skropił ciemne włoski chłopca wodą. To była woda z Irlandii.

Seamus zatroszczył się również o to. Gdy ostatnio wybrał się do ojczyzny, przywiózł stamtąd dwa dzbanki wody. Twierdził, że pochodzą z rzek Brandon i Lee.

„Niektórzy wodę do chrztu przywożą aż z Jerozolimy - powiedział z powagą. - A to woda do ochrzczenia dzieci należących do nas, O'Connorów. Nie jest może zbyt święta, ale pochodzi z naszego kraju. Przez to jest święta dla mnie...”

Słyszając te słowa, uśmiechali się pod nosem. Bracia żartowali, że z pewnością napełnił naczynia w rzece Oconee, tuż przed ostatnim zakrętem, za którym widać już było Favourite.

Michael zaczął płakać, kiedy włożyli mu czapkę i mocniej otulili kocami. Płakał z całą siłą swoich małych płuc, aż Fiona nie od razu mogła odpowiedzieć na pytanie o imię dziewczynki. Po chwili jednak z miłością popatrzyła na małą buzię bratanicy i miękko wymówiła garstkę słów:

- Lily Josephine Fiona.

Jenny spodobało się to jeszcze mniej. Prędko zerknęła z boku na męża, by się przekonać, czy on coś o tym wiedział, lecz Joe wyglądał na równie zaskoczonego, jak ona. A więc ów wątpliwy zaszczyt Roza i Fiona uknuły na własną rękę. W zasadzie niczego innego nie można się było po nich spodziewać.

Jenny żadnego ze swoich dzieci nie nazwała po mężu. Joe twierdził, że jego zdaniem to bzdura. Uważał, że dzieci powinny mieć swoje własne imiona, a Jenny mu uległa. Tymczasem teraz uśmiechał się idiotycznie tylko dlatego, że jakiegoś bezwłosego dzieciaka nazwano po nim Josephine!

Przyjęcie po chrzcinach odbyło się w Favourite. Jenny rzecz jasna zaofiarowała się, że urządzi wszystko jak należy w Rosę Garden, lecz Roza uprzejmie odmówiła. Wyglądała nawet na szczerą, gdy tłumaczyła, że Jenny i tak już dość dla niej zrobiła. Była jej wdzięczna, lecz czas najwyższy, aby zaczęła radzić sobie sama.

Mało brakowało, by Jenny wydarło się z piersi westchnienie ulgi, kiedy Roza zaczęła napierać na

powrót do Favourite. Żona Joego zmusiła się do odpowiednich, lecz niezbyt gorących protestów, lecz Roza na szczęście nie pozwoliła się przekonać. To była gra w uprzejmość i obydwie doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

Joe podarował Rozie Odettę. Jedyne ten fakt ogromnie rozzłościł Jenny. W Favourite mieli do prawdy dosyć niewolników. Poza tym gospodarstwo nie było na tyle ubogie, by nie mogło zatrudnić niańki do dzieci Seamusa, jeżeli żadna z czarnych kobiet należących do farmy nie była w oczach szwagierki dostatecznie zręczna.

Joe tego nie rozumiał. Mówił o tym, jak mocno Odetta przywiązała się do Rozy. Jak gdyby to miało jakiegokolwiek znaczenie! Kogóż obchodzi, co czuje murzyńska niewolnica? Starła się mu to wytłumaczyć, lecz on się uparł. Przypomniał jej, co sama powiedziała Fionie: to on jest panem Rosę Garden, właścicielem niewolników i może z nimi zrobić, co zechce. Joe aż nadto jasno dał żonie do zrozumienia, że odda bratowej Odettę. Tak też się stało.

- Nie powiedziałaś, że chcesz jej dać imię po mnie - uśmiechnął się Joe. W jednej ręce trzymał szklaneczkę z irlandzką whiskey, którą u O'Connorów wyciągało się na specjalne okazje. Koniuszkami palców drugiej dłoni gładził miękkie policzki dziewczynki, której nadano imię Josephine. Głos lekko mu drżał.

Roza oparła się o ścianę w przepełnionej kuchni. Pomieszczenie było za małe na tak wielką rodzinę, nawet po tym, jak dwaj bracia zabrali swoich najbliższych i wyjechali na zachód, nawet po tym, jak stra-

ciii Seamusa i Petera. W środku było gorąco i duszno, lecz chyba nikomu nie przeszkadzało, że muszą siedzieć albo stać stłoczeni jak śledzie w beczce. Czowała się z nimi bezpieczna w pomieszczeniu takim jak to, wśród drewnianych ścian, bez kosztownych mebli i tapet, nie znoszących dotyku brudnych dziecięcych rączek.

- Uznałam, że musi dostać imiona po was, po tych, którzy widzieli jej narodziny - odparła Roza. - O „Lily” rozmawiałam z Seamusem - dodała.

Szklanka sherry, którą trzymała w palcach, wciąż była pełna. Nawet nie spróbowała słodkiego trunku. To Jenny się o niego postarała. Uważała, że kobietom nie uchodzi picie whiskey. Była zdania, że powinni trzymać się zwyczajów obowiązujących wśród tych mieszkańców Georgii, z którymi mogli się porównywać.

- Seamus chciał, abyśmy dali dziecku na imię Lily, jeśli urodzi się dziewczynka. A na wypadek chłopca wybrał Michaela.

- Podoba mi się, że odwróciłaś kolejność imion Seamusa - powiedział Joe z powagą.

- On musiał dostać imię po swoim ojcu - wyznała Roza. A dzień świętego Patryka był... naszym dniem. Słuszne wydawało mi się dać małemu to imię. Patrick to również imię O'Connorów...

- To irlandzkie imię, O'Connorowie nie mają na nie wyłączości. Mały nie jest pierwszym pierworodnym w irlandzkiej rodzinie, któremu na chrzcie dano Patrick. Uważam, że nie przyniesie wstydu żadnemu ze swoich imion. Tak samo jak malutka. Chociaż bardzo się cieszę, że nie będzie musiała się męczyć z Jo-

sephine na pierwsze! Istnieją pewne granice złośliwości rodziców!

Przepił do Rozy, która była zmuszona umoczyć usta w sherry, lecz grzechem byłoby powiedzieć, że ze szklanki dużo ubyło. Joe tego nie skomentował.

- Bez niego to nie to samo? - spytał.

- Nie.

- On byłby z ciebie dumny - zapewnił Joe bratową i otwartą dłonią dotknął jej lewego policzka. Odpowiedziała mu, na moment skłaniając głowę ku jego ręce. Przymknęła oczy, wdzięczna za tę bliskość, za wsparcie, jakie jej dawał.

- Seamus byłby z ciebie dumny, Rosi - powtórzył Joe ciepło. - Postępujesz słusznie. Jesteś z O'Connorów. Ja jestem z ciebie dumny.

Odsunął rękę i opróżnił szklanekę, potem mrugnął do Rozy porozumiewawczo i znów ruszył w tłum. Pojeść, dostać więcej whiskey, pogadać z mężczyznami.

- Może i dobrze, że ona się wyprowadziła - cicho rzuciła Deidre do Jenny.

Obie zauważyły, z jaką poufałością, ba, jak intymnie Joe rozmawia z Rozą. Nie mogły też nie dostrzec pieśczości, która właściwie wydała się wręcz niewinna.

- To nic takiego - ucięła Jenny. - Przedtem to Seamus dbał o całą rodzinę. Jego już nie ma, a Paddy nie jest typem człowieka, który bierze pod swoje skrzydła wszystkich, którzy go otaczają. Paddy jest nieśmiały. Joe idzie w ślady Seamusa. Zajmuje się każdym z rodziny, tak jak postąpiłby Seamus.

- No właśnie - stwierdziła Deidre słodkim głosem i obróciła się na pięcie, lecz na tyle, by jeszcze przez

ramię rzucić to, co miała do powiedzenia: - Pilnuj tylko, żeby twój ukochany Joseph nie zajął się Rosi tak, jak zrobiłby to Seamus. Wydaje mi się, że nie wyszłoby ci to na dobre, kochana Jenny.

Jenny zazgrzytała zębami, lecz wytłumaczyła sobie, że jest odporna na ten rodzaj jadu. Deidre doskonale wiedziała, że wygaduje bzdury, tak jak wiedziała to Jenny. Szwagierka rzuciła bolesną uwagę jedynie po to, by zamącić. Nie wolno zapominać, jaka potrafi być Deidre. Ludzie się nie zmieniają, nawet jeśli przepłyną ocean. Deidre zawsze lubiła doprowadzać do zwady. Była jak miód, złocista, słodka i gładka, i nikt na świecie nie potrafił wyglądać bardziej niewinnie niż ona, kiedy jej ofiary walczyły w niezgodzie.

Teraz Deidre najprawdopodobniej się nudzi. Musi knuć intrygi, żeby czas jej jakoś płynął. Podróż do Nowej Zelandii odwlekała się, nie chciała zmienić się w rzeczywistość. Jenny wiedziała, że Georgia nie spełniła oczekiwań Deidre. Dużo czasu upłynie, nim Adam zarobi tyle, ile miał Joe. Ona i Deidre były w równym wieku, dorastały razem, zawsze się przyjaźniły. Zawsze miały tyle samo, aż do przybycia do Nowego Świata, gdzie Jenny i Joemu zdecydowanie się polepszyło dzięki lekkomyślnej szczodrości Seamusa. Deidre musiało być trudno patrzeć ze spokojem na to, że Jenny dostała o wiele więcej niż ona, że szwagierce żyje się wygodniej, swobodniej, i to po prostu dlatego, że Seamus ją lubił. Po prostu dlatego, że zdaniem Seamusa Joe na to zasługiwał.

Jenny się uśmiechnęła.

Ufała Joemu. Pomiedzy nimi stanęła jedynie tamta historia z murzyńską dziewczyną. Z wyłączeniem

tego nigdy nie dał jej żadnych powodów do snucia wątpliwości. Tak naprawdę Jenny nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, żeby jej Joe mógł żywić dla Rozy gorętsze uczucia.

Joe był jak większość mężczyzn. Jego gust nie stanowił żadnej tajemnicy. Lubił piękne kobiety. Rudowłosą bratową traktował jak kogoś w rodzaju siostry. Nie inaczej niż Fionę. Jenny nigdy nie przyszłaby do głowy zazdrość o to, że Joe uściskał swoją siostrę. Tak samo jest z Rozą. Deidre jej nie zwiedzie, nie przekona, że powinna patrzeć na to inaczej. Jenny ufała Joemu.

- Szczeniaczki były grzeczne jak aniołki - zapewniła Odetta, kiedy rodzina odjechała.

Wokół kołyski oprócz Odetty zebrali się tylko Roza i jej chłopcy, Tommy i Danny. Roza ujęła ich obu pod ramię. Stała między nimi i zawstydziała ich wyznaniem o tym, jak dobrze być z powrotem w domu, u swoich chłopców.

- Missy jest za młoda, żeby mieć takich wielkich łobuzów, Missy Rosi - stwierdziła Odetta, która już wcześniej doszła do wniosku, że żaden z rudowłosych wyrostków nie może być synem Missy.

- Tak czy owak to moi chłopcy - odpowiedziała Roza, a synowie Molly zaczerwienili się kolejny raz.

Odetta zadumała się nad świętej pamięci panem Seamusem. Doprawdy, mógł sobie znaleźć gorszą kobietę niż Missy Rosi. Mało która żona tolerowałaby i kochała dzieci męża z poprzedniego związku. Nie dostrzegała wprawdzie podobieństwa pomiędzy chłopcami a Seamusem, Bóg niech się zmiłuje nad je-

go duszą, ale przecież chłopcy w tym wieku rzadko bywają do kogoś podobni. Potrzeba im jeszcze kilku lat, aby z rysów twarzy dało się wyczytać rodzinne podobieństwo. Teraz przede wszystkim sprawiali wrażenie niedokończonych.

- Dobrze mieć dużą rodzinę - zgodziła się Odetta, a z następnym zaczerpniętym oddechem kazała Danny'emu i Tommyemu przenieść kołyskę do alkowy, sąsiadującej przez ścianę z pokojem Rozy.

- Missy Rosi nie wolno wykonywać żadnych ciężkich prac - zapowiedziała tonem, jakiego nie powstydziliby się generał. W jej słowach kryła się groźba, że ten, przez kogo Roza zrobi coś więcej niż powinna, będzie miał do czynienia z nią, z Odetta. - Nasza młoda mama przez zimę będzie tylko leniuchować - dodała.

Roza się skrzywiła, ale przyjemnie jej było, że ktoś tak się o nią troszczy. Nie miała nic przeciwko serdecznej opiece Odetty. Cieszyła się, że Joe pozwolił jej zabrać niewolnicę do Favourite. Postanowiła, że jak tylko stanie się to możliwe, wyzwoli Odetę. Chętnie zatrzyma ją jako nianię, lecz będzie jej płacić za pracę.

- W nocy sama mogę się zająć Michaeliem i Lily - zapewniła.

Odetta aż prychnęła.

- Słyszał kto coś podobnego? Przyniosę szczeniaczki, jak zgłodnieją. Na co Missy niania, jeśli nie będzie się zajmować dziećmi? Czy Odetta źle pracuje?

- Ależ nie! - zapewniła ją Roza.

- Wobec tego będzie tak, jak mówi Odetta.

- Dobrze - zgodziła się Roza i położyła się do łóżka. Przebudziła się na poły, kiedy Odetta w środku

nocy przyniosła jej bliźnięta do karmienia. Przyłożyła do piersi oboje. Odetta była wyraźnie zadowolona, że młodej matce starcza mleka dla obojga dzieci.

- Missy Rosi nie jest taką porcelanową lalką! - pochwalała ją.

Roza nigdy nie czuła się jak lalka. A już na pewno nie porcelanowa. Była wypoczęta, kiedy rano otworzyła okno i zaczęła chłonać świeże, rześkie powietrze. Ręką zawadziła o coś, co leżało na zewnętrznym parapecie, tuż przy szybie. Pochwyciła ów przedmiot palcami. Przeszył ją chłód.

Za oknem leżał biały kamień.

7

Między gałęzie wielkiego, bezlistnego teraz dębu nie wetknięto żadnej wiadomości. Roza wybrała się tam od razu, gdy tylko mogła. Chłopców to nie dziwiło. Roza zawsze lubiła chodzić na podwórze. Jej ulubione miejsce było pod dębem. Dlatego nawet teraz, w zimie, nie zdumiało ich, że poszła właśnie tam.

- Latem przesiaduje w cieniu pod gałęziami - tłumaczył Tommy Odette, która ze zmarszczonymi brwiami martwiła się, że pani zbyt lekko się ubrała na przechadzkę.

- A Seamus leży na ziemi u jej stóp - dodał bez zastanowienia Danny. Zaczerwienił się, gdy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Odwrócił się, schował ręce do kieszeni i spuścił głowę, ramiona opadły mu jak kamienie rzucone w wodę.

- Tak było - wytłumaczył Tommy. Próbował wybawić starszego brata z opresji, choć czuł się równie zakłopotany jak Danny.

- Pan Seamus kochał Missy, co? - spytała Odetta.

Danny kiwnął głową, wciąż na nikogo nie patrząc. Spojrzeniem sięgnął za małe okienko. Patrzył na Rozę.

- Wasz ojciec to był porządny chłop, co?

- On nie był naszym ojcem - powiedział Tommy.

Tym razem to Danny go uratował:

- Ale nim został. Tak, to był porządny chłop, Odetto.

Odetta nie mogła tego pojąć. Zrozumiała jedynie, że tutejsze więzi rodzinne są niepodobne do niczego. Niezbyt nią to wstrząsnęło. Wiele się na świecie naoglądała. Długo już żyła. Również wśród jej ludzi istniało wiele różnych dziwnych związków, lecz rzadko wynikało to z ich winy. To biali utrudniali wszystko niewolnikom.

To biali ingerowali w ich życie i zmieniali je. Aż za często je niszczyli. Z bezmyślności. Raz po raz okazywało się także, że biali są w stanie zniszczyć życie również sobie. Ze są w stanie zniszczyć swoich najbliższych w taki sam sposób, jak macili bagno, stanowiące świat niewolników.

- Ona lubi spacerować, prawda? - spytała Odetta. Pamiętała zamieszanie, jakie Missy Rosi wywołała w Rosę Garden, i poród w stajni.

Obaj chłopcy patrzyli na Rozę, która od dębów przeszła do stajni.

- Nie może zaznać spokoju - stwierdziła Odetta. - Szuka jego. Ale niebezpiecznie jest kochać tak mocno. Odetta nie tylko szczeniaczkami musi się zająć!

Roza przeszukiwała stajnię. Zaglądała w każdy kąt, przerzucała siano i narzędzia. Sprawdziwszy wszystko, nabrała pewności, że nikt się tu nie ukrywa.

- Gdzie ty, u diabła, jesteś? - mruknęła półgłosem, z rezygnacją rozejrzawszy się dokoła.

Stała na środku stajni, rękami ujęła się pod boki. Na nogach miała buty do konnej jazdy. Nosiła ciemną, lecz nie całkiem czarną spódnicę z delikatnej weł-

ny, pasujący do niej kubrak, a na ramiona narzuciła szal. Włosy luźno związała na karku.

- Jeśli próbujesz rozmawiać z końmi, to na twoim miejscu nie liczyłbym na odpowiedź - rozległ się ciepły głos Adama, który akurat wkroczył do stajni.

Roza obróciła się powoli. Adam uśmiechał się szeroko i szedł bez pośpiechu, charakterystycznym dla siebie krokiem, przez który ludzie w pierwszej chwili brali go za niezdarę. Ręce rozłożył na boki w przepraszającym geście. Roza pomyślała, że ten człowiek, gdyby było trzeba, potrafiłby się wykić nawet od oskarżeń o morderstwo.

- Trzymasz tu w tajemnicy kochanka, którego mam nie oglądać? - zachichotał i zajrzał do przegród paru koni. Oczy błyskały spod ronda kapelusza. - A może któryś z chłopców stajennych wykręca się od obowiązków?

Roza zaprzeczyła ruchem głowy.

Adam spoważniał, chociaż mało kto podejrzewał, że w ogóle potrafi się nie uśmiechać. Wystarczyło kilka długich kroków, by znalazł się przy Rozie. Położył ręce na ramionach bratowej i długo patrzył jej w oczy. Badawczo. Czegoś w niej szukał. Roza dostrzegła u niego szczere zaniepokojenie. Za zainteresowanie drugim człowiekiem łatwo było Adama polubić.

- Nie wierzę, że możesz myśleć o czymś takim, Rosi - rzekł z powagą, bez cienia żartu w głosie. Pełne wargi lekko się ściągnęły.

Seamus też składał usta w ciup, kiedy się czymś martwił. Roza uświadomiła to sobie, gdy zobaczyła tę minę u Adama. Zadała też sobie pytanie, kiedy

wreszcie przestanie odczuwać ból na widok jakiegś jego cząstki u innych.

- Ty nie szukasz Seamusa - stwierdził Adam.

Pokręcił nawet przy tym głową, jak gdyby chciał się upewnić, że Roza da mu właściwą odpowiedź.

- Nie, nie szukam Seamusa - zapewniła go Roza. - Wiem, że Seamus nie żyje, Adamie. Nie postradałam zmysłów.

Po pięknej, młodej twarzy Adama przemknął uśmiech ulgi. Przesunął kapelusz głębiej na kark, odsłaniając jasne włosy, zmierzwione jak nieskoszona łąka.

- Właśnie to wszystkim powtarzam! - wykrzyknął, nie zważając na delikatność. - Jesteś za mądra, żeby wierzyć w duchy. Nie jesteś nawet Irlandką. Zrozumiałbym to, gdybyś była zwyczajną głupią dziewczyną z jakiegś zapadłej, zapomnianej przez Boga irlandzkiej wsi. Aż trudno przewidzieć, w co gotowe są wierzyć tamtejsze dziewczęta. Mówiłem Joemu, że ty nie jesteś taka.

- A Joe tak o mnie myśli?

Adam czubkiem buta stukał o podłogę. Zachichotał. Potem objął Rozę za ramiona i wyprowadził na światło dnia.

- Nie potrafię mówić pięknie i kwiecicie, prawda? - spytał.

- Nie zauważyłam, żebyś nie dawał sobie rady - stwierdziła Roza, świadoma, że on się nie docenia. Nigdy natomiast nie miała pewności, czy Adam robi to celowo i jest to element jego gry, czy też sam w to wierzy.

- Joe bardzo się o ciebie niepokoił po tym, co się działo w Rosę Garden. Kiedy mówiłaś do siebie czy do...

- ... Seamusa - dokończyła Roza.

Wymówiła jego imię z wielką czułością i miłością. Jak gdyby całowała powietrze za każdym razem, gdy jej wargi formowały składające się na nie dźwięki.

- Czy ty nigdy niczego sobie nie wyobrażasz? - spytała Roza.

- Owszem, często - odparł prędko. - Ale nie mów o tym Deidre.

Wymienili spojrzenia. Adam patrzył szelmowsko, po chłopięcemu. Będzie tak samo spoglądał w wieku siedemdziesięciu lat. Roza była o tym przekonana. Zawsze będzie otaczał go śmiech. Ta cecha mogła się okazać prawdziwym błogosławieństwem.

Roza uwolniła się z jego objęć. Pozostał dużym chłopcem, ale przynajmniej nie pamiętał już, o co ją pytał. Była to kolejna z błogosławionych cech Adama. Nie zadawał tych samych pytań po wielekroć.

Zostawiła go opartego o ścianę stajni. W połowie drogi do domu odwróciła się do niego i wtedy w pół-przymkniętych drzwiczkach stryszku na siano, stryszku dla parobków, zobaczyła twarz. Drzwiczki cicho się zamknęły, niezauważalnie, jak gdyby w ogóle nie były uchylone.

Roza jednak miała pewność. Powędrowała wzrokiem dalej najspokojniej jak potrafiła. Serce waliło jej tak mocno, że aż trudno było oddychać. Przytrzymała uśmiech i wypuściła powietrze przez zęby. Jak gdyby była niezdecydowaną młodziutką dziewczyną, zawróciła i poszła z powrotem do stajni. Stała przy Adamie ramię przy ramieniu i uśmiechnęła się niemal tak szeroko jak on.

Rozpoznała tamtą twarz na stryszku. Wiedziała,

kto ukrywa się w ich stajni, kto potrzebuje pomocy w wydostaniu się na wolność, w dotarciu na Północ. I raczej domyślała się, dlaczego akurat ten uciekinier zatrzymał się w Favourite, jaką sprawę miał do załatwienia właśnie tutaj.

- Adam - powiedziała Roza lekko.

- Tak - odparł. - To właśnie ja. Przynajmniej było tak, kiedy ostatnio sprawdzałem. Dzisiaj się wprawdzie nie goliłem, więc nie przeglądałem się w lustrze, lecz czuję się jak ja. Mój głos też brzmi normalnie. Uważasz, że wyglądam jak ja?

- Mógłbyś być poważny? - poprosiła.

- Owszem.

- Mogę ci ufać?

Adam obrócił się lekko w jej stronę. Ręce złożył na piersi widocznej spod rozpiętej skórzanej kurtki. Wargi ukształtowały się w rozciągniętą w półuśmiechu kreskę, z oczu biło mu wiele pytań, ale wyraz rozbawienia nawet na chwilę nie zniknął mu z twarzy. Roza pomyślała, że przypomina jej małpkę.

- A więc jednak tajemniczy kochanek! - stwierdził Adam. - Czy to ktoś, kogo rodzina zaakceptuje? Ha! Założę się, że to któryś z niewolników! Chcesz mnie spytać, czy ci pomogę ułatwić mu ucieczkę na wolność? Tak, Rosi. Oczywiście, że ci pomogę! Możemy go zawieźć do Savannah, schowasz go pod spódnicami. Pod damską krynoliną można ukryć cały regiment. Nie pojmuję, że nikt tego do tej pory nie wymyślił...

- Adam! - powtórzyła Roza błagalnie.

Kiwnął głową. Zacisnął wargi, zrobił poważną, skupioną minę. Ale w oczach wciąż błyskały mu diabelskie ogniki.

- Przyszłam tu do ciebie - powiedziała. - I przez twoje żarty prawie zapomniałam, po co. Nie wstyd ci, chłopcze?

- Bardzo - zapewnił i zaraz znów zacisnął wargi.

- Chcę, żebyś natychmiast sprowadził tu, do Favourite, Joego - oznajmiła Roza.

Jedna z brwi Adama wystrzeliła w górę, ale nie powiedział ani słowa. Wyraźnie miał ochotę na jakiś komentarz, lecz zdołał go przemilczeć.

- I nie chcę, by Jenny się dowiedziała, że to ja po niego posłałam.

Chichot Adama zabrzmiał teraz porozumiewawczo, Roza więc kuksnęła go w brzuch i posłała spojrzenie o wiele chłodniejsze niż większość tych niewielu mroźnych nocy, jakie przeżył w ciągu wszystkich swoich dziewiętnastu lat.

- Nie chodzi więc o potajemnego kochanka? - spytał.

- To naprawdę ważna sprawa - zapewniła Roza. - Tylko nie pytaj mnie, o co chodzi. To musi pozostać między mną a Joem. Muszę się z nim dzisiaj zobaczyć. Najszybciej jak się da. To nie może czekać. Jak trzeba, możesz skłamać. Wymyśl cokolwiek, byle go tutaj sprowadzić...

- To dopiero...

Kiwnęła głową.

- Możesz mi w pełni zaufać! - obiecał. - Sprowadzę go, nawet gdybym miał go związać jak wieprzka.

Roza ze śmiechem skierowała się w stronę domu.

- I na cóż komu takie bieganie? - spytała Odetta ostrym tonem, gdy Roza wyplątywała się z szala. - I co przyjdzie z flirtowania z cudzymi mężami? - dodała.

- Adam jest prawie jak mój brat - westchnęła Roza. - My nie flirtujemy. Po prostu rozmawiamy. Maluchy śpią?

- Aha, mleko rozsadza piersi - uśmiechnęła się Odetta zadowolona i pomogła jej zdjąć kubrak. - Tak właśnie powinno być, Missy Rosi, tak właśnie powinno być...

Roza posłała spojrzenie ku stajni i westchnęła w duchu. Gdyby Odetta wiedziała...

- Jeszcze wiele lat upłynie, zanim w Georgii będzie tak, jak być powinno, Odetto - powiedziała cicho.

Niewolnica ostro spojrzała na swoją panią. Pokręciła głową. Ale ciepłe uczucia dla pani, które nosiła w sercu, wcale się przez to nie zmniejszyły.

Nadeszło popołudnie, nim Adam wrócił z bratem. Paddy marszczył brwi, nie mogąc pojąć, dlaczego Adam kłopotczy się sprowadzaniem Joego.

- Chodzi o jednego z koni - odparł Adam wymijająco. - Pomyślałem, że dobrze by było, gdyby Joe go obejrzał.

- Dlaczego nie omówiłeś tego ze mną? - spytał Paddy, już kierując się do stajni. - O którego konia chodzi? Przecież ja jeszcze się do czegoś nadaję!

- Chodzi o Warriora - powiedziała Roza, zatrzymując najstarszego z braci swoim jasnym czystym głosem.

Powoli schodziła ze schodów.

- To ja poprosiłam Adama, żeby przywiózł Joego, Paddy.

Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Wcale nie wątpię w twoje umiejętności, ale masz

tyle innych zajęć. Nie chcę cię niepokoić, kiedy naprawdę tego nie potrzebuję.

Paddy z rezygnacją pokręcił głową. Zmierwił Rozie włosy, jak gdyby była jego młodszą siostrą.

- Łatwiej jest ściągnąć Joego z Rosę Garden, prawda? W dodatku jednocześnie możesz zagrać na nosie Jenny?

Ostatnie słowa dodał szeptem, chichocząc, ale nie wybierał się już do stajni.

- Skoro Joe już tu jest, to niech zobaczy, co dolega koniowi Seamusa. W tej rodzinie to Joe i Adam znają się na koniach, tak właśnie sobie pomyślałaś, prawda?

Roza nie odpowiedziała.

Dwaj młodsi bracia odprowadzili swoje wierzchowce do stajni. Roza poszła za nimi. Joe zostawił swojego konia i podszedł do przegrody, gdzie stał Warrior. Czym prędzej zaczął przyglądać się koniowi, nic przy tym nie mówiąc. Na Rozę nie patrzył. Nikt się nie odezwał, dopóki obaj bracia nie rozsiadali koni, nie uporządkowali ich i nie wprowadzili do pustych boksów, gdzie zwierzęta dostały siano, owies i świeżą wodę. Z troszczyła się o nią Roza.

- O co chodzi? - spytał wreszcie Joe. Przysiadł na koźle jednego z wozów, które wprowadzono pod dach. - Adam ściąga mnie tutaj, opowiadając jakąś przerażającą historią o tym, że Warrior prawie zdycha. Tymczasem widzę, że koniowi dokuczają najwyżej kilka gzów. Cóż to za żarty, Rosi?

- Chciałabym porozmawiać z Joem w cztery oczy - powiedziała Roza, błagalnie patrząc na Adama. - Bardzo ci dziękuję - dodała i uśmiechnęła się do najmłodszego szwagra.

Wzruszył ramionami i uniósł brwi. Był więcej niż ciekaw, co Rosi ma do powiedzenia starszemu bratu, lecz nie zaliczał się do tych, którzy się narzucają innym.

- Nie podsłuchuj pod drzwiami! - dodał Joe, bardziej na żarty niż poważnie.

Adam pogroził bratu pięścią.

Roza zaczekała do jego wyjścia. Nie mówiła nic, dopóki nie zobaczyła, jak Adam idzie ku domowi. Dopóki nie nabrała pewności, że nie ma go w pobliżu stajni. Zamknęła nawet drzwi, które Adam zostawił otwarte. O ile dobrze go oceniała, zrobił to celowo.

- Co to wszystko ma znaczyć, Rosi? - powtórzył zniecierpliwiony Joe z kozła i zaczął rozpinać skórzaną kurtkę.

Roza podeszła pod sam wóz.

- Pamiętasz tamtą noc, którą spędziliśmy razem, Joe? - spytała ściszym głosem.

Joseph odchylił głowę w tył i przymknął oczy. Jego palce wciąż mocowały się z guzikami. Kiedy się wreszcie uporał z zapięciem, opuścił ręce na kolana.

- Powiedziałem, że nie chcę więcej brać w tym udziału, Rosi! - rzekł z naciskiem, choć słowa wypowiedział jeszcze ciszej niż ona. - Nie chciałem być na waszych listach. Nie sądziłem, że ty jeszcze na nich jesteś. To zbyt niebezpieczne. Nie możesz tego dalej robić teraz, kiedy masz dzieci. Seamus nigdy by na to nie pozwolił.

- To jest coś, co robię ja - odparła krótko. - Seamus za życia o tym nie wiedział. Wtedy postępowałam wbrew jego woli. Teraz robię to, co chcę.

- Nie mieszaj mnie w to! - rzekł błagalnie. - Wiem,

powiedziałem, że zastanowię się, czy ci nie pomóc, jeśli jeszcze kiedyś będziesz potrzebowała mojej pomocy. Chciałem się zastanowić. I zastanowiłem się. Nie mogę tego zrobić, Rosi. Nie mogę się w to wplątywać! Nawet dla ciebie. Dla nikogo. Przykro mi, ale tak to wygląda.

- Nie możesz odmówić - Roza zaczekała, aż Joe na nią spojrzy.

- Nie mieszaj mnie w to! - powtórzył takim samym błagalnym tonem. - Jeśli nie myślisz o mnie, to pomyśl przynajmniej o moich dzieciach. Pomyśl o Nickym i Denise! Nie zamierzam ryzykować życia, moja kochana...

- Nie umrzesz od tego - zapewniła Roza. - Ty zginiesz na polu bitwy. Polegniesz na wojnie.

Joe głęboko oddychał ciepłym powietrzem stajni.

- Ty wiesz takie rzeczy - uśmiechnął się. - Może powinienem ci ufać?

Roza kiwnęła głową.

- Już i tak jesteś w to zamieszany - podjęła bezliście.

- Co mam zrobić? - spytał Joe.

- Tym razem to Cicily ucieka - oznajmiła Roza spokojnie. Jej głos nie zmaćliłby toni jeziora w porannej mgle.

Joe poczuł, że członki nagle zaczęły mu ciążyć. Nie od razu mógł się poruszyć. Przeszył go strach i sparaliżował, nie pozwolił nawet drgnąć. Mógł się zamienić w słup soli jak żona Lota.

Roza nic więcej nie powiedziała. Nie powtórzyła imienia. Nie wykrzyczała mu go, ale jej spojrzenie powędrowało ku stryszkowi na siano.

Strach ścisnął Joego za serce. W taki dziwny sposób przeszłość deptała mu po piętach. Nie pojmował, jak mogło do tego dojść.

Wszystko ułożyło się jak najlepiej. Przez dłuższy czas przynajmniej na to wyglądało. Pozbył się wszystkich kłopotów. Zrobił tak, jak powiedziała Jenny, i sprzedał Cicily. Jej nowy właściciel nie był gorszy od innych. To Jenny go wybrała, lecz Joe upewnił się, że nie mają do czynienia z potworem. Wydawało mu się, że nie zgodziłyby się oddać Cicily człowiekowi, którego imię okrywała zła sława. Nie pojmował, dlaczego uciekła.

- Uważam, że powinieneś z nią porozmawiać - oświadczyła Roza.

- Nie!

Ale bratowa pokiwała głową.

Joe ciężko zsiadł z wozu. Gdyby wiedział, jaki jest powód tak nagłego wezwania go do Favourite, odmówiłby Rosi. Zamurowałyby się w Rose Garden.

Teraz wspinał się po drabinie, prowadzącej na stryszek dla parobków. Na stryszek, gdzie przechowywali siano. Na górze było dość ciemno, miał więc nadzieję, że Rosi się pomyliła. Miał nadzieję, że nikogo tam nie zastanie. Miał nadzieję, że to nie będzie Cicily.

Schowała się w sianie. Joe zatrzasnął właz i stanął przy krótszej ścianie, a potem kilkakrotnie cicho wypowiedział jej imię. Dopiero wtedy w sianie coś się poruszyło. Nie odzywał się, czekając, aż ona wyjdzie ze swojej kryjówki.

W półmroku nie widać jej było wyraźnie i Joe się

z tego cieszył. Pamiętał, jaka jest piękna. Pamiętał smak jej pocałunków. Pamiętał, jaką ma miękką i ciepłą skórę pod dotykiem jego dłoni. Tyle się śmiała. Jej śmiechu Joe również nie zapomniał.

- Nie prosiłam, żeby pan przychodził! - powitała go cierpkimi słowami.

- Rozumiem.

- Nie wiedziałam, że Missy Rosi jest z nimi - zapewniła Cicily. - Nie miałam o niczym pojęcia, dopóki nie przyprowadzili mnie tutaj. Nie sądziłam, że ona jest jedną z nich. Nie przypuszczałam, że panu ufa...

Joe nie odpowiedział. Nie potrafił ocenić, co to stwierdzenie mówi o nim samym. Nie chciał się nad tym zastanawiać.

- Ale powiedziałam im, że chcę moje dziecko - ciągnęła Cicily.

Joe spuścił głowę. Cicily nie rozmawiała z Rosi, lecz jego szwagierka najwyraźniej i tak wszystko rozumiała.

- Nie mogę ci w tym pomóc - oświadczył sztywno.

- Musi pan! - uniosła się Cicily. - Muszę odzyskać dziecko, panie Josephie! Muszę odzyskać dziecko! A potem zniknę już na zawsze...

Joe westchnął. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Pana on nie obchodzi - rzuciła gorzko Cicily.

Joe milczał. Otworzył włącz, prowadzący do stajni, i zszedł na dół, niczego jej nie obiecawszy.

- Wiedziałaś, o co ona mnie poprosi - zwrócił się ochrypłym głosem do Rosi, kiedy znów stanął naprzeciwko niej.

Otrzeptał siano ze spodni, a Roza wyciągnęła mu

kilka źdźbeł z włosów. Nie miał pojęcia, skąd mogły się tam wziąć. Nie rozumiał, jak mogło mu się przydarzyć coś takiego.

- A ty byś się nie domyślił? - spytała Roza cicho.

- To jest absolutnie niemożliwe, Rosi. Nigdy nie wymyślę kłamstwa, w które Jenny by uwierzyła.

- Powiedz jej więc prawdę - oświadczyła z naciskiem wdowa po jego bracie i nawet przy tym nie mrugnęła.

- Czy ty słyszysz, co mówisz?

Roza kiwnęła głową.

- Jenny zabiłaby mnie gołymi rękami - stwierdził Joe bez cienia wątpliwości.

- A więc wymyśl takie kłamstwo, w które uwierzy - nakazała Roza. - Bo Cicily musi stąd wyjechać i dostać się w bezpieczne miejsce. I musi stąd zabrać swego syna. A ty jej w tym pomożesz, Joe. Przynajmniej tyle jesteś jej winien.

8

- Co Master Joseph tu robi? - dopytywała się Odetta, nie starając się nawet ściszyć głosu.

Roza westchnęła.

- Joe to jeszcze jeden z moich braci, Odetto - oznajmiła tak głośno, że również Joe to usłyszał.

- Późno już - podkreśliła Odetta. - Pan zamierza zostać na noc?

- Nie - odpowiedział Joe i uśmiechnął się zmęczony.

- Chcę porozmawiać z Josephem - oznajmiła Roza. - Sama, Odetto.

- Odetta nie odejdzie od szczeniaczków! - oburzyła się niańka.

- Na miłość boską, Rosi!

Joe nie miał siły dłużej okazywać uprzejmości. Wbił wzrok w Odettę, a głosowi nadał głębszy ton. Tak postępował u siebie w Rosę Garden. W taki sposób stawał się Master Josephem, a nie tylko Joem O'Connorem.

- Zostań u dzieci, Odetto! To, co mam do omówienia z Miss Rosi, przeznaczone jest wyłącznie dla naszych uszu.

Odetta kiwnęła głową i natychmiast zniknęła.

- Uraziłeś ją - stwierdziła Roza.

- To niewolnica - powiedział Joe. - Nie można się liczyć z jej urazami. Nie możesz dopuszczać do

tego, żeby rządziła tobą, jakby była twoją matką!

Rozie odrobinę opadły ramiona. Gwałtowny wybuch gniewu Joego był całkowicie zrozumiały. Gdyby jednak wiedział, kim Roza naprawdę jest, pojąłby, że wcale nie zalicza się do kobiet, gotowych widzieć matkę w każdej starszej kobiecie. Roza nie stawiała się dobrowolnie czyjaś córka.

- Co ty byś zrobiła, gdyby Seamus miał dziecko z niewolnicą? - spytał Joe.

Roza nie potrafiła mu odpowiedzieć.

- Odesłałabyś i dziecko, i matkę - stwierdził Joe po zastanowieniu. Uśmiechnął się lekko, bo wiedział, jak ostra potrafi być jego bratowa.

- Może masz rację. W każdym razie nie zatrzymałabym dziecka. - Odetchnęła głęboko. - Nie potrafiłabym matkować córce Molly. Co innego z chłopcami. Są moimi synami.

- Ponieważ to nie jego synowie - uśmiechnął się Joe ze zrozumieniem.

- Ona nie będzie miała nic przeciwko pozbyciu się małego - wyraziła swój pogląd Roza.

- Będzie się dopytywać, dlaczego - upierał się Joe. - Jenny naprawdę potrafi zadawać właściwe pytania. Doskonale też potrafi uzyskiwać odpowiedź.

Milczał przez chwilę, a potem podniósł wzrok na Rozę.

- Cicily nie wie nawet, jak mu na imię - powiedział cicho, kręcąc ciemną głową. - W jakim świetle mnie to stawia?

- Sam wiesz najlepiej - odrzekła Roza. - Ale nie sądz się zbyt surowo.

Joe zaśmiał się cierpko.

- Teraz też nie przyszło mi do głowy, żeby jej to powiedzieć - dodał z głęboką pogardą dla siebie.

- Ja jej powiem - uśmiechnęła się ciepło Roza. - W dodatku Cicily jest matką, a jeśli w ogóle coś wiem o matkach, to z pewnością miała dla niego swoje własne imię. Tego imienia ty z kolei nie znasz, Joe.

- Nie ma pewności, czy on będzie się nazywał Craig, czy to właśnie usiłujesz mi powiedzieć?

Roza kiwnęła głową.

- Wciąż nie czuję, że to mój syn - przyznał Joe, przeczesując palcami włosy. - Unikałem go. A jednocześnie godzinami mu się przyglądałem. Ma skórę jak czekolada z mlekiem. Właściwie bardzo piękną. Włosy ma prawie proste, lekko tylko falują. Ale Cicily też ma prawie zupełnie proste włosy. Kiedy go widzę, rozpoznaję w nim siebie. Rysy, które sam miałem jako dziecko, podobne do rysów Nicky'ego i Denise, tylko w ciemnej twarzy. To dla mnie tak niepojęte, że nie potrafię tego nawet wytłumaczyć, Rosi.

- Dzieci są jak małe cuda - uśmiechnęła się Roza. - A cuda są niewytłumaczalne, Joe.

On jej nie słuchał.

- Oczy ma jak brunatne szlachetne kamienie - ciągnął zamyślony. - Usiłował dokopać się do wiedzy, która niemal całkiem poszła w zapomnienie. - Jak kocie oko. Ten brunatny kamień, który nazywają kocim okiem...

Roza nie znała się na kamieniach szlachetnych. Nie interesowały jej. To Jenny i Deidre razem z Colleen pozwoliły się im oślepić.

- To potężny klejnot - ciągnął Joe. - Tak mówi stara mądrość druidów, Rosi. Kocie oko chroni

przed niebezpieczeństwami, czającymi się w mroku nocy. Mój syn ma oczy jak ten kamień. Może nie potrzeba mu żadnego amuletu, który by go strzegł. Może sam ma własną ochronę...

- Przesady - stwierdziła Roza.

- Wywodziśmy się ze starego rodu druidów - tłumaczył z powagą Joe. - Druidów i elfów. Do przesądów nie podchodzimy beztrzesko, moja kochana. Szukamy znaków, wypatrujemy przepowiedni. Dostatecznie długo żyłaś z Seamusem, żeby o tym wiedzieć.

Gdy Roza nie odpowiedziała, dodał cicho:

- Wciąż żyjesz z Seamusem, siostrzyczko...

Wstał i uściśnął ją, krótko, lecz mocno. To nie był gest pożegnania. Pokazywał tylko, że są sobie bliscy.

- Nie wiem jeszcze, co powiem Jenny. Ale dziecko znajdzie się tutaj najpóźniej jutro po południu.

Zamieszanie, jakie powitało Joego w Rosę Garden, uniemożliwiło mu rozmowę z Jenny o dziecku. Długo jechał po ciemku. Oczywiście zdążyłby wrócić do domu wcześniej, lecz potrzebował trochę samotności, żeby uspokoić myśli. Zdał sobie sprawę, że nikt nie zdoła uciec przed swoją przeszłością. Choć nie wszystkim ukazywała się równie gwałtownie jak w jego wypadku, należało się pogodzić z tym, co było. Poddać się osądowi najbliższych. Popatrzeć prosto w oczy, które widzi się w lustrze.

Przed domem rozpoznał powóz z Blossom Hill. Koni nie wyprzęgnięto. Joe nie mógł się nadziwić, jaka to sprawa może sprowadzać Jordanów do Rosę Garden o tak późnej porze, właściwie już w nocy.

Kiedy wszedł do domu, zastał Juniora ustawiają-

cego w holu walizy i torby podróżne. Było to jeszcze bardziej zaskakujące. Wcale nie tak dawno temu Joe osobiście wziął udział w zakładach o to, czy Junior wyprawi się do Nowej Zelandii, czy też nie. Wyglądało teraz na to, że przegra sumę, którą postawił.

- Najechaliśmy was - oznajmił Junior z ponurą miną. Na jego młodej twarzy rysowały się twarde bruzdy. - Jenny powiedziała, że nic nie szkodzi - dodał prędko, zerkając na liczne pozamykane drzwi.

Joe zatrzymał się w miejscu.

- Jesteśmy w drodze do Savannah - wyjaśnił Jared. - Do domu mojej matki. Odziedziczyłem go po niej. Korzysta z niego cała rodzina, kiedy ktoś bawi w mieście... - Sam sobie przerwał na chwilę. Kiedy podjął, głos drżał mu z tłumionego gniewu: - Przyłapałem ojca, jak próbował zgwałcić moją żonę.

Joe pobladł.

Podobnie jak wszyscy inni w Georgii znał sławę Jordana seniora. Kryło się za nią nieprzeliczenie wiele tragedii. Tragedii młodych dziewcząt z dobrych rodzin, które przepadały na krótszy lub dłuższy czas u dalekich krewnych. Pobitych do nieprzytomności kobiet z miejskich przybytków, o których nie mówiło się głośno. Niewolnic, które zniknęły z Blossom Hill i których nikt więcej nigdy nie widział. Ale dzięki pieniądзом i nazwisku Jordana seniora zawsze nazywano dżentelmenem, bez względu na to, co poszeptowali o nim ludzie. Był potężnym Jaredem Jordanem. Był nietykalny.

- Powiedziała mi, że od dawna czyhał na nią jak kot na małe ptaszki - podjął Junior. - A ja niczego nie zauważyłem! To wszystko się działo na moich

oczach, a ja byłem tak przekłęcie ślepy, że on prawie ją zhańbił, i to w domu, który uważałem za swój...

- Jak ona się czuje? - spytał cicho Joe.

- Jenny się nią zajmuje - odparł Jared. - Nie chciała tu ściągać Wileya. Może i dobrze. Co doktor może na to zaradzić? - Nabrał powietrza: - Jeśli to zaszkodzi dziecku, zabiję go!

Joe nie potrafił znaleźć żadnych słów pocieszenia. Stał w aż nadto przestronnym holu własnego domu i patrzył, jak jedna z najwspanialszych fasad południowych stanów obraca się w ruinę.

- Wyjeżdżamy! - oświadczył Jared zdecydowanie. - Do tej pory miałem wątpliwości. Do diabła, wątpiłem! Myślałem, że ze względu na moje dziecko powinienem zostać, bo Blossom Hill to ziemia Jordanów. Uważałem, że ziemia i krew są ze sobą nierozłącznie związane. Byłem zdania, że moje dziecko ma prawo do tej ziemi.

- Nie podejmuj decyzji, której później będziesz żałował! - przestrzegł go Joe.

- Tego nigdy nie pożałuję! Nogi moich dzieci nigdy nie postaną w Blossom Hill. On jest chory. Moje dzieci nigdy nie będą stapać po ziemi, po której on stapał. Nie tknie ich. Zabrałem moją rodzinę i moją siostrę. Jennifer też nie wpadnie w jego łapy. Bóg jeden wie, co mógłby jej zrobić. Zatrzymamy się w Savannah dostatecznie długo, żeby spieniężyć to, co posiadam. W Ameryce nic nie będzie mi już potrzebne. Potrzebuję pieniędzy, za które będę mógł rozpocząć nowe życie. Palimy za sobą wszystkie mosty, Joe. Wyjeżdżamy, gdy tylko znajdzie się miejsce na statku. Do Nowej Zelandii albo do Australii. Nie obchodzi mnie, dokąd trafimy, byle tylko miejsce to

znajdowało się dostatecznie daleko od mego ojca, by moje oczy nigdy już go nie oglądały.

- Przecież to twój spadek...

- Jasper jest gotów go przejąć - odparł Jared. - Da sobie radę równie dobrze jak ja. A może lepiej. Jasper jest skłonny nie zwracać uwagi na to, co niewygodne. Udaje, że nic nie widzi.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał Joe.

- Jeremy przyjedzie jeszcze jednym wozem - uśmiechnął się Jared ze smutkiem. - Przyda się dodatkowa para rąk do rozładowania kufrów.

- Możesz na nie liczyć - odparł Joe, podnosząc ręce do góry.

Jenny nie ruszała się ze swego miejsca przy toaletce. W dwóch palcach trzymała brzeg lustra i kołysała nim w przód i w tył. Rama lustra była z mosiądzu, lecz jeśli ktoś nie wiedział, mogła uchodzić za złotą. Szczotka leżąca przed nią na toaletce była srebrna. Tak samo jak szkatułka na biżuterię, pudełeczko na pigułki i małe ręczne lustro z cyzelowaniami i jej monogramem, „JOC”, wygrawerowanym dużymi, ozdobionymi zawijasami literami. Był to również monogram Joego. Wielokrotnie na niego patrzyła, myśląc, że naprawdę musieli być sobie przeznaczeni, skoro nawet pierwsze litery imion mieli identyczne. Taki zbieg okoliczności musiał coś znaczyć. Przy najmniej w domu tak uważano.

W domu...

To tutaj był dom...

- Co w ciebie wstąpiło, Joe? - spytała, gdy Joe w końcu umilkł.

Siedział na brzegu łóżka. Opowiedział jej bardzo wiele. Wystarczająco dużo, by wtrącić Rosi do więzienia. Jego samego również. Uznał, że nie ma innej możliwości, że zachęta Rosi, by wyznać Jenny całą prawdę, właśnie z tym się wiązała. Doszedł do wniosku, że Rosi pozwoliła mu opowiedzieć również o sobie. O jej związkach z tajnym ugrupowaniem.

- Czy ty jesteś głupi? - spytała Jenny, patrząc wyłączenie na swoje własne odbicie.

Przechyliła lustro tak, by nie widzieć męża. Nie wiedziała, czy dałaby radę znieść jego widok. Historia, którą Colleen i Junior ściągnęli pod ten dach, i tak była dostatecznie obrzydliwa. Gdyby oboje jej nie potwierdzili, Jenny nie uwierzyłaby w ani jedno słowo. Wciąż uważała, że trudno wyobrazić sobie sympatycznego i ogólnie szanowanego Jareda Jordana jako człowieka, który chciał zhańbić własną synową.

A teraz Joe opowiedział jej jeszcze więcej takich rzeczy, o których w ogóle nie chciała słuchać. Najbezpieczniej jest nic o tym nie wiedzieć. Tymczasem słowa męża wryły się w głowę Jenny tak głęboko, że nie miała pewności, czy kiedykolwiek pozbędzie się pozostawionych przez nie śladów. Zadała przecież o to, by pozbyć się Cicily. Wierzyła, że pomyślała o wszystkim.

- Powinnam była jej pozwolić zabrać dziecko - powiedziała teraz Jenny. - Nigdy by do tego nie doszło, gdyby wzięła ze sobą tego przeklętego dzieciaka!

- To mój syn.

- Wiem o tym - odparła zimno.

Twarz w lustrze nabrała twardości, zbrzydła. Jenny nie podobał się ten obraz. Nie podobał jej się wy-

raz bólu w piwnych oczach, pojawiające się raz po raz zmarszczki. Wiedziała, że już na tej twarzy zostaną, wyryte w chwili, której za nic nie chciała pamiętać.

- Czy to z jej powodu? - spytała. - Czy ty to robisz ze względu na Rosi? Czy też po prostu jesteś taki głupi, Joe? Zdajesz sobie sprawę, ile cię to może kosztować? Masz świadomość, jak ja się męczę, abyśmy osiągnęli pozycję, na jaką zasługujemy, pozycję należną takiej posiadłości, jaką jest Rosę Garden? Masz pojęcie, jak trudno jest tak naprawdę zostać zaakceptowanym w towarzystwie? Chyba nic o tym nie wiesz!

Obróciła się na stołeczku. Wbiła wzrok w Joego i zobaczyła mężczyznę, którego poślubiła. Mężczyznę, którego kochała. Najświętsza Panienka jedna wie, że starała się wpłynąć na niego, jak mogła. Usiłowała go zmienić pod każdym względem. Próbowała to robić prośbą i groźbą, całym swoim sprytem, i czasami nawet sądziła, że trochę jej się udało. Teraz jednak zobaczyła, że Joe jest tak samo kanciasty jak był w Irlandii.

- Nigdy nie będziesz nikim innym jak zwykłym dzierzawcą, pachółkiem, prawda? - stwierdziła Jenny. Nie miała dłużej siły wstrzymywać słów, które do tej pory powtarzała tylko w duchu. Nie miała siły uważać, by go nie zranić. Zbyt długo już gryzła się w język. - Zawsze będziesz tylko synem stajennego. Możesz się ubrać w jedwabie i aksamity, lecz i tak zawsze będzie od ciebie cuchnęło szkapą.

Joe przyjmował wyrzuty w milczeniu. Od dawna się ich spodziewał. Może nie dokładnie takich słów, lecz oczekiwał, że gniew, który dobrze pamiętał, wybuchnie kiedyś płomieniem i odsłoni te strony Jen-

ny, które tak skrzętnie starała się ukrywać pod świeżo wyuczonymi manierami i drogimi sukniami. Tymczasem na dłuższą metę nie dało się tego ukryć. Szorstkie od pracy ręce to jedno. Charakter to zupełnie coś innego.

- Teraz, kiedy Rosi została wdową, możesz smalić do niej cholewki - stwierdziła Jenny z goryczą. - Nie będziesz pierwszym mężczyzną, który ma utrzymankę, prawda? To również jest długą tradycją wśród dżentelmenów z południowych stanów, Joe. Nie najlepiej ci wychodziło naśladowanie tych, którzy mogli świecić przykładem czci i obowiązku, lecz innych rzeczy chętnie się uczyłeś. Niewiele czasu potrzebowałeś, żeby sobie sprawić murzyńskiego bękarta, prawda? Wiedziałeś, że to Seamus nakłonił mnie wtedy, żebym ci wybaczyła? To on wytłuma czył mi to tak, żebym mogła się z tym pogodzić. Żeby umiała z tym żyć. Traktowałam cię lepiej, niż się spodziewałeś, prawda? Cóż, możesz za to dzięko wać Seamusowi. Za to, tak samo jak za wszystko inne, co ci się w życiu udało, Joe.

- Ożenić mi się udało bez jego pomocy - odciął się Joe.

- Za to możesz dziękować mnie! - oświadczyła stanowczo Jenny.

- A teraz żałujesz? - spojrzał na nią pytająco. Zastanawiał się, czy jej nie traci.

Jenny długo milczała.

- Chciałam już nigdy więcej nie oglądać tego dziecka - powiedziała wreszcie. - Mnie to również wiele kosztowało, rozumiesz, Joe? Świadomość, że to my dbamy o jego wychowanie. Patrzenie na

chłopca. Mogłam tego uniknąć. Tak, z pewnością nie musiałam na niego patrzeć, ale coś mnie tam ciągnęło niemal codziennie, Joe. On jest podobny do Denise. Chce mi się wyć, kiedy to mówię, ale on jest podobny do mego dziecka. Do mojej córki. I wiem, że jest jej przyrodnim bratem, a nie życzę sobie, by ona się kiedykolwiek o tym dowiedziała. Nie chcę, by kiedykolwiek to zrozumiała, pojmujesz, Joe?

- Ale taka jest rzeczywistość - odpowiedział ze wstydem.

- Na ile pewna jest ta siatka? - spytała Jenny, składając ręce na kolanach. W nocnej koszuli z cieniutkiego jedwabiu było jej zimno, lecz nie chciała spać we flaneli. Stać ją przecież na jedwabną nocną bieliznę. - Musimy myśleć praktycznie, Joe. Na ile to jest bezpieczne? Czy oni zdołają uciec? Czy ktokolwiek będzie w stanie dojść po śladach aż do nas?

- Nie jej pierwszej pomagają przedostać się na Północ - odparł Joe niepewnie.

- Rosi bierze w tym udział już od jakiegoś czasu?

Wzruszył ramionami. Uświadomił sobie, że bratowa teraz będzie musiała wycofać się z działalności podziemnej organizacji. Domyślał się, że taki będzie jeden z warunków, które postawi Jenny.

- Nie podoba mi się to - oświadczyła Jenny z mocą. - Niech ci się nie wydaje, że jest inaczej, Josephie Craigu O'Connor. Ale dzięki temu pozbędę się tego dziecka. To jedyny powód, dla którego na to pozwalam. Tylko dlatego pomogę.

- Wcale nie musisz!

Jenny roześmiała się i wsunęła pod okrycia po swojej stronie łóżka. Przykręciła lampę, niebiesko-

zółty płomyk ledwie migotał wokół knota, i położyła się na poduszki.

- Rosi nie jest głupia, Joe. Założę się, że to ona nakłoniła cię do powiedzenia mi całej prawdy. To z pewnością ona kazała ci wszystko mi opowiedzieć.

Joe nie odezwał się ani słowem.

- Nie musisz nic mówić, mój kochany. Jesteś O'Connorem i wybrałbyś najłatwiejsze wyjście, gdybyś uważał je za jedyne. Omotałbyś mnie jakimś kłamstwem. Może bym w nie uwierzyła. Rosi kazała ci powiedzieć mi prawdę, ponieważ potrzebuje mojej pomocy, a sama nie może o nią poprosić.

- Coś ci się przywiduje - mruknął Joe.

- Mam wyjątkową jasność spojrzenia, to właśnie tak naprawdę masz na myśli, Joseph. To nie twoja wina, że tego nie rozumiesz. Otacza cię zbyt wiele mądrych kobiet.

Jenny wsiadła do własnego powozu, lecz miejsce na koźle zajął Jeremy Jordan. Wyprawili się wszyscy razem, Jenny i trójka rodzeństwa Jordanów, Jared, Jeremy i Jennifer, a także Colleen i jej synowie.

Roza na widok wysiadającej z powozu Jenny, ubranej w podróżny strój, uniosła brwi, ale powitała ją tak, jak należy powitać szwagierkę. Nie spytała, gdzie jest Joe. Wciąż było wczesne popołudnie.

- Jared i Colleen chcą porozmawiać z Adamem i Deidre - oznajmiła Jenny i ruszyła w stronę dębów.

Roza poszła za nią. Inne zachowanie byłoby nieuprzejme. Jenny z uśmiechem gawędziła o niczym, dopóki nie znalazły się poza zasięgiem uszu innych ludzi. Dotarły już pod bezlistne gałęzie. Jenny gwał-

townie się zatrzymała i obróciła do Rozy. Stały bardzo blisko siebie, dzielił je zaledwie krok.

- Joe nie przyjedzie - oświadczyła Jenny. - Nie masz prawa wciągać mego męża w swoje niebezpieczne zabawy, Rosi! Joe nie pojmuję, jaki to może przybrać zasięg. Żyje na poły w baśni, jak wszyscy inni mężczyźni z rodu O'Connorów. Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć, bo przecież sama byłaś żoną jednego z nich. Ale Seamus przynajmniej jasno zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Wiedział, jak bardzo może się to okazać niebezpieczne. Joe nie ma o tym pojęcia. A ja nie chcę, żeby mego męża odesłano do domu w takim stanie jak twojego!

- To się nie zdarzy - powiedziała Roza cicho.

- Tak jakby twoje obietnice były coś warte!

Jenny na moment mocno zacisnęła usta.

- Dziecko jest w moim powozie - oznajmiła krótko. - Mam przy sobie papiery z odpowiednimi pieczęciami. Są na nich podpisy, które wyglądają jak prawdziwe. O ile dobrze zrozumiałam, moja służąca Agnes przebywa tutaj? - Uniosła ciemną brew. - Tak się składa, że wybieram się do Savannah i będzie mi tam potrzebna. Jestem nawet na tyle uprzejma, że pozwolę jej zabrać dziecko.

Roza przymknęła oczy. W grupie nie lubiano zmiany planów. Tym razem jednak nie miała wyboru. W dodatku nie udałooby im się przewieźć Cicily aż do Savannah w równie bezpieczny sposób jak w powozie Jenny z Rosę Garden, którym powoził syn Jareda Jordana.

- Masz dokumenty? - spytała.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię - odparła Jen-

ny cierpko. - Czy nie dlatego mnie w to wciągnęłaś?

- Co zrobiłam?

Jenny długo przyglądała się Rozie, a w końcu wzruszyła ramionami.

- Może cię przeceniłam, Rosi. Dopilnujesz, żeby moja służąca znalazła się w moim powozie, kiedy będziemy gotowi do drogi? To będzie już wkrótce. Ja tymczasem wejdę do domu, napiję się czegoś dla orzeźwienia...

Roza zdumiona patrzyła za odchodzącą szwagierką. Potem skierowała się do stajni. Wiedziała, że kamień, który znalazła na parapecie, był już ostatni.

9

Roza poznała całą historię dopiero wieczorem, gdy przycisnęła w stajni Adama. Musiała wykradać się z własnego domu, gdyż Odetta śledziła ją ciemnymi oczami, a na czole za każdym razem, gdy spoglądała na Rozę, pojawiała się jej wiązka zmarszczek. Gdyby nie zdrzemnęła się przy piecu, Rozie być może przyszyłoby się zastanawiać, czy nie uderzyć niańki czymś ciężkim w głowę.

Adam opowiedział jej wszystko bez owijania w bawełnę, bez cienia litości. Jego słowa wprost ociekały pogardą.

- Taki to elegancki pan, co? - spytał, patrząc na Rozę. - Ale wydaje mi się, że ty nie jesteś szczególnie zaskoczona nowinami - dodał. - Czy i do ciebie stary próbował się dobrać?

Roza zadrżała, co nie uszło uwagi Adama. Przerwał pracę. Ręce zacisnął na trzonku wideł, którymi przerzucał siano. Gniew rozgrzał mu krew. Czuł to samo, kiedy Jared opowiedział mu, co się stało. Juniorowi opowieść się rwała, lecz nazwał słowami każdy najdrobniejszy szczegół. Jordanowie byli z natury bardzo dokładni.

Adam, słuchając Jareda, miał wrażenie, że wściekłość zalewa go niczym wielka fala. Miał to wszystko przed oczami, jak gdyby sam przy tym był. Wi-

dział Colleen i tego podnieconego obleśnego starca...

Przeklął przez zaciśnięte zęby. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę, jak namalowaną ołówkiem. To było przekleństwo O'Connorów: mieli cholernie wybujałą wyobraźnię.

- Na miejscu Jareda bym go zabił - stwierdził ze złością. - Nie wystarczyłoby mi spakować się i wyjechać. Stary powinien za to, co zrobił, zapłacić, i to słono. Teraz wystarczy, że rozsiądzie się wygodnie w fotelu i wymyśli kilka kłamstw, tłumaczących, dlaczego jego dzieci uciekają z Blossom Hill. Dalej będzie mógł rozsiewać swój jad.

Roza nic nie powiedziała. Czuła tak samo jak Adam. Ona też chętnie zabiłaby Jordana seniora, lecz gdyby tak zrobiła, stałaby się równie nędzna jak sam Jordan. Tylko ta świadomość powstrzymywała ją od natychmiastowego rozprawienia się z nim.

- Czy Seamus o tym wiedział? - spytał Adam, nie ruszając się z miejsca.

I tak sprawiał wrażenie, że znajduje się zdumiewająco blisko. Było coś w jego ochrypłym, nieswoim głosie, może ton, jakim zadał pytanie, co sprawiło, że Roza miała wrażenie, jakby przeniknął jej pod skórę. Jego spojrzenie łaskotało. Czuła je równie wyraźnie jak dotyk. Seamus też tak na nią patrzył. Słał jej spojrzenia, które były niemal żywymi istotami. Może wszyscy O'Connorowie to potrafili. Osobliwa, bardzo niepokojąca zdolność.

- Seamus nigdy się o tym nie dowiedział, prawda? - spytał Adam. - Powinnaś mu była powiedzieć, Rosi. Nawet sobie nie wyobrażasz, czego byś nam oszczędziła!

- Cała Georgia wie, jaki jest Jared Jordan - odparła Roza, stojąc przed najmłodszym bratem Seamusa wyprostowana jak kolumna. - Ciebie też to nie zaskoczyło, Adamie, a jesteś tutaj równie nowy jak ja. Wszyscy jego przyjaciele, wszyscy jego sąsiedzi, wszyscy jego krewni o tym wiedzą. Kupił wszystkich, którzy mogli stanowić dla niego jakiegokolwiek zagrożenie. Czy to nic ci nie mówi o ludziach, którzy tu mieszkają? Czy to nie mówi czegoś o nas wszystkich? Nie masz ochoty stąd wyjechać, Adamie? Jedź, póki masz taką możliwość! - poprosiła bez tchu. - Jedź, dla dobra Aidana!

Adam już wcześniej słyszał podobne tłumaczenia. Wszystkie kobiece prośby zdawały się brzmieć identycznie. Deidre podsuwała mu te same powody. Tego wieczoru Colleen dała jego żonie kolejne argumenty. Wystarczyłoby, żeby powiedział tylko jedno słowo, a Deidre już zaczęłaby się pakować.

A co właściwie trzyma go tutaj? Co go wiąże z tym miejscem? Z tym zbyt otwartym krajobrazem? Przecież dorastał wśród zupełnie innych widoków.

Jeśli odpowiedzią była rodzina, to bardzo się ona zmniejszyła. Miałby przy sobie niemal tyle samo bliższych ludzi, gdyby zdecydował się na wyjazd z braćmi Jordanami. Nie łączyły ich wprawdzie więzy krwi, lecz Adam zaczął się uczyć, że nie tylko krew potrafi wiązać ludzi ze sobą.

- Będiesz bogatym człowiekiem - powiedziała Roza cicho.

Przekrzywiła głowę. Grube loki rudych włosów wysunęły się z koka, który upięła o wczesnym poranku. W ciągu dnia nie starczyło czasu na poprawie-

nie fryzury. W stajni było niewiele latarni, rzucały małe kręgi światła. Zawsze bardzo się bali, żeby nie wybuchł pożar, kiedy zwierzęta będą w budynku.

Adam spostrzegł, że w skąpym blasku latarni włosy Rozy zdają się żyć własnym życiem. Tak samo było z włosami Fiony. W przyćmionym świetle zmieniały się w ogień. Jej oczy także stawały się bardziej przejrzyste. Przypominały jeziora w wiosenny poranek. Adam pamiętał wiele takich jezior. Wielokrotnie budził się nad brzegiem któregoś z nich. Łowił w nich ryby, chociaż leżały na ziemi należącej do jakiegoś bogacza z Anglii.

Roza, mówiąc, zwilżała wargi koniuszkiem języka. Nie wstrzymywała przy tym oddechu, nie zatrzymywała słów. Może bała się, że on każe jej milczeć. Może bała się, że nie będzie chciał jej wysłuchać. Ze jej nie uwierzy.

Oczywiście miała rację. Nie chciał jej słuchać. Miał dość kobiecych prób nakłonienia go do tego czy tamtego. Był mężczyzną, a mężczyźni sami powinni o sobie decydować. Jego brat zawsze tak postępował. Seamus był wielkim człowiekiem.

Lecz nie dość wielkim...

Seamus był tylko człowiekiem...

... nie bogiem...

... nie był wybrany...

- Ty mi z pewnością nie wierzysz - mówiła Roza. - Ale ja wiem takie rzeczy. Nie mam pojęcia, skąd mi się to bierze. Po prostu przychodzi samo z siebie. I widzę ciebie.

- Akurat - powiedział Adam cierpko.

- Widzę brzegi, szarobiałe brzegi. Bardziej zresztą

białe niż szare. Plaże nie są długie, niezbyt rozległe. Morze jest jaskrawo zielone. Kamienie brunatnorude, mają dziwne kształty. Drzewa rosną nisko. Gęsto i nisko. A pola leżą na dziwnie szpiczastych pagórkach, niewysokich wzgórzach, które przechodzą jedno w drugie. Ciągną się daleko jak okiem sięgnąć. A za nimi rozciągają się lasy, wielkie, mroczne i nieprzyjemne. Wilgotne. Nie chcesz przez nie przejeżdżać. To zresztą nie będzie konieczne. Widzę cię na tym wybrzeżu, gdzie słońce zachodzi, Adamie, widzę, że wznosisz piękny dom. Wiem, że będziesz bogatym człowiekiem.

- Doskonałe przedstawienie, siostrzyczko - stwierdził Adam, ciesząc się, że Rozie udało się pohamować narastający w nim gniew. - Świetnie sobie radzisz - zapewnił, opierając brodę na końcu trzonka od wideł. - Jeśli kiedykolwiek postanowisz nas opuścić, będziesz mogła zarabiać na życie jako wróżka. Ale powinnaś raczej skupić się na kobietach. One są bardziej naiwne. Tacy jak ja nie dadzą się zwieść tak łatwo, rozumiesz?

- Każdy człowiek ma swoją cenę - powiedziała cicho Roza.

Adam poczuł, że włosy na karku mu się jeżą. Oczy mu się zwięziły. Przez jedną straszną sekundę wydało mu się, że ona wie o wszystkim. Że igra teraz z nim, jak najedzony kot pozwala upolowanej myszy biegać mu między łapami, by w końcu zadać leniwy cios i ukrocić męki więźniarki, gdy już przestanie go bawić. Odpędził jednak tę myśl od siebie. Roza nie byłaby taka spokojna, gdyby naprawdę o wszystkim wiedziała. Na pewno by się domyślił, gdyby miała choć cień podejrzeń.

- To było moje powiedzonko, siostrzyczko - uśmiechnął się szeroko.

Dawno już nie starał się tak świadomie użyć swego czaru jak teraz. Deidre, taka pewna własnej urody, mogłaby poczuć ukłucie zazdrości, gdyby była świadkiem tej sceny.

-Wzbogacę się na koniach, tu, w Georgii, siostrzyczko - zapewnił Rozę spokojnie. - Albo na przedziałniach. Albo na niewolnikach. Wszystko mi zresztą jedno, co to będzie.

- Wobec tego z pewnością ucieszy cię wiadomość, że Seamus zainwestował część waszych pieniędzy również w broń - powiedziała Roza.

Adam uniósł brew. To była nowość. Zastanawiał się, dlaczego Joe nic mu na ten temat nie wspomniał. Czy możliwe, żeby nic nie wiedział? Czy to możliwe, by Seamus zapomniał uprzedzić brata, do którego miał tak wielkie zaufanie, o tym drobiazgu?

- Jak wybuchnie wojna, będzie można dobrze zarobić na broni - dodała Roza cierpko. - Ale jak będzie wojna, wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni będą zmuszeni bronić swojej ziemi. Czy Favourite warte jest, by oddać za nie życie, Adamie?

- Mówisz tak, jakby wojna miała wybuchnąć już jutro - roześmiał się Adam. - Może zdążę się wzbogacić wcześniej. Może wstrzymam się z wyjazdem do tej pory. Muszę mieć ziemię, po której będą mogły biegać konie. Rozległe równiny, które nie kończą się, chociaż twój wzrok już dalej nie sięga. Takie, które ciągną się prawie do nieba. Takie jak tutaj.

Roza pokręciła głową.

- Widzę ciemne piwnice. Beczki ułożone w szere-

gach. Drzewka, rosące w jednej linii. Nieskończenie wiele takich rzędów drzewek. Biały dom na wzgórzu o pół dnia drogi konno od tych brzegów, o których ci mówiłam. Jedyne konie, jakie dostrzegam, to te, na których jeździsz, mój kochany.

- Aha - westchnął Adam. - A jakże się nazywa to miejsce? Jaką nazwę nosi ów raj, o którym mi opowiadasz? Nie, nie mów! Nie mów!

Zasłonił oczy ręką, udając, że usiłuje wydobyć wspomnienie, które prawie już przepadło, lub odebrać niewypowiedzianą na głos informację.

- Sam to widzę, siostrzyczko! Nie mów nic! Widzę to jasno. To Nowa Zelandia!

- Nie - odparła Roza i uśmiechnęła się, rozbawiona jego przedstawieniem. - Ty nie zdołałbyś się utrzymać jako wróżka, Adamie O'Connor!

Przekrzywiła głowę.

- To bardzo dziwna nazwa. Nie wiem, czy prawdziwa. Brzmi, jakby wyśpiewał ją ptak Ale właśnie ona dźwięczy mi w głowie, gdy widzę, jak jedziesz konno pośród tych rzędów drzew, pośród pagórków.

Adam czekał.

- Waimauku - powiedziała Roza.

Powtórzył, nawet dość poprawnie.

- A najdziwniejsze - dodała Roza w zamyśleniu - że czuję, że zabierzesz ze sobą coś, co należy do mnie.

Adam nawet nie mrugnął, lecz pomyślał o pieniądzech w skrzynce, którą zakopał za kamieniem nagrobnym Seamusa. Może właśnie tak powinno się to nazwać, powiedzieć wprost, że te pieniądze należą do Rosi...

- Nigdy nie zabrałbym niczego, co jest twoją własnością, siostrzyczko - oświadczył z tym swoim sze-

rokiem uśmiechem. - To by było sprzeczne z całym zdrowym wychowaniem, które odebrałem jako jeden z CConnorów. Mojej matce bardzo by się to nie podobało.

Roza nie mogła się nie roześmiać na widok jego uroczystej miny. Bardzo się cieszyła, że w Favourite jest ktoś taki jak Adam. Dni stawały się mniej mroczne, kiedy mogła śmiać się z nim i rozmawiać. Jego niezniszczalny humor odbierał ostrość zimie i smutkowi.

- Ten twój śmiech to prawdziwy dar - stwierdziła. - Musisz go pilnie strzec!

- Nie podobają mi się te częste spotkania w stajni, Missy Rosi - powiedziała Odetta, kiedy Roza wróciła.

Murzynka najwyraźniej na nią czekała. Staranniej ułożyła rogi szala na piersiach Rozy, z niezadowoleniem prychnąwszy nad jej strojem.

- Nie podoba mi się, że Missy spotyka się z cudzymi mężczyznami i z innymi poza domem. To nie jest dobrze. Nie można wychodzić z domu tak cienko ubranym. W piersi wda się zapalenie. Missy o tym pomyślała? A może jednak od razu postaramy się o mamkę? Missy sprawia mi zawód, sądziłam, że jest z innej materii niż te wszystkie eleganckie panie. Nie przypuszczałam, że pozwoli dzieciom ssać piersi obcych kobiet. Myślałam, że bardziej szanuje i swoje dzieci, i siebie samą.

Kilkakrotnie odetchnęła głęboko i dała Rozie czas na to, by mogła usiąść, lecz zaraz nastąpił wybuch kolejnej salwy.

- Wiem, wiem, czym Missy się zajmuje. Tym też

wcale nie jestem zachwycona. Pewnie Missy sądziła, że tak będzie. Odetta ma oczy na właściwym miejscu. Odetta wie, kiedy znika jedzenie, i zupełnym przypadkiem wie, co jadają konie. Odetta już wcześniej słyszała piosenki niewyśpiewane do końca. To nie jest dobre dla tego miejsca. Niedobre dla szczeniactków. Najlepiej prac brudy we własnym domu. Takie jest moje zdanie. Na wolność trzeba sobie zasłużyć. Tak uważa Odetta.

Roza zrobiła poważną minę.

- Jasno i dokładnie powiedziałaś, co o tym myślisz, Odetto. Cieszę się, że mnie o tym uprzedziłaś. A o przyszłość nie musisz się martwić...

Roza mówiła teraz zbyt wyraźnie. Zdawała sobie z tego sprawę. Inni również o tym wiedzieli.

Miała świadomość, że powinna przesłać dalej wiadomość o tym, że Cicily jest już w drodze do Savannah i że najprawdopodobniej ma tak dobre fałszywe dokumenty, że oboje z dzieckiem mogą w zasadzie swobodnie jechać dalej na północ. Nie przedsięwzięła jednak żadnych kroków. Była niezłomnie przekonana, że wiadomość jest już w drodze do Savannah. W tej samej grupie, z którą pojechali Cicily i jej dziecko.

Jasper jechał konno po ciemku. Już się do tego przyzwyczaił. Już tyle razy jeździł nocą w różnych sprawach. Poruszanie się w ciemnościach było kwestią wprawy. Wymagało od jeźdźcy znajomości terenu. No i dobrego wierzchowca. Jasperowi niczego w tym względzie nie brakowało.

Nigdy niczego mu nie brakowało.

Był synem Jareda Jordana.

Jasper uśmiechnął się do siebie. W ciągu dnia ta prawda stała się wprost ogłuszająca.

Nie pozostawał całkiem ślepy na słabostki swego starego ojca, sądził jednak, że ograniczają się do młodych niewolnic, którymi stary częstował się na swój dziwny sposób. Dawno już nie miało to związku z kobietami, goszczącymi w ich domu. Jasper był wtedy zaledwie chłopcem, a jego matka jeszcze żyła. Teraz zadawał sobie pytanie, ile mogła o tym wiedzieć.

Nie podejrzewał, że stary kiedykolwiek posunie się aż do tego. Wszyscy ślali pożądliwe spojrzenia za piękną młodą żoną Juniora, lecz żaden z braci nigdy nawet nie próbował jej tknąć. Wiedzieli, którądy przebiega granica.

Według barwnych opisów brata ojciec nie tylko dotknął Colleen.

A sądząc po histerycznych napadach i atakach płaczu Jennifer, Colleen nie była wcale jedyną kobietą z ich domu, którą ojciec próbował wykorzystać.

Jeremy okazywał spokój aż do chwili, gdy musiał zapanować nad młodziutką siostrą. Jasper widział, jak Jeremy powstrzymuje Jennifer przed skokiem z werandy na piętrze. Najmłodszy brat mocno ścisnął ją za nadgarstki, gdy wyprowadzał ją z domu do powozu, do którego Jared już zaprzęgał konie.

Jasper nigdy nie widział u Jeremy'ego takiej wściekłości jak wówczas, gdy ten pakował własne rzeczy i przedmioty należące do Jennifer. Brat oświadczył jedynie, że ich dom to nie jest wcale żaden dom, tylko jakaś kaplica wyuzdanego strachu i że jego stopa nigdy nie przekroczy tych progów.

Musiał tam jednak wrócić. Trzeba było dwukrot-

nie obracać wozami, nim Jeremy i Jared zabrali wszystko, co do nich należało.

Ojciec w tym czasie siedział milcząco w bibliotece.

Jasper na własne oczy nie widział nic, co potwierdzałoby dramat, jaki się tu rozegrał. To Junior przyłapał ojca zachowującego się jak dzikie zwierzę przy jego ciężarnej żonie. I to Junior zrzucił ojca ze schodów z pierwszego piętra, kopniakami wypchnął go z holu, a przyglądający się tej scenie niewolnicy nie poruszyli nawet palcem.

Ale też i Jared Jordan senior nie otworzył ust i nikogo nie poprosił o pomoc.

Junior, ogarnięty wściekłością, być może zrealizowałby swój cel i zabił ojca, gdyby hałas nie przyciągnął Jennifer, która wpadła w histerię i z krzykiem pobiegła na piętro.

To właśnie krzyki siostry Jeremy i Jasper usłyszeli aż na polach. Sprawdzali właśnie ogrodzenie, a koń Jeremy'ego był szybszy. To on pierwszy więc dotarł do domu. To on odszukał siostrę i powstrzymał ją przed skokiem. To on wśród krzyków i histerycznego płaczu wysłuchał urywków jej historii.

Kiedy Jasper wrócił do domu, wszystko już się skończyło.

Ojciec zamknął się w bibliotece i tam w ciszy liżał swoje rany. Jared zaniósł żonę i jej synów do wozu. Jeremy wyprowadził Jennifer.

Jasperowi nie pozostawało nic innego, jak pomóc im się pakować, układać bagaże na wozach, żegnać się z nimi i podjąć decyzję, że jednak zostanie.

„Jeden z nas musi zostać”, oświadczył Jaredowi, a brat uścisnął go za rękę obiema dłońmi i powie-

dział, że wdzięczny jest Jasperowi za to, że się ofiarował.

- Jeden z nas musiał zostać, kolego - szepnęła Jasper półgłosem do konia.

Uśmiechnął się w nocny mrok.

Ojciec nic nie powiedział, gdy wreszcie otworzył drzwi. Udawał, że nic się nie stało. Zapuchnięte oczy mu się sklejały, a Jasper zorientował się, że Jared pogruchotał ojcu palce u prawej ręki. Sam Senior nie wspomniał o tym ani słowem.

Jasper wstrzymał się trochę, nim posłał po doktora Wileya. Przyszło mu do głowy, że powinien zaczekać, aż ojciec sam zacznie błagać o pomoc, lecz nie był na to dość okrutny. Ten stary piekielnik, który był jego ojcem, miał w sobie prawdziwego diabła, lecz łączyły ich więzy krwi, a pewnymi stronami staro nie należało pogardzać. Jasper uznał, że należy wziąć je pod uwagę.

„Ja zostaję - oświadczył ojcu. - Zakładam, że wszystko przypadnie temu, który nie wyjedzie, prawda? To ja jestem tym dobrym synem, ojcze. Jedynym synem. Pozostali ulecieli z wiatrem. I to nie bez powodu. Możesz mówić ludziom, co chcesz, lecz jeśli za bardzo będziesz ich oczerniał, zdradzę całą prawdę”.

Stary nic na to nie powiedział. Jasper jednak rozmawiał z doktorem po zbadaniu ojca. Ten uparty stary cap nie pozwolił Wileyowi podać sobie środków uśmierzających ból.

„Morfina pomoże na jego cierpienie - powiedział doktor. - To musiał być dla niego wielki zawód, że dwaj synowie zdecydowali się szukać szczęścia za morzem. Jak można tak w gniewie zatrzasać drzwiami!”

Wiley śmiał się pomimo tej przykrewnej sytuacji, Jasper zaś śmiał się razem z nim, udając, że on również podziwia niezłomność i dumę Seniora, które pozwoliły mu posunąć się do takich ostateczności.

„Dobrze, że przynajmniej jeden z was postanowił zostać, bo inaczej zapewne zniszczyłby obie ręce”, stwierdził doktor.

Jasper zastanawiał się, jak ojciec wytłumaczył Wileyowi podbite oczy, zdartą skórę z twarzy i siniaki, będące śladami po kopniakach Jareda.

Doktor zostawił torebkę morfiny ze wskazówkami, jak należy ją dozować, na wypadek gdyby Jasper uznał, że ojciec za bardzo cierpi. Jasper przyjął lek, lecz nie zamierzał marnować białego proszku na starego.

Pędził teraz przez noc na spotkanie, na które już dawno umówił się z Adamem. Uzgodnili, że mają zbieżne interesy. Możliwe, że jechał na próżno. Wypadki, jakie zaszły w Blossom Hill, mogły odmienić również plany Adama.

Jasper wiedział również z całą pewnością, że Joe tego wieczoru także z kimś rozmawiał.

10

- Nie - zapewnił Joe, czując, że pot skrapla mu się u nasady włosów. Miał nadzieję, że nikt oprócz niego tego nie zauważył. - Nie wiedziałem, że Seamus inwestował w broń.

- Wpłacał pieniądze nie tylko na swoje nazwisko - powiedział któryś z pozostałych mężczyzn. Było ich trzech, a żaden z nich się nie uśmiechał. Dwaj zachowali w pełni irlandzki akcent, stopa trzeciego natomiast nigdy nie powstała w Irlandii. Czerpał jednak niewątpliwą radość z interesów, które przynosiły zyski, a zawierały pewien element niebezpieczeństwa.

- Nasi ludzie odkryli, że całkiem znaczne sumy wpłacano również na twoje nazwisko, Josephie O'Connor. Na nazwiska twoich braci, na nazwisko twego zmarłego szwagra, a także na nazwisko twego syna. Wszystko na przemysł zbrojeniowy. A ty masz czelność mówić nam, że nic o tym nie wiesz? Bierzesz nas za głupców, O'Connor?

- Nie - zaprzeczył Joe. - Seamus robił to, co chciał. To Seamus był głową naszej rodziny...

- I może był też panem Rosę Garden? - spytał jeden z Irlandczyków.

Joe milczał. Wątpił, by kiedykolwiek zdołał przekonać ich o swojej niewiedzy. Uświadomił sobie, że nie przynosi mu ona zaszczytu. To on wyjdzie na

głupca, jeśli dalej będzie zapewniać ich o swojej niewinności.

- Byłem przeciwny rozdawaniu broni wcale nie dlatego, że nie chciałem, aby zyski z jej sprzedaży wpadały do kieszeni O'Connorów - westchnął Joe.

- Byłoby to z mojej strony idiotyczne posunięcie, a aż taki głupi nie jestem!

Wątpliwość wyszła mu chyba na dobre.

- Wielu powątpiewa w twoją lojalność, Joe - oświadczył jeden z mężczyzn - lecz zgadzamy się na to, byś swoją działkę przekazał potrzebującym w ojczyźnie.

Joe nie skomentował tego ani słowem.

- Chcemy, żebyś w styczniu popłynął z nami do Irlandii, Joe. Wielu tamtejszych ludzi uważało Seamusa za świętego. Chcemy, żebyś im opowiedział, co bogacze zrobili z nim tutaj. Żebyś powiedział, że Seamus pragnął, by walka trwała.

Joe przymknął oczy. Nie tak wyobrażał sobie swoje przesłanie. Nie tak zrozumiał ostatnią wolę brata.

- Wyznaczyliśmy następcę Seamusa. Ty masz przekonać poszczególne grupy w Irlandii, że twój brat pragnął, by tak się stało. Potrzebny nam łącznik z tymi ludźmi. Statki muszą mieć figurę zawieszoną na dziobie, coś, co trochę błyszczy i zdobi. Potrzebny nam ktoś, kto niezbyt wiele robi, tylko po prostu jest, wzniesia żar. Jest przywódcą z nazwy.

Joe zastanawiał się, czy Adam zdaje sobie z tego sprawę, bo przecież oni nie mogli myśleć o nikim innym, tylko o Adamie. Nikt inny poza Adamem nie mógł odegrać tej roli i nikt inny nie zechciałby jej przyjąć. O tym, że nikt nie odważyłby się pytać Paddy'ego, Joe był najzupełniej przekonany.

- I ja mam zabrać tego nowego człowieka i przedstawić go grupom w ojczyźnie? - spytał Joe sceptycznie.

Ściskania w żołądku nie dało się nazwać przyjemnym, lecz wiedział, że raczej się zgodzi. Był gotów niemal na wszystko, byle tylko pozbyć się związków, jakimi Seamus połączył ich rodzinę z tymi ludźmi. Nie chciał, by nazwisko O'Connorów na całą wieczność kojarzyło się z tą sprawą.

- Rzeczywiście można tak powiedzieć - zarechotał najstarszy z Irlandczyków. - To ty jesteś naszym człowiekiem, Josephie!

Joe nie zrozumiał. Poczł nagle, że przygniata go brzemie cięższe niż worki z ołowiem. Nie mógł podnieść się z krzesła, a otaczały go roześmiane twarze, otwarte usta i trzęsące się policzki. Śmiech spadł na niego ciężko jak zimowy deszcz.

Z pewnością się przesłyszał. Oni oczywiście tylko sobie z niego żartują. To część ich gry i oczekują od niego, że będzie się śmiał razem z nimi.

Joe więc zaczął się śmiać. Zgrzytliwie, z goryczą. W ustach poczuł smak krwi, tak bardzo był ten śmiech wymuszony. Śmiał się, aż łzy popłynęły mu z oczu, a ściskanie w piersi w końcu ustało. Naprawdę niemal go to rozbawiło. Potrafił dostrzec w tym szaleństwo i śmieszność. Niemal zaczął wyżej ich cenić za to, że potrafią sobie z tego żartować. Nie przypuszczał, że ci ludzie potrafią się śmiać z czegokolwiek. Nie wierzył, że kiedykolwiek będą w stanie się uśmiechnąć, dopóki wszyscy Anglicy nie zostaną wyrzuceni z Irlandii.

- Ty jesteś naszym człowiekiem, Joe - powtórzyli. Zrozumiał wtedy, że myślą tak naprawdę.

- Znamy wszystkie twoje poglądy - ciągnął najstarszy z nich. - Niczym nie możesz nas zaskoczyć. Wiemy o twoich interesach, znamy twoją rodzinę. No i jesteś bratem Seamusa. W dodatku tym, który był mu najbliższy.

- Ja nie potrafię się zapalić tak jak Seamus - stwierdził Joe.

- To niepotrzebne. Już od pewnego czasu dajemy sobie radę bez przywództwa twego brata. Zostaliśmy zmuszeni do tego, by zacząć myśleć inaczej. Inaczej się zorganizować. To nam się udało. Potrzebny nam jest jednak przywódca na zewnątrz.

- Figura dziobowa - zauważył z goryczą Joe.

- Możesz nazwać się figurą dziobową, skoro tak chcesz - powtórzył jowialnie najstarszy z mężczyzn.

- Nie mamy spośród kogo wybierać. Gdy pozostaje nam wybór pomiędzy tobą a twoim bratem, ty sprawiasz wrażenie bardziej zrównoważonego. Stawianie na Adama byłoby zbyt dużym ryzykiem.

- A jeśli się nie zgodzę? - spytał Joe.

- Nie odmówisz - orzekł najstarszy.

To on przede wszystkim prowadził tę rozmowę. W Irlandii nazywał się Jimmy Finn i był synem Johna Szaleńca, który udusił żonę, gdy przypaliła wielkanocny obiad.

W Georgii używał nazwiska James Johnson i nigdy nie mówił o swojej rodzinie inaczej niż w napuszonych nieprawdziwych słowach, którymi malował aureolę nad głowami obojga rodziców. Jedynymi prawdziwymi elementami tych historii były ich imiona.

James Johnson ustawił się jako rzeźnik. Przedtem zarabiał pieniądze na rozbijaniu głów przeciwników

na ringach bokserskich wzdłuż całego wschodniego wybrzeża. Jego ręce przypominały steki wołowe, z którymi miał codziennie do czynienia. Gdyby zechciał, wciąż potrafiłby całkowicie poprzestawiać rysy twarzy przeciwnika.

- Mamy wiele różnych kontaktów - stwierdził z uśmiechem Jimmy Johnson. - Większość ludzi zdumiałaby się, gdyby się dowiedziała, na którą stronę przechylają się nasi przyjaciele. Niektórzy z nich zapatrzyli się na północ, Joe.

Joemu zaschło w ustach.

- Fakt, że szmuglujemy czarnuchów do tego kraju, nie oznacza wcale, że nie możemy wykorzystywać naszych powiązań do przerzucania ich na północ - oznajmił z szerokim uśmiechem.

- Pewnie tak - odparł Joe. - Czy Seamus o tym wiedział?

- Seamus wiele wiedział - stwierdził James Johnson tajemniczo, świadom, że Joe wierzga tylko na pokaz. - Seamus był mózgiem większości tego, co udało się nam zbudować, Josephie. Twój brat był bardzo utalentowanym człowiekiem. Miał zdolności w wielu kierunkach. Rzadko spotyka się takich ludzi, którzy są w stanie spojrzeć na jedną i tę samą sprawę z wielu różnych stron. Seamus potrafił dochować tajemnicy. Również, jak rozumiemy, przed najbliższymi.

Joemu nie pozostawało nic innego jak pokiwanie głową. Cieszył się, że Rosi tego nie słyszy.

- Wiemy, dokąd zmierza twoja czarująca żona - oświadczył James Johnson. - Wiemy, w jakiej sprawie wyjechała, i wiemy, z czyjej pomocy korzystała po drodze.

Joe gotów był przysiąc, że ci ludzie stoją również za ucieczką Cicily. Domyślał się, że to wszystko było grą, mającą na celu przeciągnięcie go na ich stronę. Pokazali mu, jak wielką mają moc. O mało nie wybuchnął śmiechem na myśl o tym, iż wydawało mu się, że będzie w stanie nakłonić ich do posłuszeństwa, dlatego, że był bratem Seamusa! Nigdy nie miał na to najmniejszych szans. Chrzaknął.

- Mówiliście, że w styczniu jedziemy do Irlandii? Będę miał czas odwiedzić matkę?

Roześmiali się serdecznie razem z nim. A więc rozumiał. Wszystko wyglądało tak, jak powinno. Wszystko było po staremu.

- Pozostaje jeszcze ta drobna sprawa dotycząca twego wsparcia finansowego, Joseph - powiedział James Johnson. - Czy wszystkie nieporozumienia będziemy mogli uznać za wyjaśnione, jeśli powiemy, że cały twój udział w całości zostanie przeznaczony na broń? Czy dobrze cię zrozumiałem, skoro sądzę, że wykorzystasz wielkie inwestycje swojej rodziny w tę branżę na załatwienie nam korzystniejszych umów na zakup broni?

- Zrozumiałeś to tak, jak należy - odparł Joe ochrypłym głosem. - Sam nie wyraziłbym się jaśniej, Johnson. Posłużę się wszelkimi wpływami i czarem O'Connorów. Cały jestem z wami, ze skórą i z włosami.

Zabawna uwaga wywołała jeszcze głośniejsze wybuchy śmiechu. Joe także się śmiał. Uzmysłował sobie, że najlepszą inwestycją na przyszłość jest nauczyć się wyc z wilkami.

- Większość spraw się układa - powiedział Jasper i nie odmówił szklaneczki brandy, którą podał mu Adam.

Mężczyźni siedzieli tylko we dwóch tuż przy kominku. Deidre zostawiła ich samych, gdy tylko upewniła się, że Jasper został należycie przyjęty i ugoszczony. Zaraz potem zmieniła się w posłuszną żonę, która wtopiła się w ścianę i zniknęła tak niezauważalnie, że nawet Adam nie potrafił powiedzieć, w jakim momencie wyszła z pokoju.

Podobne zachowanie nie było czymś zwyczajnym u jego żony i Adam wiedział, że nie mogła w niej nastąpić tak gwałtowna odmiana. Zapisał sobie w pamięci, że będzie musiał się dowiedzieć, ile zdołała podsłuchać z tej jego dyskusji z Jasperem. Możliwe, że wychwyci coś, na co on sam nie zwróci uwagi.

- Joe nie będzie miał nic przeciwko temu, że prowadzimy interesy tak, jak zaplanował je Seamus - stwierdził Jasper.

- A co, u diabła, się wydarzyło? - zdziwił się Adam. Nie mógł nic poradzić na to, że odczuł rozczarowanie.

To przecież on miał wystąpić jako nowy następca tronu, nie Joseph! Joe i tak miał dużo. Teraz trochę miało skapnąć jemu, Adamowi. Nie potrzebował aż tak wiele. Chciał jedynie mieć swoje konie, no i czas, by się nimi zajmować. Reszta i tak przyjdzie sama z siebie.

Jasper nie potrafił odpowiedzieć na pytanie Adama. Jego zadaniem było podtrzymywanie zadowolenia najmłodszego z CConnorów. Powiedziano mu tylko tyle, ile powinien wiedzieć. Nie zaliczał się do kręgów najważniejszych ludzi. Nie znalazł się w gronie najbardziej zaufanych. Wcale go to nie dręczyło.

Nie powodowała nim żądza władzy. Kusiły go zyski. Urodził się w blasku słońca. Nosił nazwisko Jordan. Teraz zasługiwał na nie bardziej niż kiedykolwiek. I nigdy nie odmawiał udziału w interesie, który mógł mu przynieść jakiś dochód.

- Pewnie Joe doznał oświecenia - uznał Jasper.

- Musiało się to stać cholernie niedawno - uznał Adam, myśląc o tym, że brat poprzedniego dnia nie wspomniał ani słowem o zmianie decyzji. Nie przypuszczał, że w Joem kryje się dusza pokerzysty.

- Joe może wiele na tym zarobić - zauważył Jasper.

Adamowi przypomniało się, z czym zdradziła się Rosi. Mówiła o inwestycjach w przemysł zbrojeniowy. Nie musiał chyba dłużej się zastanawiać, czy Joe o nich wie. Był pewien, że Joe nawet się nie domyślał, że Seamus mógł podjąć takie kroki. Wykorzystano to, by wyrzucić na niego nacisk

Uśmiechnął się.

- Widać Joe nie tak znów bardzo różni się od nas - stwierdził beztroskim tonem.

- Ale chłopcy nie chcą, byś brał udział w wyprawach, podczas których będziemy przenosić towary na ląd - uprzedził Jasper.

Adam pogodził się z tym bez słowa komentarza.

- Mojej obecności też sobie nie życzą - dodał Jasper, wzruszając ramionami. - Ty się za bardzo rzucaś w oczy, Adamie. Nie chcą więcej martwych bohaterów. A ja jestem synem mego ojca.

Tego również nie musieli wyjaśniać sobie bardziej dosłownie.

- Nic nie szkodzi - skwitował Adam, chociaż wcale tak nie myślał. Chciał brać w tym udział. Osobi-

ste uczestnictwo budziło takie emocje. Przypominał w tym Seamusa. Wszedł w ten interes nie tylko dla pieniędzy, choć takim właśnie powodem wymachiwał przed nosem Deidre.

- Ależ oczywiście, do diabła, że szkodzi! - oburzył się Jasper. - Jesteśmy jednak dostatecznie dorośli, by się o to nie kłócić. Bezpieczniej będzie, jak zajmemy się pozostałymi etapami operacji. Bezpieczniej liczyć potem kapitał, prawda?

Adam kiwnął głową. W myślach pojawiło się nagle to dziwne słowo, które Rosi zaszczepliła w jego świadomości.

Waimauku...

Ciekaw był, czy takie miejsce naprawdę istnieje. I zastanawiał się, co też takiego należącego do Rosi miałyby tam ze sobą zabrać.

- Myślisz o tym, żeby przyłączyć się do Jareda, prawda?

- Rzeczywiście wyjazd zaczyna mi się wydawać coraz bardziej kuszący - przyznał z wahaniem Adam. - Miałem nadzieję, że odegram tutaj ważniejszą rolę. Ale to chyba naturalne, że wolą Joego.

Jasper nie odmówił jeszcze jednej szklaneczki brandy i dopiero po jej wypiciu wyruszył w noc.

Adam siedział zamyślony, kiedy Deidre znów wsunęła się do salonu. Usiadła mu na kolanach i zarzuciła ręce na szyję. Jej palce zaczęły się bawić włosami na karku męża. Było to bardzo przyjemne, więc Adam jej nie przerywał.

- Nie mam ochoty dłużej zostawać w miejscu, gdzie tacy ludzie jak Jasper Jordan mają ziemię i wła-

dzę - oznajmiła w końcu Deidre i pocałowała męża w skroń.

- Albo tacy jak Joe? - spytał. - Słyszałaś wszystko, prawda?

- Większość - odpowiedziała, wsuwając mu rękę pod koszulę między guzikami.

Deidre miała szczupłe, drobne dłonie, ale potrafiły zachowywać się bardzo grzesznie. Adam zachrypniętym głosem poprosił, by nie przerywała. Pocałował ją mocno i położył jej jedną rękę na karku, druga wyruszyła na śmiałą wędrówkę pod warstwami spódnic. Koniuszki palców odkryły więcej skóry, niż się tego spodziewał.

- Czy ty nie masz dość rozumu, żeby wkładać cieplejszą bieliznę? - szepnął w jej półotwarte usta, tak cudownie kuszące słodyczą. Taką słodyczą, że nie mógł się powstrzymać, by nie skosztować jej jeszcze raz. - Przecież jest zima - udało mu się dodać między pocałunkami. - Zamierzasz mi się rozchorować, kochanie?

Deidre wyrwała mu poły koszuli zza paska spodni i ściągnęła szelki z szerokich barków. Oczy wpatrzone w męża błyszczały. Nie zamknęła ich skromnie. Adam nie mógł sobie przypomnieć, czy za pierwszym razem też tak było. Niewiele z tego pamiętał. Był zbyt pijany. A później Deidre zyskała taką pewność, że on należy do niej, że nie dbała już o skromność i cnotliwość. Zbyt wiele miała w sobie ognia. Adam nie chciał go gasić. Rozkoszował się jej żarem w równym stopniu co ona. A może nawet bardziej.

Prędko rozpiął jej bluzkę. Potrafił to zrobić po omacku. Wprawiał się w tym od czternastego roku życia. W jego długich, smukłych palcach nawet naj-

mniejsze guziczki zdawały się topnieć. To było jak czary. Pocałował jej szczupłą, białą szyję. Rozbawiony koniuszek języka przesunął się po delikatnej, miękkiej skórze.

- Masz smak brandy - szepnął i przesunął się wargami w dół. Poruszał się coraz śmieiej.

- Dziś wieczorem każda smakowałaby ci jak brandy, Adamie! - roześmiała się Deidre i wyprostowała się, dopraszając się pieszczot.

Piersi o mało nie wyskoczyły zza cienkiego płótna. Adam im pomógł. Palce zakradły się za koronki i uwolniły jej ciało z cieniutkiego materiału. Usta powędrowały śladem wytyczonym przez palce.

- Masz smak brandy - powtórzył, przytrzymując ją wzrokiem, a jednocześnie sięgnął po stojącą na stole brązową butelkę.

Ręka trochę błądziła, nim ją znalazła. Nie spuszczać z Deidre oczu, zwilżył palce złocistym trunkiem. Nim osuszyło je powietrze, obrysował wilgocią sterczące sutki. Deidre lekko jęknęła z rozkoszy, czując taką niezwykłą pieszczotę. Adam jeszcze to powtórzył. Później nachylił się nad jej piersiami i językiem zaczął kreślić koła, tam gdzie wcześniej dotykał jej palcami umocznymi w alkoholu.

- Teraz już bez wątpienia masz smak brandy - rzekł z uśmiechem.

- Wierzę ci - odparła Deidre z chichotem. - Wyraźnie uderzyła ci do głowy.

Nie przestawał jej pieścić. We wszystkich sytuacjach życiowych utrzymanie języka za zębami przychodziło mu z trudem. Tym razem uznał, że lepiej będzie milczeć.

Deidre usiadła mu na kolanach okrakiem. Gdy chodziło o guziki od spodni, jej palce wykazywały się taką samą zręcznością jak jego w wypadku staniaków i bluzek. Różnica między nimi polegała na tym, że Deidre swoje umiejętności praktykowała wyłącznie na spodniach Adama. On miał wyćwiczone dłonie, już gdy go poznała.

- Wiesz niebezpieczne życie, kobieto - jęknął, gdy dłonie Deidre uporały się z guzikami. - Bardzo niebezpieczne - dodał, gdy znalazła to, czego szukała.

- Chyba pobierałaś nauki u jakiegoś stajennego - mruknął dłuższą chwilę później.

- Nie mylisz się - odparła, przyciskając się do jego ruchliwych dłoni, które usiłowały doprowadzić ją do słodkiego szaleństwa.

- Dobrym był nauczycielem? - spytał Adam.

- Bardzo - odszepnęła. - To chyba jeden z najlepszych koniarzy w tym kraju.

- Najwyraźniej się na tym znasz - zażartował, kładąc obie dłonie na jej miękkie uda. Palce miał wilgotne od niej. Deidre siedziała równie niespokojnie jak on.

- Potrafię jeździć konno - odpowiedziała, przyciskając się do niego.

Adam zamknął oczy i oparł się o ścianę. Wsunął dłonie pod okrągłe pośladki żony. Podpierał ją, ława była za wąska do tego, czym się zajmowali. Nie zamierzał jednak zaproponować, by gdzieś się przenieśli. Nic na świecie nie skłoniłoby go do rezygnacji z tych radości, które mu ofiarowała.

- Chciałbym, żebyś mi to pokazała - szepnął

w pulsującą żyłę na jej szyi. - Chciałbym zobaczyć, na ile jesteś wytrawną amazonką. Ja się na tym znam...

- Doprawdy? - spytała cicho. - Znasz się na brandy i amazonkach? Kim ty naprawdę jesteś?

Poczuł, że Deidre osuwa się na niego. Czuł, jak zdecydowanymi ruchami dłoni naprowadziła go, lecz chociaż się tego spodziewał, dech zaparło mu w piersiach z rozkoszy, gdy dodatkowo jeszcze posłużyła się siłą mięśni ud i łydek. Musiał jedynie ją podpierać, przytrzymywać i cieszyć się jej bliskością.

- Rzeczywiście potrafisz jeździć konno - rzekł z uśmiechem, kiedy już zapiął spodnie, a ona skromnie spuściła spódnicę za kolana.

Deidre się uśmiechnęła.

Adam nie rozumiał, jak to możliwe, że w jednej chwili wygląda jak kusicielka, a w następnej jak porcelanowa lalka.

- Miałam zdolnego nauczyciela - odparła, mrugając, a długie, czarne rzęsy omiotły policzki, wciąż zarumienione po miłości. - Nie mówiłam ci, że to najprawdopodobniej najzdolniejszy koniarz w kraju? Powinnam być może dodać, że to również jeden z najlepszych jeźdźców...

Adam zachichotał i pokręcił głową.

- Jesteś naprawdę niezwykła, Deidre. Mówiłem ci, że za tobą szaleję?

- Czasami ci się przypomina i wtedy to mówisz.

- Nie dość często - przyznał z powagą. - Niewiele o tym mówię. O miłości. Ale cię kocham.

W oczach Deidre zapłonęły iskierki radości, a policzki zaczerwieniły jej się jeszcze mocniej, Adam

ucieszył się więc, że się przemógł i pozwolił, by te trudne słowa przeszły mu przez usta.

- Masz ochotę wyjechać razem z Jaredem i Colleen, prawda? - spytał.

Kiwnęła głową.

- Ale szczęśliwa będę tylko tam, gdzie będziesz ty, Adamie - powiedziała.

Pomyślał o swoich koniach. I pomyślał również o pająkach.

11

... nie jestem tutaj wcale bliżej ciebie niż w jakimś innym miejscu. Istnieją miejsca, w których wydajesz mi się wyraźniejszy niż tu. Gdybym miała się z tobą pożegnać, z pewnością nie nastąpiłoby to tutaj. Szukałabym cię na polach. Nad zakolem rzeki, w które mnie zaprowadziłeś. Poszłabym do stajni i tam miałabym pewność, że naprawdę jesteś ze mną.

Ja się nie żegnam.

Wszystko to robię na pozór. Oni bacznie mi się przyglądają, pragną mojego dobra. Zdaje im się, że jestem taka jak oni. Zdaje im się, że ty i ja byliśmy tacy sami jak oni. Ze to, co nas połączyło, przypomina ich doznania.

Jakże się mylą, Seamusie.

Ale ja ich lubię. Nie chcę być złym człowiekiem. Chcę, by wiedzieli, że niczego od nich nie żądam. Muszą mieć pewność, że zrobili to, co dla mnie najlepsze.

Będę więc taka, jaką chcą widzieć. Robię to, czego ode mnie oczekują. Oni uważają, że należy się żegnać. To rozsądne i normalne. Ze wszech miar. Dlatego klekam na mokrej ziemi i uklepuję błoto na płasko przed twoim nagrobkiem, najdroższy.

Wierzę, że z tej ziemi wyłonią się konwalie. Wierzę, że pokiwiają białymi dzwonekami w połowie mar-

ca, w dniu świętego Patryka. Będę o tobie myśleć bez względu na to, w jakie miejsce na ziemi rzuci mnie los. Będę myśleć o tym, że nazbierałbyś dla mnie tych małych kwiatków. Będę myśleć o tym, że może gdzieś je zbierasz.

Tobie i mnie więcej nie potrzeba. Potrzebna nam świadomość, że należymy do siebie. Tak jak jest. Połączeni ze sobą na wieczność. Dlatego nie żegnam się z tobą, Seamusie...

Nigdy się z tobą nie pożegnam...

Zima była naga. Naga w zupełnie inny sposób niż Roza zapamiętała z Norwegii. Wszystko było wilgotne, zbrązowiałe, sinoszare i błotniste. Zima, której wspomnienie nosiła w głowie, była czysta. Lśniąc biała wśród wyrazistych kolorów, otaczających biel.

Tutaj barwy zlewały się ze sobą, wszystko stawało się brunatne. Dopóki Roza nie znalazła się w Georgii, nie miała pojęcia, że istnieje tyle odcieni brązu.

Seamusa pochowali w najżyźniejszej ziemi należącej do Favourite. Trawa porośnie grób dopiero na wiosnę. Wciąż pozostawało do niej kilka miesięcy. W styczniu wprost trudno było sobie wyobrazić drżące od upału dnie, styczeń oznaczał mokre błoto, był na wskroś brunatny.

- Nie powinnaś klęczeć w błocie, siostrzyczko!

Rozdzwonił się nad nią wesoły głos Adama. Szwa-gier podał jej rękę w rękawiczce i Roza pozwoliła sobie pomóc wstać. Jej buty do konnej jazdy przemo-kły. Zaczęły przepuszczać wilgoć, lecz stało się to głównie dlatego, że w drodze tutaj nie ominęła kilku kałuż, tylko weszła prosto w nie. Nie zauważyła

ich, szła zatopiona w myślach. Ziemia też była nasiąknięta wodą, pokryta błotem, które zostawiło wielkie plamy na jej spódnicy.

- Masz szczęście, że Odetta cię nie widzi - uśmiechnął się Adam konspiracyjnie. - Nie śmiem nawet myśleć, co by na to powiedziała, Rosi. Kobieta w twoim wieku kłęczy w błocie. To zdecydowanie nie uchodzi!

Puścił do niej żartobliwie oko.

- Złego słowa nie pozwolę powiedzieć na Odettę - oświadczyła Roza.

- Ale tak samo jak wszyscy inni cieszysz się, że odeszła - dodał Adam.

Roza nie zaprzeczyła. Niańka bliźniąt po pewnym czasie rzeczywiście zaczęła jej działać mocno na nerwy. Roza odkryła to z przerażeniem, lecz w końcu zaczęła szukać sposobów pozbycia się Odetty. Jednym z nich było sprzedanie niewolnicy, ale tego robić nie chciała.

Roza podarowała jej więc wolność, lecz Odetta nie wiedziała, co ma począć jako człowiek wolny. Nie znała żadnych czarnych, którzy byli wolni. Nie chciała jechać na Północ. Całe życie przeżyła w Georgii jako niewolnica. Północne stany nic jej nie mówiły. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co mogłaby tam robić. Oczywiście gorąco dziękowała Rozie za życzliwość, powtarzała, że to doprawdy zbyt hojny dar, lecz jednocześnie błagała, by Roza zabrała ją ze sobą.

To było niemożliwe. Nawet Odetta to rozumiała. Lecz Roza i tak spędziła wiele wieczorów na opowiadaniu jej o zimnie, o szczypiących wichrach, które nadciągają od północy, o śniegu i lodzie. Miała jed-

nak świadomość, że bez względu na to, jak żywe będą jej opisy, ludzie stąd i tak nie mają możliwości zrozumieć, o czym ona mówi. Wszystkie jej opowieści wydawały się jedynie niezwykłymi baśniami i jedyną osobą, która naprawdę usiłowała je pojąć, była Siobhan.

„To jest jak baśń, którą opowiadał Peter”, stwierdziła dziewczynka i poprosiła Rozę o dalszą opowieść.

Odetta powróciła do Rose Garden. Porwała na strzępy papiery, które dała jej Roza, i błagała Jenny, by pozwoliła jej wprowadzić się z powrotem do chat niewolników. Jenny nie odmówiła. Później wykorzystywała przykład Odetty, by udowodnić Rozie, jak bardzo się ona omyliła.

„Oni nie chcą wolności - powtarzała Jenny. - Co z nią robią, nawet jak już ją im dasz? Nie mają pojęcia, co z nią począć. Przypełzają z powrotem, domagając się dyscypliny i porządku...”

- Odetta nie potrafi żyć gdzie indziej - stwierdził Adam. - Wyświadczyła światu przysługę, wracając do Jenny. Obie zasługują na siebie nawzajem.

Roza chciała w to wierzyć. Taka wiara była łatwa i przyjemna.

- Przyszłaś się pożegnać? - spytał Adam, ruchem głowy wskazując na mokry kamień. Po deszczu zrobił się prawie czarny.

Roza potaknęła.

- W pewnym sensie.

- Ja nie umiałbym się pożegnać, gdyby Deidre umarła - rzekł Adam zamyślony. - Ona i tak byłaby ze mną. Nie możesz zresztą pożegnać się z kimś, kto

nie chce cię puścić. Oddychając, oddychałbym również za nią. Dlatego, że ona jest we mnie i z pewnością by we mnie pozostała, nawet gdyby umarła. Czy to ci się wydaje niemądre?

Roza ze zdziwieniem podniosła wzrok na tego ni to chłopca, ni to mężczyznę. Adam drżał lekko, robocze spodnie wsunięte miał w buty, lecz mimo to nogawki zmoczył aż do kolan. Kurtka z owczej skóry zapięta była pod brodę, z runda kapelusza ściekała woda. Włosy przylepiły mu się do głowy. Na twarzy w miejscach, w których wycierał ją niezbyt czystymi rękawiczkami, widniały smugi. A także, o dziwo, powaga. Żartowniś Adam nagle stał przed nią zamyślony i poważny, a z jego słów bił rozsądek. W przejrzystych oczach widać było błysk dorosłości.

- Wygląda na to, że to rozumiesz, Adamie - powiedziała Roza cicho i z podniesioną głową uważnie mu się przyglądała.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała go w takim nastroju. Zawsze otaczał go jedynie śmiech. Żarty i psoty, i kolejne nowe sposoby wymigania się od nudnej roboty, niepozwalającej zająć się ukochanymi końmi.

Może wszystkie te decyzje, które zmuszony był podejmować po śmierci Seamusa, sprawiły, że stał się dorosły, czy też się nim stawał.

- Właściwie to nie jest pożegnanie, a już na pewno nie z nim. Nie z Seamusem. Lecz tyle jest miejsc, których już nigdy nie zobaczę. Takich miejsc jak to.

- Może nie bardzo jest co oglądać - stwierdził Adam i objął ją za ramiona.

Obrócił ją tak, by miała przed oczami dom. Roz-

ciągało się przed nią morze błota, które będzie musiała przebyć, nim w końcu znajdzie się w ciepłe. Dotarcie tutaj zajęło jej długi czas. Starła się stapać po kępach wyschniętej, żółtej zeszłorocznej trawy. Trudno to było nazwać prostą ścieżką.

- Nie mogłaś wstrzymać się z przyjściem tutaj do jutra? - spytał Adam, wzruszając ramionami. - Albo do pojutrze?

- Pojutrze wyjeżdżamy - przypomniała Roza. - Chciałam już mieć to za sobą.

- Słońce co dzień trochę bardziej osusza ziemię - tłumaczył jej spokojnie, tak jak cierpliwie wsącza się po kropli wiedzy niechętnemu do nauki dziecku, albo niesmaczną owsiankę.

- Przecież jutro także tu przyjdiesz. Najprawdopodobniej pojutrze również. I to tuż przed tym, jak wozy zaczną się wytaczać z podwórza. Ja albo Joe będziemy musieli tu przyjść i zanieść cię z powrotem na rękach. Dobrze by było dla ciebie, gdyby Odetta wciąż tu mieszkała. Przybiegłaby za tobą, z kocami i przeciwdeszczową kurtką Seamusa. Nakrzyczałaby na ciebie, że przecież wciąż karmisz dzieci piersią. *Missy Rosi musi uważać, żeby w piersi nie wdało się zapalenie. Myślałam, że dość już się o tym nagadałam!*

Roza śmiała się razem z nim. Głos Adama brzmiał inaczej niż Odetty, lecz podobieństwo i tak było niezaprzeczalne.

- Nikt nie będzie mnie nosić na rękach - oświadczyła w końcu Roza.

Adam uniósł brwi.

- Doprawdy? - spytał.

Zanim Roza zorientowała się w jego zamiarach,

poderwał ją z ziemi, przerzucił sobie przez ramię jak worek kartofli i ruszył na morze błota, które tak naprawdę było polami tytoniu, i nie przejmował się ani trochę tym, że Roza pięściami uderza go w plecy. Adam wybuchnął śmiechem. Żeby rozdrażnić ją jeszcze bardziej, puścił się biegiem po błocie, głębokim tak, że zapadał się w nie do połowy łydek.

- Postaw mnie na ziemię, Adamie O'Connor! - krzyczała Roza, ale przestała już go bić. Miała dość rozumu na to, żeby się trzymać.

- Niedługo będziemy na miejscu - wydyszał Adam. - Zaraz przepłyniemy to morze, siostrzyczko!

Jego kapelusz zwykle trzymał się mocno głowy. Niekiedy mogło się wydawać, że do niej przyrośł. Kupił go, gdy tylko przybyli do Nowego Świata, i wyraźnie nie zamierzał się z nim rozstawać. Kapelusz stał się wręcz jego nieodłączną częścią. Osłaniał go przed słońcem i deszczem, robił z niego dorosłego mężczyznę. Tymczasem teraz, gdy byli już w odległości zaledwie kilkunastu kroków od brzegów błotnistego morza, opadł mu na oczy. To Roza przypadkiem zepchnęła mu go, gdy starała się mocniej uchwycić za kołnierz kurtki.

Adam się potknął.

Wywrócili się.

Mając Rozę na plecach, Adam upadł ciężiej, niż gdyby był sam. Nie zdążył się niczego przytrzymać. Roza przefrunęła nad jego głową, aż załopotwały jej spódnice.

Kiedy wreszcie mógł przesunąć ów nieszczęsny kapelusz w tył, Roza leżała w błocie, zanosząc się od śmiechu. Adam westchnął, podparł się na łokciu i po-

patrzył na siebie. Leżał w niemal płynnym błocie i nie pozostawało mu nic innego, jak również samemu się roześmiać.

A śmiał się jeszcze głośniejsze, gdy zobaczył, że Roza rozkłada ręce i nogi i robi orła, aż błoto pryska.

- Jesteś kompletnie szalona, siostrzyczko! - wywrwało mu się z głębi serca. - Ale ogromnie mi się to podoba!

Z tymi słowami na ustach rzucił się z powrotem w błoto i sam także zaczął robić orła.

Gdy podpierając się nawzajem wracali do domu, byli ubłoceni od stóp do głów, lecz oboje śmiali się tak, że z oczu płynęły im łzy.

Jenny i Deidre nie mogły nie zauważyć tej sceny z domu. Wiele rzeczy należało spakować i Jenny przybyła szwagierce na pomoc. Przebywała w Favourite od dwóch dni. Mężczyźni ustawiali kufry na schodach, a kobiety oparły się właśnie o bagaże, żeby chwilę odpocząć, gdy rozegrała się scena na pustym zimowym polu.

Jenny nic nie mogła poradzić na to, że kąciki ust jej zadrżały, lecz zdołała jednak nad sobą zapanować. Sporo ją to kosztowało, ale się nie roześmiała.

- Adam czasami zachowuje się jak duży chłopiec - powiedziała sztywno Deidre.

- Oczywiście - natychmiast zgodziła się z nią Jenny. - Z Joem jest tak samo. To duży chłopiec. Tacy już są mężczyźni z rodu O'Connorów. Skorzy do zabawy, a przez to czarujący. I lubią kobiety. Ale są też troskliwi. To naprawdę miłe ze strony Adama, że poszedł po Rosi. Gotowa jeszcze była siedzieć przy tym

grobie do samego wieczora. Trudno jej będzie wyjechać. Pożegnać się z Seamusem. - Jenny umilkła na chwilę, nim wypuściła ostatnie żądło: - Dopiero teraz zwróciłam uwagę na to, jak bardzo Adam przypomina mi Seamusa. Naprawdę jest do niego bardzo podobny, prawda?

Deidre nie odpowiedziała. Zdołała utrzymać uśmiech na twarzy. Nietrudno zrozumieć, skąd wzięło się tyle jadu u Jenny. Dla Deidre nie stanowiło to żadnego problemu. Miała do Adama zaufanie. Nic nie mogło ich rozdzielić, ot, po prostu czasami zachowywał się jak dziecko.

Sytuacja Jenny przedstawiała się znacznie gorzej. To przecież jej mąż miał popłynąć do Irlandii tym samym statkiem co Roza. Jenny chyba zeżre niepewność przez te miesiące, które upłyną, zanim Joe powróci do Georgii. O ile Deidre wiedziała, morska podróż z Savannah do Irlandii mogła potrwać blisko miesiąc przy założeniu, że pogoda będzie sprzyjać. Joe będzie potrzebował przynajmniej miesiąca w Irlandii, no i trzeba jeszcze liczyć te same trzydzieści dni na powrót.

Szkoda, że nie będzie jej tutaj i nie zobaczy, ile z eleganckich, wypielęgowanych paznokci Jenny zostanie po tych trzech miesiącach.

- Adam będzie za nią tęsknić - rzuciła Deidre bez troski, pieszcząc spojrzeniem smukłą sylwetkę męża. - Rosi stała się dla niego niemal siostrą, a z rodziny zabieramy ze sobą jedynie Fionę i dzieci, jeżeli nie liczyć jako rodzinę chłopców Colleen. Oni są rodziną, lecz z klanu i tak niewiele pozostaje, prawda? Dobrze, że Adam poświęca czas tym, których kocha...

Weszła do domu, nie czekając, aż Adam i Roza dotrą do zabudowań.

Jenny zacisnęła usta. Bardzo jej się nie podobał perlisty śmiech Rozy. Na taki śmiech było jeszcze za wcześnie. Przecież nie minęło nawet pół roku, odkąd zabito Seamusa i szwagierka została wdową. Czyż ona nie ma za grosz przyzwoitości?

- Zachowywali się jak dwoje dużych dzieci - opowiadała Fiona ze śmiechem, kiedy cała wielka rodzina O'Connorów usiłowała ścisnąć się na wspólnej kolacji przy dwóch stołach w domu Paddy'ego i Bridget.

- Rzeczywiście mogę to potwierdzić - wyrwała się Deidre. - Wcale im nie wystarczyło, że przewrócili się w błoto, po prostu się w nim położyli i tarzali. Gdyby Adam był moim dzieckiem, spuściłabym mu po powrocie do domu lanie na goły tyłek.

- Jestem od ciebie większy, skarbie - uśmiechnął się Adam i przez stół puścił oko do żony.

- Ale gdyby teraz wystąpił z gołym tyłkiem, to pewnie doszłoby do czegoś innego niż lanie, prawda, Deidre? - zażartował Paddy.

Mężczyźni wybuchnęli rubasznym śmiechem. Wszyscy ci duzi chłopcy starali się nie patrzeć na Deidre, która uśmiechała się tajemniczo, z dziwną śmiałością.

- Będzie mi tego bardzo brakowało - oświadczył Adam, kiedy śmiech ucichł.

Oparł się dłońmi o zniszczony już i wyświecony stół, objął ich wszystkich wzrokiem. Patrzył w zna-

jome twarzy, tworzące krąg wokół stołu. Patrzył na swoją rodzinę.

- W Nowej Zelandii chyba też mają stoły - zauważył spokojnie Paddy, który z wyraźnym zadowoleniem jadł potrawkę.

- Was będzie mi brakowało - wyjaśnił Adam. - Wcale nie tego cholernego stołu, tylko was.

- Adamie, tutaj są dzieci - ostrzegła Fiona.

- My już słyszeliśmy słówko „cholerny” - poinformowała Siobhan, uśmiechając się tak szeroko, że piegi jej się rozciągnęły i prawie zmieniły w kreseczki. - Inne słowa też słyszeliśmy - upредиła matkę.

- Nie chcę nawet o tym wiedzieć - oświadczyła Fiona surowo.

- Znam kilka takich, których na pewno nie zna nawet wujek Adam! - zachichotała Siobhan.

Adam zachowywał wielką powagę. Wychylił się przez stół do siostrzenicy i szepnął na tyle głośno, że wszyscy go usłyszeli:

- Możesz mi je powiedzieć później, skarbie! I pomyśl o wszystkich tych nowych słowach, jakich się nauczysz, kiedy już dotrzemy na miejsce!

Siobhan zaśmiała się zadowolona. Wyraźnie było widać, że już się cieszy na myśl o psikusach, jakie potrafi wymyślić wujek Adam. Opuszczenie Georgii, którą przynajmniej w swojej opinii dobrze zdążyła poznać, przestało już wydawać się takie groźne. Właściwie to wręcz emocjonujące, że znów jadą do jakiegoś nowego świata. Przecież już wcześniej wyjechali z Irlandii. A ona podróżowała jeszcze więcej, bo przedtem mieszkała w Walii.

- Wyjeżdżamy do Nowego Świata - oznajmiła uro-

czyście i na moment jej skłonna do uśmiechów twarzyczka spoważniała. - Jak się nazywa ten port, do którego mamy przypłynąć, wujku Adamie? To taka dziwna nazwa. Jared ci ją powiedział. To taka nazwa, przy której można skakać na skakance. Tak robiliśmy. Powtarzałam ją cały czas, żeby nie zapomnieć. Ale i tak zapomniałam.

- Manukau - odpowiedział Adam. - Ten port nazywa się Manukau.

- Brzmi trochę podobnie - uśmiechnęła się Roza i wymieniła z Adamem porozumiewawcze spojrzenia.

- Podobnie do czego? - zainteresowała się Deidre.

- Do Waimauku - odpowiedzieli Adam i Roza jednocześnie. Obydwoje rozśmieszyła ta zbieżność.

- Waimauku - powtórzył Adam, łamiąc chleb na drobniutkie kawałeczki, które zanurzał w sosie do potrawy. Potem wysysał sos z chleba, nim wsunął go do ust. - Rosi przyśniło się pewne miejsce, które nazywa się Waimauku. Śniło jej się, że będę tam bogatym człowiekiem. - Wzruszył ramionami. - Może ma rację. Ta nazwa przypomina Manukau. Może właśnie takich nazw używają w Nowej Zelandii. Nie przypominają wprawdzie żadnej nazwy, jaką Jej Królewska Wysokość nadałaby któremukolwiek ze swoich miast, ale nigdy nic nie wiadomo. Przekonacie się, że tam również jest mnóstwo dzikusów, których należy poskromić. Ale damy sobie radę. Przecież tutaj zyskaliśmy pewne doświadczenie...

- To wcale nie jest zabawne, Adamie! - oświadczyła Fiona, kiedy przy stole zapadła cisza. - Z takich rzeczy nie należy się śmiać.

Adam kiwnął głową, ale od tej chwili trudno już by-

ło podtrzymać rozmowę. Rwała się, a Adam przeprosił i wyszedł, gdy tylko nadarzyła się pierwsza sprzyjająca ku temu chwila. Deidre pospieszyła za nim, nawet nie próbując się tłumaczyć. Znalazła go pod dębami. Opierał się o gruby, sękaty pień, który w późnej wieczornej porze wydawał się niemal biały. Adam wpatrywał się w ciemność, w stronę grobu Seamusa.

- Wyszedłeś po skrzynkę? - spytała cicho, obejmując go od tyłu. Kiedy miał na sobie kurtkę, jej ramion starczało akurat na to, by objąć go w pasie.

- Taa - odparł. - Myślałem, że uda mi się odciągnąć Rosi od tego miejsca, tak żebym mógł to załatwić raz a dobrze. Ale zrezygnowałem z takich prób. Narobiłem zamiast tego trochę hałasu. Nie jest łatwo znaleźć odpowiednią okazję, żeby zabrać te rzeczy. Wszyscy przecież wyjeżdżają. O każdej porze doby ktoś tam stoi. - Zaśmiał się ochryple. - Trochę tak, jakby każdy miał z Seamusem jakąś niedokończoną sprawę.

- Mógłbyś iść teraz - zaproponowała Deidre.

- Nie - odpowiedział.

- Oni jedzą. Nikt jeszcze przez co najmniej godzinę nie ruszy się od stołu. Zdążysz tam pójść i wrócić. Mogę powiedzieć, że poczułeś się urażony...

Adam się uśmiechnął.

- Urażony! Wtedy już na pewno by zrozumieli, że coś tu się nie zgadza. Zaczekam, aż uporam się z robotą w stajni. Dziwnie mi będzie bez niej...

- Zabierzesz ze sobą dość koni - powiedziała Deidre. - Będziesz miał własną stajnię. To bardzo miło ze strony Rosi, że podarowała ci Warriora.

- To prawda.

- Ale ona i tak go nie potrzebuje - dodała Deidre. - To ty jesteś koniarzem w tej rodzinie. Wszyscy przecież o tym wiedzą. Rozsądne więc, że to ty dostajesz ogiera Seamusa. Warrior może być niezłym zaczątkiem hodowli.

- Jeśli przetrzyma podróż morzem - zauważył Adam.

Nie mógł nic poradzić na to, że czuł się nieswojo przy tym grobie. Ale nie mógł też odmówić. No i Warrior byłby rzeczywiście świetny na początek, kiedy ruszyłby z hodowlą. Tak właśnie zaczynał Seamus - od koni ukradzionych lordowi Lismore'owi.

- Pospiesz się w tej stajni - szepnęła Deidre i stanęła na palcach, żeby pocałować męża w policzek - Potrzebujemy tych pieniędzy, Adamie. Postaram się jak najlepiej podtrzymać dobry nastrój tam w środku.

W podskokach pobiegła z powrotem do domu. Adam został w ciemności i ciszy. Zadawał sobie pytanie, ile razy można wszystko zaczynać od nowa.

Roza w mroku nocy usiadła na zewnętrznych schodach. Na dworze było lodowato zimno, ale zarzuciła na ramiona koc. W ciemności panowała cisza. Lubiła rozmyślać w samotności. I przyjemnie było słuchać odgłosów nocy, tych, z którymi tak się już żyła, że nie słyszała ich, jeśli się na tym nie koncentrowała. Starła się teraz dobrze je zapamiętać.

Wszyscy już poszli spać. W pozostałych domach pogasły światła. Sama groźbami zapędziła swoich chłopców do łóżek, a potem długo siedziała przy kołysce bliźniąt. Wsłuchiwała się w ich oddechy. Dzieci oddychały jednocześnie. Mogło się wydawać, że

jest tylko jedno dziecko. Prawdziwym cudem było słuchanie ich oddechów, patrzenie na nie, wachanie ich. Musiała użyć całej swej siły woli, żeby odejść od kołyski, nie przesiedzieć przy niej całą noc, żeby nie zbudzić ich z samej tylko czystej miłości.

Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności. Potrwało to chwilę, lecz ona już dość długo siedziała na tych schodach. Przestała odczuwać zimno, przywykła do chłodu nocy. Pomyślała o styczniowych nocach w Finnmark i od razu się rozgrzała.

Upłynęła dość długa chwila, zanim zorientowała się, że nie jest wśród tej nocy wcale sama. Trochę potrwało, zanim nabrała pewności, skąd dochodzą ledwie słyszalne dźwięki i co oznaczają.

Teraz już wiedziała, że ktoś rozkopuje grób Seamusa. I pomimo ciemności dostrzegła sylwetkę tak wyraźnie, że potrafiła powiedzieć, kto to jest.

Nie ruszyła się z miejsca, chociaż zaczęła się trząść. Ten człowiek maszerował długimi krokami. Błoto w nocy zgęstniało. Bardziej trzaskało, niż chlupotało pod jego butami. Mężczyzna był tak wysoki i ciężki, że zapadał się w nie aż do twardej nierozmięknętej ziemi. Niósł szpadel i coś jeszcze. Coś, co wyglądało na skrzynkę.

- Ty też musiałeś się z nim pożegnać, prawda? - powiedziała, kiedy ją wymijał.

Adamowi szpadel wypadł z ręki.

Roza siedząca na schodach wyglądała jak duch. Włosy dzikimi splotami opadały jej na ramiona. Bogowie jedni mogli wiedzieć, co miała na sobie.

- Wystraszyłaś mnie do szaleństwa! - jęknął i zaraz się roześmiał. Był w stanie się śmiać.

Skrzynka z pieniędzmi ciążyła mu w rękę.

- Wcale tego nie chciałam - odparła Roza.

Adamowi przeleciało przez głowę, że ona nie mogła o tym wiedzieć. Nie było takiej możliwości. Mogła sobie gadać, ile chciała, o snach, lecz o tym nie miała pojęcia.

- Właściwie to nie było pożegnanie - powiedział, zginając kolana, żeby podnieść szpadel. - Prosiłem Seamusa, żeby czegoś mi przypilnował. Kiedy byłem mały, Seamus często pilnował moich rzeczy. Kiedy miał je pod swoją opieką, nikt inny nie ważył się ich tknąć. Dlatego prosiłem go o przechowanie.

- Czy wciąż można mu ufać? - spytała Roza.

- Tak - odparł Adam. - Seamus potrafił dochować tajemnicy. Nie wejdiesz już do domu?

- Niedługo - powiedziała Roza. - Tylko nie marudź. Mówisz jak Odetta.

- Niech Bóg broni! - mruknął, a potem życzył jej dobrej nocy i odszedł. Kolana mu się trzęsły, lecz nie przypuszczał, żeby Roza mogła to zauważyć. I miał pewność, że ona o niczym nie wie. Nie rozmawiała by z nim tak, gdyby wiedziała. - Ciekawe, co on tam zabrał - powiedziała Roza cicho do siebie i zorientowała się, że coś jest nie tak.

- Ciekawa jestem, co on stamtąd zabrał - poprawiła się, powtórzywszy uprzednio to zdanie kilkakrotnie w duchu.

Wypowiedziała je po norwesku. Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewała. Zaczęła ćwiczyć mówienie po norwesku. Próbowwała w samotności. I tak nie znalazłby się nikt, kto mógłby ją poprawić. Po-

rozmawiać z nią. Była sama ze słowami, które tylko ona rozumiała.

Ćwiczyła myślenie po norwesku już od czasu, gdy Seamusa złożono do grobu. Na ogół znajdowała właściwe słowa. Na ogół trafiały na właściwe miejsca.

- Czego tym razem pilnowałeś młodszemu braciškowi, Seamusie? - rzuciła pytanie w powietrze.

Powtórzyła je po angielsku.

- Czy on kiedykolwiek przypilnował czegoś tobie? - spytała.

Również tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

12

... byłoby o wiele prościej, gdyby ktoś wskazał mi drogę. Gdyby wziął mnie za rękę i poprowadził dalej. Tak bardzo się boję, że pójdę w złą stronę.

Wiele myślę o Kafjord.

Zbyt długo tego unikałam. W Irlandii trzymałam się wszystkiego, co rzeczywiste. A wówczas rzeczywiste wydawało się jedynie Kafjord. Góry. Fiord. Ludzie. Moja rodzina.

Potem zaś zjawił się Seamus i odtąd już tylko on był rzeczywisty i ważny. Całą resztę zostawiłam za sobą. Przepędziłam wspomnienia, tak jak kowboje przepędzają bydło. Moje życie istniało tylko w jednym miejscu, tam gdzie Seamus.

Joe ma rację w tym, co mówi. Seamus postąpił okropnie, umierając. Wiedziałam o tym już w tej sekundzie, kiedy objęłam ramionami jego martwe ciało. Zdawałam sobie sprawę, że będę musiała odszukać wspomnienia, bo to one są dla mnie teraz rzeczywiste. Muszę przypomnieć sobie wszystkie twarze, których zapomnienie przyszło mi z taką łatwością. Wyparłam z pamięci również wszystkich tych, których kochałam.

Ciekawa jestem, czy Ole i Liisa mają dziecko. Ciekawa jestem, czy Mattias jest wciąż tak samo zakochany w Raissie. Mam nadzieję, że David nie jest już

zatrudniony w Kopalni. I że nigdy nie przywiezie żony i ich małego synka na północ do Norwegii. To wspomnienia, których chętnie bym się pozbyła.

Myślę też o tym, że w Samuelsborg jest tak ciasno. Jeśli Liisa i Ole mają dziecko, potrzebne im są wszystkie kąty.

Nie mam żadnego miejsca, które mogłabym nazwać domem. Nie mam żadnego innego miejsca niż to.

Zastanawiam się, co o mnie myślą. Ole wiedział, dlaczego wyjechałam. Przyjął to jak mężczyzna, ale przecież to mój brat. Nie wiem, czy zdolna byłabym zrobić coś, przez co zaczęłyby mną gardzić. Jesteśmy rodzeństwem. Łączy nas coś wielkiego i wspaniałego, tak jak Seamusa, Joego, Adama i Fionę. Ta czwórka należała do siebie. Inni stanowili część gromadki, lecz stali jakby dalej. Łączyły ich mocne więzy. Dziwnie jest patrzeć, jak się rozstają.

Po śmierci Seamusa wszystko się odmieniło. Wydaje mi się, że Adam nie wyjeżdżałby za morze, gdyby Seamus nadal żył. Fiona nie miałaby ku temu powodów, gdyby wciąż żył Peter. A Joego nie przytłaczałaby taka odpowiedzialność. Jest za młody, by być tym, który skupia ich wszystkich wokół siebie. On i Paddy zostaną w Georgii sami.

Wolałabym, żeby Joe również zdecydował się na wyjazd. Nie wytrzymam świadomości, co go tu czeka, jeżeli zostanie. Nie wiem, czy powinnam go straszyć, czy też może całkiem o nim zapomnieć.

Wyjechałam po to, by urodzić dziecko innego mężczyzny. Miałam wrócić do domu bogatsza jedynie o gorzkie doświadczenia. Upłynęło znacznie więcej czasu, niż sobie wyobrażałam. W domu sądzą

z pewnością, że już nie żyję. Najlepiej by było, gdyby dalej mogli w to wierzyć.

Nie mam jednak żadnego innego miejsca, do którego mogłabym się udać, niż Klifjord. Nie mam innego domu niż Samuelsborg. Mam nadzieję, że izby nie są aż tak pełne. Wrócę do domu z objęciami pełnymi dzieci. Co z nich wyrosnie tam na północy, wśród gór? Co mam im do zaproponowania? Jak ochronię je przed pogardą?

W drodze do Savannah trzy noce spędzili w zajazdach. Dienne etapy podróży były długie, drogi o tej porze roku pełne dziur i błota. Podróż wymęczyła zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Aidan, Patrick i Charlotte, dwu- i trzylatki, już drugiego dnia zaczęli się nudzić. Trudno było znaleźć im jakieś zajęcie w ciasnych powozach, popłakiwali i grymasili. Nawet Siobhan, która wiele się napodróżowała w swym ośmioletnim życiu, stała się niespokojna. Maluchy Rozy dawały sobie radę znacznie lepiej niż starsze dzieci, lecz też i dorośli zadbali o to, żeby pozostali malcy - z wyjątkiem Siobhan - jechali w innym powozie niż bliźnięta.

- To takie dziwne - powiedział Joe, spoglądając na uśpione buzie Michaela i Lily. - To takie niezwykle patrzeć na nich i uświadamiać sobie, że należą do mojej rodziny. W ich żyłach płynie nasza krew. Są częścią Seamusa. Dziwnie się czuję, wiedząc, że nie będę patrzył, jak dorastają. Nie poznam żadnego z nich jako dorosłego człowieka. Nikt z nas, O'Connorów, ich nie pozna. Będą dorastać w jakimś miejscu, w którym oprócz ciebie nikt o nas nie słyszał. Nigdy nie

poznają rodziny swego ojca. To naprawdę dziwne uczucie. I trochę bolesne. - Umilkł. - To okropne z jego strony, że umarł - dodał z westchnieniem.

- Zostały mi po nim tylko one - powiedziała Róża. - Nie będzie was tam, nie będziecie o nim rozmawiać. Wspominać go. Nie będę mogła patrzeć na was i widzieć, że wszyscy mi go przypominacie w taki czy inny sposób. Zostaną mi jedynie wspomnienia. I dzieci.

- Wcale nie musisz wyjeżdżać.

- Nie mogę zostać.

- Oczywiście, że możesz! - zaproponował Joe ze wzburzeniem. - Jeśli byś tylko tego chciała, to mogłabyś zostać, Rosi!

Słowa Joego zapadły w nią głęboko. Od jej stóp wciąż rozchodziło się wiele ścieżek. W Savannah będzie musiała dokonać wyboru. I bez względu na co się zdecyduje, powrotnej drogi już nie będzie. Właśnie ta świadomość była taka trudna do zniesienia. W zasadzie uniemożliwiała decyzję.

... Natalia! Słyszysz, że cię wzywam, Natalio? Jeśli kiedykolwiek zamierzasz do mnie przyjść, zrób to teraz! Moje decyzje nigdy nie były do tego stopnia przerażające, jak tym razem.

Mam wrażenie, jakbym stała na szczycie góry we mgle. Muszę iść dalej. Zamarznę, jeśli nie podejmę próby znalezienia drogi, która mnie stąd wyprowadzi. I wiem, że taka ścieżka jest tylko jedna, lecz z powodu mgły niczego nie widzę. Muszę zaufać swoim stopom. Wierzyć, że same odnajdą tę ścieżkę.

Ufać temu, co czuję w swoim wnętrzu...

Albo rzucić się w przepaść...

Widzisz, jak mgła spowija moje stopy, Natalio? Jest jak błoto. Otacza mi kostki. Nie widzę, gdzie stąpam. Nie śmiem się poruszyć. Nie mam odwagi zrobić kroku. Jestem taka samotna na tym górskim szczycie, Natalio...

- Samotna?

Ona przybywa nie wiadomo skąd, a ja rozglądam się dookoła i widzę jedynie niebo. Widzę tylko białą jak mleko mgłę, która pęta mi kostki. Dokładnie tak, jak jej to opisałam. Ale Natalia wędruje po chmurach.

- Samotna? - jeszcze raz powtarza to samo pytanie swoim jasnym, przejrzystym głosem, który ma w sobie dźwięk lodu, przemieszany ze słonecznymi nocami. Natalia to najcudowniejsze sprzeczności. Natalia to zorza polarna.

- Od bardzo dawna już nie jesteś sama, Rozo - oświadcza pouczającym tonem.

Nie rozumiem, jak ktoś może chodzić po chmurach. Ale Natalia ma we krwi zorzę polarną, może to więc jest wyjaśnieniem. Może pewnego dnia ja również będę to umiała? Może ja także będę mogła stać się taka jak ona.

- Nie jesteś do tego gotowa - mówi z uśmiechem.

Ogarnia mnie zawstydzenie. Tak dawno już jej nie widziałam, zapomniałam, ile ona o mnie wie. Nie pamiętałam, że potrafi czytać w moich myślach. Ale dobrze jest mieć kogoś, przed kim nic nie da się ukryć. Tęskniłam za tym.

- Posłałyśmy cię tam, gdzie miałaś być całkiem sama - oznajmia Natalia z powagą. - Bez niczyjej pomocy nawiązałaś nowe kontakty, Rozo. Sama stwo-

rzyłaś przyjaźń. Znalazłaś człowieka, którego mogłaś kochać. Żyłaś wśród obcych, lecz uczyniłaś z nich bliskich. Oni cię przygarnęli do piersi. Od dawna już nie jesteś sama, Rozo.

- Dokąd mam teraz iść? - pytam. - Tak bardzo kuś mi, by zostać z nimi. Serce mam tak dziwnie rozszczepione. Nie chcę nikomu sprawić rozczarowania. Nikogo nie chcę zranić. Jestem związana z tymi, od których wyjechałam. Jestem związana z tymi, którzy tutaj są moją rodziną. Bez względu na to, co wybiorę, czegoś kogoś pozbawię.

- Takie już są pożegnania - oświadcza Natalia. - Każde pożegnanie niesie w sobie jakby część śmierci. Ale kto ci powiedział, że śmierć oznacza koniec? Kiedy wreszcie zrozumiesz, że śmierć to inny początek? Śmierć to wąż, który sam łapie się za ogon. Wiele już zobaczyłaś, Rozo. Jeszcze nie zaczęłaś rozumieć? Nie zorientowałaś się, jak maleńcy są ludzie? Jak mało posiadają? Jak wielki potrafi być nawet najmniejszy uczynek? Czy twój umysł wciąż jest jak z żelaza? Czy nie będziesz już wkrótce umiała wybaczyć? Jak wielka jest twoja miłość, Rozo?

- Zasnęłaś - powiedział Joe i uśmiechnął się przepraszająco, kiedy powóz na wyboju podskoczył i Roza brodą uderzyła o jego bark. Joe po bratersku obejmował ją za ramię.

Rozą przytknęła oczy. Nie chciała żadnych wyjaśnień. Tak dobrze było czuć czyjeś objęcia. Tak bardzo potrzebowała teraz w pełni poczuć, że to, co mówiła Natalia, jest prawdą, że nie jest już sama. Że od dawna nie jest już sama.

To był sen.

Nie wierzyła, że Natalia stanie przed nią w powo-
zie. Że usiądzie naprzeciwko. Właściwie nie było tu
nawet gdzie stanąć. Chociaż Natalii tak czy owak by
to nie przeszkadzało.

Na ile to było rzeczywiste?

Na ile rzeczywista była Natalia?

Czy naprawdę czuła się aż tak samotna, że sama
stworzyła Natalię? Czy tak bardzo potrzebowała
przyjaciela, że musiała tchnąć życie we wspomnienie
dawno zmarłej prababki?

Cóż to za mowa o miłości i wybaczeniu? Dlacze-
go jej rady nie mogły być bardziej wyraźne?

„... A usłuchałabyś wyraźnych rad, Rozo?”

Jej głos, jasny jak dzwoneczek, jeszcze długo
dźwięczał w głowie Rozy. Uśmiechnęła się. Jej pra-
babki zawsze dokonywały wyborów. Niektóre
z nich były słuszne, inne rozpaczliwe, błędne. Ale po-
dążały naprzód raz obraną ścieżką bez względu na
to, co miały pod stopami.

... Może właśnie dlatego Natalia chodziła po chmu-
rach...

Natalia nie była jedyną, która mówiła o dokony-
waniu wyboru i o miłości. Mówił o tym również Sea-
mus. On stał się dla Rozy rzeczywisty poprzez ich
miłość. Mówił do niej, kiedy nie była w stanie go zro-
zumieć. Teraz jego słowa odezwały się w głowie
Rozy z ostrą wyrazistością...

... *Miałas dać mi syna. I dałaś mi syna. Miałas uro-
dzić córkę. I ją urodziłaś. Oto dwie gałęzie, które
urosną w siłę, Rosi. Jesteś pramatką dwóch rodów,
które rozrosną się szeroko. Mój syn poniesie marze-*

nia pod obce nieba, pod inne gwiazdy. Twoja córka będzie zbierać gwiazdny blask tam, gdzie nikt inny nie dostrzeże światła. Nie żyliśmy na próżno, ani ty, ani ja, Rosi. Daliśmy życie tym dwóm rodom. Dołączyliśmy nowe ogniwa do tych łańcuchów. Wszystko to wyrosło z naszej miłości...

Powiedział to przecież tak wyraźnie, ale ona nie słuchała, tak naprawdę wcale go nie słuchała...

... nic nie zniknie. Dopóki potrafisz kochać, moja najmilsza, dopóki nie boisz się śmierci, dopóty będę przy tobie. Nigdy nie bój się życia, Rosi. Nie bój się tego, co w sobie nosisz, bo w tym tkwi twoja siła.

Naprawdę nie mógł już powiedzieć mi tego wyraźniej, pomyślała Roza sennie, prawie szczęśliwa. Dlaczego wcześniej nie przywiązywała wagi do tych słów? Oszczędziłaby sobie tylu lęków. Tylu bolesnych i przykrych rozważań. Seamus powiedział, że musi dokonać wyboru. Prosił ją, by wybierała właściwie. I włożył jej klucz do ręki. Rozę ogarnęła radość. Prawdą było to, co jej powiedział - nie opuścił jej. Towarzyszył jej przez cały czas. Musiała tylko nauczyć się słuchać. Musiała nauczyć się czuć.

- Leżysz wygodnie? - spytał Joe i przesunął się trochę, robiąc Rozie więcej miejsca. Jej głowa wciąż spoczywała na jego ramieniu. Roza wyglądała na taką drobną i bezbronną, ale się uśmiechała. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak bardzo jest zmęczona. Dobrze, że będzie mogła się zdrzemnąć, zanim dojadą do Savannah.

- Tak - odparła Roza. Jeszcze bardziej się w niego wtuliła. - Tak, Seamusie, wygodnie...

Dom Jordanów w Savannah przeszedł wszelkie najśmielsze wyobrażenia Rozy. Spodziewała się czegoś prostego, mniej okazałego niż Blossom Hill. Zamiast tego na widok elegancji budynku dech zaparło jej w piersiach.

- To tylko dom - szepnął Joe, lekko ściskając ją za rękę pod łokciem.

To przywołało ją z powrotem do rzeczywistości, ale jeszcze kilka razy musiała głębiej odetchnąć. Musi to dobrze zapamiętać. To z pewnością jedna z takich rzeczy, jakiej już nigdy w życiu nie dane jej będzie oglądać.

- Tylko dom - odszepnęła, kiedy wchodzili po marmurowych schodach, serdecznie witani przez Colleen i Jareda.

- Tylko dom - powtórzył Joe, przepuszczając ją w ciężkich mahoniowych drzwiach.

W środku Roza pocieszyła się, że hol nie był równie wielki jak w Blossom Hill. Ale tapety dorównywały pięknem. Boazeria sięgała do połowy ścian, a nad nią ściany miały barwę chłodnej zieleni, ozdobionej złotem. Pod sufitem wiły się od kąta do kąta girlandy złotego bluszczu, a z góry zwisał kryształowy żyrandol. Po obu stronach każdych drzwi, jakie Roza widziała, wisiały smukłe mosiężne świeczniki, ozdobione ciężkimi kroplami kryształu. Wnętrze było proste i surowe, niemal zimne, lecz tak piękne, że dech zapierało w piersiach.

- Nie pozwól, żeby zaimponował ci zbytek - szepnął do niej Joe i oddał służącej pelerynę i kapelusz.

Roza kiwnęła głową. Joe miał rację. Oczywiście, że miał rację, lecz tak trudno nie ulec podziwowi.

Dom był tak piękny, jakby wyjęty wprost z baśni. Mógłby być pałacem Królowej Śniegu.

- Jared zaniósł szczeniaczki do twoich pokojów - oznajmiła Colleen i wsunęła Rozie rękę pod ramię, gdy ta tylko zdjęła płaszcz i czepek. Potem poprowadziła ją na górę po schodach równie szerokich jak te w Blossom Hill.

- Nie mogę się powstrzymać, żeby nie nazywać ich szczeniaczkami - roześmiała się Colleen. - Nie masz nic przeciwko temu?

Roza pokręciła głową. Wszyscy tak nazywali jej dzieci. Tylko ona używała ich imion i traktowała jak parę maleńkich, różniących się od siebie ludzików. Dla wszystkich innych wciąż pozostawały szczeniaczkami, ale Roza nie zwracała sobie głowy z poprawianiem bliskich. Nie było to wcale nieprzyjemne przezwisko. Za każdym razem wypowiedano je z największą miłością. Przynajmniej Odetta na trwałe pozostawiła po sobie ślad w jej pamięci.

- Czy ja mam mieć pokoje? - spytała Roza zdziwiona. - Nie wystarczy jeden?

Colleen zachichotała i ucisnęła ją za ramię. Ściszyła głos:

- Staram się do tego nie przyzwyczajać. Przecież to się skończy.

Zapadła między nimi cisza, ponieważ obie myślały o tym samym. Wreszcie Colleen otworzyła jakieś ciemne drzwi i Roza weszła do pokoju.

- Możesz sobie patrzeć i podziwiać! - szepnęła Colleen. - Ja nikomu nie powiem.

Zamknęła drzwi za nimi.

Ten pokój urządzony został na żółto i złociście. Był

wyraźnie przeznaczony dla kobiety. Firanki, lekkie jak chmurki, uszyto z koronki i materiału odrobinę grubszego od tiulu. Były kremowożółte. Zastłony wokół łóżka miały barwę złota, tak samo jak narzuta i poduszki. Wszelkie drewniane elementy wykonano z ciemnego drewna, lecz żaden z mebli nie sprawiał wrażenia ciężkiego i niezgrabnego. Krzesła miały wysokie, proste oparcia. Stoły były proste, lecz eleganckie. Lustro nad toaletką oprawiono również w ciemne drewno, lecz miało owalny, smukły kształt i bardzo pasowało do zwiewnych materiałów i miodowożółtych barw. Roza spostrzegła, że lampy przypominają te wiszące w holu. Delikatne, bez mnogości przesadnych ozdób, kwiatów, tylko lekkie i proste, jak z innego świata.

- Chętnie bym się do tego przyzwyczaiła - wyznała Colleen, przechodząc przez pokój. Otworzyła boczne drzwi. - A to pokój szczeniaczków - oznajmiła z uśmiechem, pokazując Rozie sypialnię, przygotowaną dla jej dzieci. Stała tu komoda z toaletką, w zagłębieniu blatu umieszczono porcelanową misę, a obok niej duży dzbanek. Na stoliku do przewijania niemowląt leżały mięciutkie kocyki, a pod ścianą ustawiono dwa małe łóżeczka.

Michael i Lily dalej spali w swoim koszu. Był to zwyczajny kosz do bielizny, odpowiednio miętko wymoszczony. W drodze doskonale spełniał funkcję łóżka.

Roza przeniosła wzrok z kosza na wspaniały pokój. Pokręciła głową.

- Nie masz ochoty zostać? - zapytała żonę Jareda Jordana.

Colleen wróciła do żółtego pokoju. Przysiadła na brzeжку krzesła. Ręce złożyła na podołku. Colleen

miała takie szczupłe nadgarstki. Roza odniosła wrażenie, że zrobiły się jeszcze cieńsze od czasu, kiedy widziała ją ostatnio, lecz wciąż nie dało się po niej poznać, że spodziewa się dziecka.

- To niemożliwe - odparła Colleen, wpatrzona w swoje dłonie. Palce zacisnęły się w twarde węzły.

Roza usiadła przy niej na podłodze. Rozplotła jej palce i ujęła każdą jej dłoń oddzielnie w swoją.

- Chcę, żebyś się gniewała, Colleen! - poprosiła. - Nie możesz dusić tego w sobie. Musisz się złościć!

Colleen pokręciła głową. Jeden policzek jej drgał. Rzeczywiście wiele w sobie dusiła.

- To bez sensu - powiedziała. - Przecież wyjeżdżamy. Zabieramy ze sobą Jennifer. Jeremy też jedzie z nami. Zostawiamy wszystko. Całe to miejsce. Całe Blossom Hill, Georgię i tego podłego człowieka...

Pociągnęła nosem, lecz przełknęła płacz. Wysunęła ręce z dłoni Rozy i, wstając z krzesła, otarła łzy, które nie popłynęły. Zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Usiłowała się uśmiechać, ale uśmiech nie sięgnął do oczu.

- Przeszkadzam ci? - westchnęła. - Zła ze mnie gospodyni, prawda? Ale też i nie urodziłam się do tego. W Kilkenny nie miałam możliwości się tego nauczyć. Sean i ja mieszkaliśmy w prostej ziemiance. Gościom mogliśmy zaproponować jedynie miskę z lodowatą wodą, jeśli przyjeżdżali z daleka. Każę przynieść ci wodę, Rosi. Na pewno jesteś zmęczona i zgrzana po tej długiej podróży. Chcesz się przebrać. Chcesz się zająć szczeniaczkami...

Roza ją powstrzymała. Pokręciła głową, nie przejmując się, że węzeł włosów na karku prawie się rozpadł. W stroju podróżnym rzeczywiście było jej go-

raco, lecz zdarzało jej się w życiu znosić większe niewygody. Na pewno przetrzyma i tę. Po przyjacielsku, lecz zdecydowanie pchnęła Colleen z powrotem na krzesło, z którego ta przed chwilą wstała.

- Wysłuchasz mnie przez chwilę, Colleen?

- Za dużo gadam - uśmiechnęła się Colleen i uniosła brwi. Uśmiech zakończył się zgrzytaniem zębami. - Jeszcze jeden grzech śmiertelny jak na kobietę z południowych stanów! Powinnam umieć słuchać, Rosi! Powinnam być bardziej zainteresowana swoimi gośćmi niż sobą. Słucham!

- To nie ty masz w sobie coś złego - oświadczyła Roza. - To z Jaredem Jordanem seniorem jest coś bardzo nie w porządku.

- Nie chcę o tym rozmawiać! - przerwała jej Colleen i mocno zacisnęła oczy. - Mówiłam już z Jaredem. Tyle, na ile starczyło mi siły. Nie chcę tego więcej powtarzać. Bardzo mi przykro, Rosi, ale nie chcę!

- Nie musisz mi opowiadać o tym, co ci się przydarzyło - odparła Roza łagodnie. - To ja opowiem tobie, co mnie spotkało. Powiem ci, jak bardzo chorym człowiekiem jest twój teść.

Colleen otworzyła oczy. Przyjrzała się Rozie uważnie. Dostrzegła jej powagę.

- Nie mogę tego od ciebie żądać - powiedziała Roza - ale mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiesz. To dla mnie bardzo bolesne. Nikomu tego nie zdradziłam. Nawet Seamusowi. Uwierz mi, Colleen, wiem, jak się czujesz. To spojrzenie, jakie masz teraz, widziałam w swoich własnych oczach. Sądziłam, że nigdy nie zniknie, ale to minęło.

-Jak?

- Wpadłam w gniew - wyjaśniła Roza. - To można zmasać jedynie gniewem.

Kłęcząc u stóp Colleen, Roza opowiedziała jej o Marlonie, Prissy i sobie samej. O Jaredzie Jordanie seniorze i jego zarządcy, Simonie Matthewsie. O zapamiętanych przez nią wydarzeniach. Próbowwała nawet mówić o tym, czego nie mogła sobie dobrze przypomnieć, bo złe wspomnienia przesłoniła miłosierna mgła, która spowiła najgorszy ból.

Colleen straszliwie pobladła.

- Musisz pozwolić sobie na gniew - oświadczyła Roza.

- Jared usunął stąd wszystkie portrety ojca - powiedziała Colleen. - Nie było ich wiele. Ten dom należał do jego żony. Wydaje mi się, że nie najlepiej im się układało.

- A jakże mogło się układać? - wzruszyła ramionami Roza.

Colleen na moment przygryzła wargi.

- Dziękuję, że mi o wszystkim powiedziałaś! - rzekła w końcu. - Nikomu więcej tego nie zdradzę. - Westchnęła i dodała: - Szkoda, że musimy się tutaj rozstać, Rosi.

Roza kiwnęła głową.

- Mogłabyś pojechać z nami - zaproponowała Colleen. - Jest nas sporo. Możemy się sobą nawzajem opiekować. Wszyscy jesteśmy jedną rodziną!

Roza stała sama na szczycie góry, a wokół niej rozpościerała się mgła.

- Wybór należy do ciebie! - uśmiechnęła się Colleen.
- Pozwolę ci się teraz umyć. Wodę już przyniesiono.

Zatrzymała się przy drzwiach.

- Cieszę się, że się tym ze mną podzieliłaś.

13

Nikt jej nie naciskał ani nie przekonywał. Nie napychali jej głowy z natarczywą życzliwością tym, co dla niej dobre. Roza była za to szczerze wdzięczna.

Rozmawiali o Ameryce Południowej. O emocjonujących przystankach po drodze do Nowej Zelandii. Nawet Danny i Tommy zaczęli się cieszyć.

Wciąż jednak Roza musiała odwoływać się do całej swojej siły przekonywania, by nakłonić ich do podtrzymania decyzji podjętych przed odjazdem z Favourite.

- W Rosę Garden zawsze będzie dla was dom - zapowiedział Joe lekko, wruszając ramionami. Nie dostrzegał spojrzeń, słanych mu przez Rozę, dlatego ciągnął niewzruszony: - I wątpię także, żeby Paddy zatrzasnął wam drzwi przed nosem, gdybyście wrócili. Seamus wziął za was odpowiedzialność. Dbał o was. To oczywiste, że wciąż jesteśmy waszą rodziną, chociaż Seamus nie żyje.

Roza walczyła jak lwica.

- Moi chłopcy nie zostaną w Georgii! - oświadczyła zdecydowanie.

- Dlaczego nie? - spytał prawie już szesnastoletni Danny.

Roza nabrała powietrza. Słyszeli tę samą odpowiedź już niezliczenie wiele razy.

- Ponieważ obiecałam waszej matce, że o was zadbam. Nawet jeśli wy nie pamiętacie mojego przyrzeczenia, ja o nim nie zapomniałam.

- Nam jest tutaj dobrze - stwierdził Tommy. - Przecież w Favourite nie będziemy głodować. W Rosę Garden również. Całkiem inaczej by było, gdybyś ty również wyjeżdżała do Nowej Zelandii. Wtedy rzeczywiście dotrzymałabyś obietnicy złożonej mamie.

Roza niechętnie musiała przyznać, że jej logika nie dla wszystkich jest równie oczywista.

- Będzie wojna - oznajmiła cierpko. - Zobaczycie, będzie wojna. Nie widzicie, co się dzieje dookoła?

Przekląła tak, że nawet Tommy i Danny się zaczerwienili, i powiedziała, że Molly nie wysłała ich z głodującej Irlandii po to, by polegli na bezsensownej wojnie w Nowym Świecie.

- Niebezpiecznie, kiedy kobiety nasłuchają się za dużo męskich rozmów - zażartował Joe, ale Roza nie pozwoliła obrócić w żart powagi tej rozmowy.

Wierzyła w swoje przerażające wizje. Wierzyła, że to się naprawdę stanie, i starała się jak mogła uchronić tych, których uważała za rodzinę.

- Na polach tu, na południu, i tak dość będzie leżeć poszarpanych ciał martwych młodych mężczyzn - rzekła ze smutkiem. - Nie chcę, żeby dwa z nich miały twarze Tommy'ego i Danny'ego. Gdyby nie było żadnego innego wyjścia, zabrałabym was do Norwegii. Ale inna możliwość istnieje i jest dla was o wiele lepsza.

- A co złego jest w Norwegii? - spytał Tommy.

- Tam jest inny język - przypomniała Roza. -

Przyjazd tutaj nie był taki trudny, ponieważ rozumieliście, co ludzie mówią. Jedzenia mieliście tu więcej, lecz nie różniło się tak bardzo od tego, które dostawaliście w domu. Przyjechaliście do dobrobytu. No, i tu jest ciepło.

Uśmiechnęła się do nich. W sercu miała mnóstwo miejsca dla synów Molly. Kochała ich tak, jakby byli jej rodzonymi dziećmi. Tamtej zimnej nocy w stajni pastora Franka w Kilkenny nie przypuszczała, że kiedykolwiek tak się stanie.

- W Nowej Zelandii będzie trochę tak samo, chłopcy. Inaczej, ale nie tak obco. Nikomu nie wydacie się tam dziwni. Wy też nie będziecie musieli zmagać się z niezwykłościami. Wiele osób będzie was znało. No i nie będziecie tacy biedni. Poza tym tak daleko na południe nie jest chyba o wiele zimniej niż tutaj.

- A ty w Norwegii będziesz biedna? - spytała z powagą Siobhan. Bacznie się przysłuchiwała słowom Rozy. - Bo jeśli tak, to uważam, że powinnaś jechać z nami - dodała dorośle córeczka Fiony.

- Ja nie będę biedna - odparła Roza.

- Nie tak jak w Irlandii? - dopytywała się Siobhan, wspominając niekończący się szereg wieczorów, kiedy kładła się spać głodna.

- Nie tak jak w Irlandii - odparła Roza, dotykając miękkiego, piegowatego policzka dziewczynki. - Ale też i nie będzie tak jak w Favourite. A już zupełnie inaczej niż w Rosę Garden czy tutaj...

Rozejrzała się po wspaniałym salonie. Musiało upłynąć kilka dni, zanim przestała gapić się z otwartymi ustami za każdym razem, gdy wchodziła do ja-

kiegoś pokoju. Wciąż jeszcze zdarzało się jej zapominać.

- Nie będę głodować, ale też i nie będę miała więcej niż to konieczne - odparła szczerze.

- No, to dlaczego nie pojedziesz z nami? - spytała zdziwiona Siobhan.

- Dlaczego, Rosi? - cicho powtórzyła za córką Fiona.

Jej oczy patrzyły równie poważnie jak oczy Siobhan. Mała będzie z pewnością ogromnie podobna do matki. Roza pomyślała, że za dziesięć, piętnaście lat Nowa Zelandia stanie się niebezpiecznym miejscem dla młodych chłopców.

- Przecież planowaliśmy, że z nami pojedziesz - odezwał się Adam z przepastnego fotela, który zaanektował dla siebie. Sprawiał wrażenie zbyt drobnego do mebli w tym domu. - Nie ma powodu, abyś przenosiła się w gorsze warunki, skoro można tego uniknąć. Żadne z nas nie doszłoby do tego, co mamy, gdyby nie Seamus. Część z tego przypada tobie. Jego część należy do ciebie i do dzieci. To wcale nie litość czy co tam sobie myślisz. Chcemy cię ze sobą zabrać. Należysz do naszej rodziny. Ile razy mam ci to powtarzać, siostrzyczko?

Niemożliwe było nie dać porwać się czarowi jego szerokiego uśmiechu i Adam o tym wiedział. Użył go szybciej, niż podkręca się płomień w lampie.

- Może sama sobie jesteś to winna - Adam pozwolił swojemu stwierdzeniu zawisnąć na chwilę w powietrzu. - Może jesteś to winna swoim dzieciom. Powinnaś pozwolić, by wyrosły na O'Connorów...

Roza przeniosła spojrzenie z Fiony na Adama, potem na Joego, a później znów popatrzyła na Adama.

Nadeszła odpowiednia chwila.

- Zastanawiałam się nad tym - rzekła z namysłem. Oderwała wzrok od najmłodszego z braci O'Connorów.

Nie mogła się przemóc i dłużej patrzeć na któreś z nich. Trudno było przewidzieć, jak zareagują. Wyobrażała sobie różne reakcje, a wśród nich najbardziej bała się pogardy. Nie mogła jednak wykluczyć, że właśnie temu przyjdzie jej stawić czoło.

- Wprost rozdziera mnie na kawałki, gdy pomyślę, co jestem winna moim dzieciom - powiedziała i wcale się nie przejęła, że głos wyraźnie jej drżał.

Nie mogła się zastanawiać nad sposobem, w jaki im to przekaże. Po prostu musiała wreszcie wyrzec te słowa.

- Gdyby Seamus żył, ich życie bardzo by się różniło od tego, co ja mam im do zaoferowania.

Uśmiechnęła się.

- Seamus mówił o domu, który zamierzał wybudować. Wiem, że powiodłoby mu się na handlu tytoniem. Niczego by nam nie brakowało. Michaelowi i Lily niczego by nie brakowało.

- To wciąż nie jest niemożliwe! - rozjaśnił się Adam. - Wydaje mi się, kochani, że Roza poszła wreszcie po rozum do głowy!

- Bardzo proszę, pozwól mi dokończyć! - powiedziała Roza błagalnie. - Bardzo cię proszę, Adamie!

Wyciągnął ręce odwrócone spodem dłoni w jej stronę na znak, że się poddaje, a potem oparł łokcie na kolanach i cały zamienił się w słuch.

- Będę słuchał i milczał, siostrzyczko!

-Pragnę dla nich wszystkiego, co najlepsze. Nie

chcę im odbierać niczego, co im się należy. Ale nie mogę zostać w Georgii, skoro Seamusa już nie ma. Bardzo was wszystkich kocham. Jesteście moją rodziną, a przede wszystkim rodziną moich dzieci. To one zostały po Seamusie. Ale ja nie mogę żyć tutaj bez Seamusa. Nie mogę też jechać z wami do tego nowego kraju. - Uśmiechnęła się blado. - Chciałabym z wami jechać, lecz moje miejsce jest gdzie indziej. Mogłabym zostać w Favourite razem z Seamusem. Mogłabym razem z nim wyjechać do Nowej Zelandii. Z Seamusem mogłabym wyruszyć na koniec świata i czułabym się tam u siebie, szczęśliwa. Ale bez niego muszę sobie radzić sama. Muszę wracać do Norwegii.

- A więc już zdecydowałaś? - spytał Joe, przysiadając na poręczu fotela Rozy.

Poklepał ją lekko po ramieniu, bez zbędnych słów dając do zrozumienia, że trzyma jej stronę, bez względu na to, jakie będzie jej postanowienie.

Roza była mu za to wdzięczna. Złapała go za rękę i ścisnęła ją, jakby się topiła, a ta ręka pomagała jej się utrzymać na powierzchni wody.

- Mam jeszcze coś do powiedzenia - oznajmiła.

- Mówże więc, siostrzyczko! - zachęcił ją Adam.

- To dotyczy właśnie ciebie, Adamie - powiedziała Roza. - Ciebie i Deidre. Was dwojga przede wszystkim.

Zapadła cisza. Deidre i Adam wymienili spojrzenia. Z twarzy Adama zniknęło rozbawienie.

- Pamiętasz - zaczęła Roza miękko - jak ci mówiłam, że mam wrażenie, iż zabierzesz za morze coś, co należy do mnie?

Adam kiwnął głową.

- Nie wiedziałam wtedy, czego to może dotyczyć. Musisz mi wierzyć, że naprawdę tak było. Proszę o to was oboje. I błagam, abyście dobrze się zastanowili, zanim odpowiecie na moją prośbę...

- Dobrze, przemyślimy to - obiecał Adam.

Deidre, przynaglona spojrzeniem Rozy, również kiwnęła głową.

- Proszę was, abyście zabrali mojego Michaela do Nowej Zelandii. Proszę, abyście go wychowali tak, jakby był waszym rodzonym dzieckiem. Proszę, abyście zrobili z niego prawdziwego CConnora. Aby wyrósł na takiego człowieka, jakiego chciałby wychować Seamus. Proszę was, abyście poznali go z Seamusem, takim, jakiego sami znaleźcie i jakim go pamiętacie. Proszę, abyście zapoznali go z całą rodziną, z całym waszym rodem. Ze wszystkimi, których pamiętacie. Przekażcie mu irlandzkie dziedzictwo, to, które łączy się z elfami, druidami, końmi i marzeniami. Ja tego zrobić nie mogę, wy natomiast możecie. Chcę oddać wam mojego syna. Syna Seamusa. Czy jesteście w stanie go przyjąć? Czy go chcecie? Nie mówcie „tak” tylko dlatego, że chcecie być mili! Musicie powiedzieć szczerze! Nie chcę usłyszeć pospiesznej odpowiedzi, z obowiązku, której później będziecie żałować. Bo jeśli powiecie tak, to będziecie zobowiązani wobec niego, i wobec Seamusa, żeby go kochać. Inaczej to nie będzie nic warte...

Płakała cicho, ale nie przejmowała się płynącymi z oczu łzami. Nie puściła ręki Joego. Ścisnęła ją tylko coraz mocniej, gdy przenosiła wzrok z Adama na Deidre.

- Ja z radością wezmę Michaela, jeśli Adam i Dei-

dre nie będą w stanie, i jeśli twoją szczerą wolą jest go oddać - oświadczyła Fiona.

Ona pierwsza przerwała ciszę.

Adam odetchnął głęboko. Ręką uderzył się w kolano i cały czas kręcił głową.

- Nikt nie może twierdzić, że nie potrafisz zaskakiwać, siostrzyczko! Jeszcze nigdy nie dostałem takiego solidnego kopniaka...

Zerknął na Deidre. W błyszczących oczach jego żony czaiło się pewne rozbawienie. Lekko skinęła głową.

- Naprawdę tego chcesz? - spytał Adam.

Roza potwierdziła.

- My również możemy się nim zaopiekować - powiedziała zdecydowanie Colleen i uściśnięła Jareda za rękę.

Nie wymienili z Jaredem ani słowa, odkąd Roza wypowiedziała swoją prośbę, lecz również Jared z powagą kiwnął głową.

- Uczynimy to z radością i dumą - rzekł z mocą. - Nie jesteśmy wprawdzie O'Connoramami, lecz wychowamy go tak, jak chcesz, Rosi.

- Cicho bądźcie! - rozkazał Adam.

Wszyscy umilkli.

- Sprawa wygląda tak - zaczął Adam - że Rosi zwróciła się do mnie i do Deidre. Prawda, siostrzyczko?

Roza potaknęła i wytrzymała spojrzenie jego przejrzystych wielkich oczu.

- Przypuszczam, że zastanawiałaś się nad tym już od pewnego czasu, nieprawdaż? I nie zwróciłaś się do nas, gdybyś nie miała na myśli przede wszystkim Deidre i mnie.

- Masz rację - przyznała.

- Czy ty mówisz poważnie, Rosi? - pytał Adam. - Czy nie możesz po prostu się uchwycić tego najprostszego, najbardziej oczywistego rozwiązania? Proszę cię! Błagam, nie rób sobie takiej krzywdy, Rosi. Wyjedź z nami. Zapewnij sobie takie życie, jakiego pragnąłby dla ciebie Seamus! Zapewnij je obydwójgu swoim dzieciom!

Roza spuściła głowę i zmusiła się, by nie płakać. Cieszyła się, że Joe wciąż pozwala jej czerpać od siebie siłę. I ona miała jej w sobie dość, lecz dobrze było czuć, że nie jest sama. Dostatecznie często już to przeżywała. Adam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo kusiło ją, by ulec jego prośbie. Nie to jednak było jej przeznaczone.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała, ale zaraz umilkła, ponieważ głos nie chciał jej słuchać. Musiała odczekać chwilę, zanim znów zdołała mówić. Postanowiła wówczas, że musi znaleźć w sobie dość siły, by powiedzieć im wszystko, co ma do powiedzenia, by przestali ją błagać o zmianę decyzji na inną niż ta, niezwykle trudna, którą już podjęła. - Nie potraficie sobie wyobrazić wszystkich tych myśli, jakie chodziły mi po głowie - wyznała szczerze. Usłyszeli ból w jej głosie. - Nie ma takiej możliwości, której bym w duchu nie rozważyła. Przyglądałam się im ze wszystkich stron. Starałam się zrozumieć, jakie zdanie na temat każdej z nich miałby Seamus.

Przez jej twarz przebiegł uśmiech, czyniąc ją w tej chwili niemal piękną.

- Czasami mam wrażenie, jakby Seamus ze mną rozmawiał. Twierdzicie, że sobie to wmawiam, i za-

pewne macie rację, ale słyszałam jego głos w głowie. W sercu. I czułam, że Seamus rozumie, jak bardzo cierpię. Wie, jakie to dla mnie trudne, ale wydaje mi się, że on się ze mną zgadza.

Cały czas panowała cisza.

- To znaczy, wydaje mi się, że by się ze mną zgodził - poprawiła się Roza. - Zapominam się - wyjaśniła. - Chcę, żeby on naprawdę żył w mojej pamięci. Nie chcę go zapomnieć. I chcę, aby jego syn wyrósł na człowieka, jakiego uczyniłby z niego Seamus. Ja go nie potrafię tak wychować. W Norwegii nie zrobię z niego O'Connora.

To do nich dotarło. Widziała to po wyrazach twarzy.

- Dla Lily także pragnę wszystkiego, co najlepsze na świecie - powiedziała Roza. - Nie myślcie, że odmawiam jej dostatniego życia. Wcale tak nie jest. Kocham obydwójce swoich dzieci, ale nie mogę oddać obojga. Nie mogę oddać obydwójga moich dzieci, rozumiecie! Tylko one zostały mi po Seamusie. Moja dusza rozdziera się na strzępy, kiedy proszę was, abyście zabrali Michaela, lecz potrafię sama się przekonać, że to słuszna decyzja. Umiem sobie wtedy z nią poradzić. Kocham go tak mocno, że wiem, iż to właściwy wybór. Mnie będzie to bolało, lecz on chyba nie będzie cierpiał.

Uśmiechnęła się przez łzy, których nie była już w stanie dłużej powstrzymywać.

- Wybrałam was starannie, po głębokim namyśle, Adamie i Deidre. Kochacie się, tak samo jak Seamus i ja. Macie Aidana, który będzie wspaniałym starszym bratem. Urodzi wam się więcej dzieci. Michael będzie dorastał w dużej gromadce rodzeństwa.

Tak jak Seamus. Seamus cię kochał, Adamie. Bardzo różnicie się od siebie, lecz jednocześnie jesteście wprost niesamowicie do siebie podobni. Ty z pewnością się nad tym nie zastanawiałeś, lecz ja to widzę. I wydaje mi się, że Michaelowi dobrze będzie dorastać i widzieć innych, podobnych do niego. A dorastać i mieć ciebie za ojca, to prawie najlepsze, co mogło mu się zdarzyć. Nie dane mu jest życie z rodzonym ojcem, nie będzie mógł trzymać go za rękę, gdy poczuje strach, lecz uważam, że również twoja dłoń da mu poczucie bezpieczeństwa. - Roza odetchnęła głębiej. - Deidre nie jest podobna do mnie, ale to nic nie szkodzi. Jeśli on odziedziczy choć trochę po mnie, to pomoże mu, że ktoś tak miły jak Deidre będzie jego mamą. Ogromnie bym się cieszyła, gdybyście się zgodzili...

- Ty mówisz poważnie? - spytał Adam.

Musiał wstać. Zrobił kilka rundek po pokoju, unikając patrzenia w oczy innym. Nie dało się nie zauważyć, że wszyscy bez wyjątku śledzą go wzrokiem. W końcu przykucnął przed Rozą. Patrzył na nią długo i poważnie.

- A więc dobrze - powiedział w końcu. - Zgoda, siostrzyczko. Rozumiem, że naprawdę tak zdecydowałaś. Wyrażam zgodę w imieniu nas obojga. Zaopiekujemy się Michaelem. Wychowamy go tak, jak chcesz. I opowiemy mu o jego matce.

- Dziękuję - powiedziała Roza, ale głosu nie starczyło jej na więcej słów. Porzuciła wsparcie Joego i zimne dłonie wsunęła w ręce Adama. - Dziękuję - powtórzyła i wyszła z pokoju.

Usłyszeli trzaśnięcie wejściowych drzwi.

- Ktoś musi za nią iść - zdenerwowała się praktycznie myśląca Fiona. - Wyszła bez płaszcza. Bez kapelusza. A to przecież nie jest Favourite ani Rose Garden. Na zewnątrz jest ciemno, przecież ona nie zna miasta!

Podniósł się Joe.

- Ja pójdę - oświadczył. - Nie myślcie o niej źle, również wtedy, gdy jej tu nie ma - poprosił krótko i wybiegł z pokoju.

Roza nie zaszła daleko. Wcale nie miała zamiaru tak naprawdę uciekać. Nauczyła się już, że ucieczka niewiele może pomóc. Jej skrzydła i tak prowadziły ją z powrotem do gniazda.

Wieczór nie był jeszcze późny, lecz wiatry ciągnące nad ląd od Zatoki Meksykańskiej nie zaliczały się do najgorętszych. Wdzięczna była, gdy Joe pojawił się z jej płaszczem. Lekko narzucił go jej na ramiona, a ona go nie poprawiała. Nie była więc ani naga, ani ubrana. Rozie przypomniała się stara, na wpół zapomniana baśń z rodzinnych stron.

- Co oni teraz sobie o mnie myślą? - spytała, spokojnym krokiem idąc w dół cichej ulicy.

- Nie wiem - odparł Joe. - Wyszedłem, nim ktokolwiek zdążył coś pomyśleć, nim zdążył coś powiedzieć.

- A co ty o mnie myślisz?

- Że jesteś silniejsza, niż mi się wydawało - odpowiedział, podając jej ramię.

Roza tego nie zauważyła, Joe westchnął więc i ją objął. I tak nie było tu nikogo, kto mógłby poczuć się urażony, że w taki sposób spoufala się z bratową.

Nikt nie mógł zanieść tego dalej do Jenny. Ani on, ani Roza natomiast nie zrozumieli źle tego gestu.

- Robię to, co muszę zrobić.

- Czy niemożliwe byłoby dla ciebie pozostanie tutaj? Albo wyjazd do Nowej Zelandii?

- A czy podjęłabym taką decyzję, gdyby coś z tego było możliwe? - spytała Roza.

- Nie.

- Mam swój los - wyjaśniła. - Mam swoje powody. Wydawało mi się, że będę mogła od tego uciec, lecz przeznaczenie dogania mnie bez względu na to, w jakim miejscu się znajdę, Joe. To takie dziwne. Wszystko układa się tak, abym mogła wypełnić to, co jest mi przeznaczone. Jak gdyby nie dało się tego ominąć.

Joe uściśnął ją za ramię.

- Może teraz rozumiesz, że nie ma sensu z twojej strony namawianie mnie, bym wyniósł się z Georgii, moja droga. Może właśnie Georgia jest moim przeznaczeniem...

- To zupełnie coś innego - zaprotestowała Roza. - To naprawdę coś zupełnie innego, Joe. Bardzo chciałabym móc ci powiedzieć, dlaczego nie wolno ci tu zostać.

- A więc mów! - poprosił, pragnąc w duchu, by Roza uwolniła się od wszystkiego, co sprawia, że jej myśli są takie mroczne. Bardzo chciał, by zostawiła to wszystko po tej stronie Atlantyku.

- Nie miałbyś ochoty słuchać - odparła wymijająco. - To tylko sen. Wizja. Wy się z takich rzeczy śmiejecie.

- Wy? - spytał, unosząc w górę brew.

- Ty i Adam. On się śmiał, gdy opowiadałam mu o miejscu, gdzie są falujące wzgórza. O drzewkach rosnących w równiutkich szeregach. Ty też się będziesz śmiał, chociaż opowieść o tobie jest o wiele straszniejsza.

- Ja się wcale nie śmieję - oświadczył Joe. - Widzisz mnie na tej swojej paskudnej wojnie?

Roza z powagą skinęła głową. I gdy wędrowali po pograżonych w ciszy, niemal bezludnych ulicach eleganckiej dzielnicy Savannah, Roza opowiedziała Joe'emu, jaka śmierć go czeka.

On się później nie śmiał. Nie przyznał się jednak, że od jej opowieści ciarki przeszły mu po plecach. Nie zamierzał utwierdzać jej w przekonaniu. Niereczywiste wydawało się, że naprawdę mogła zobaczyć przyszłość na tyle żywo, by opowiedzieć mu o niej w taki sposób, iż miał wrażenie, że widział wszystko na własne oczy. Uznał jednak, że Rozie tylko się to przyśniło.

- Jeśli taki los jest mi przeznaczony, Rosi, to nie mogę przed nim uciec. A jeśli to tylko sen, i tak się nie wydarzy. Nie mogę żyć w ciągłym strachu.

- Wiedziałaś, że tak powiesz - westchnęła.

- Ale przynajmniej próbowałaś mnie ostrzec - powiedział. - Uprzedziłaś mnie. Zawrzemy umowę - wyrwało mu się.

- Umowę? - powtórzyła Roza zdziwiona.

- Jeśli rzeczywiście taki los jest mi pisany, jeśli polegnę na polu bitwy, to zaczekam na ciebie, aż umrzesz, kochana, i wyjdę ci na spotkanie, żeby ci powiedzieć, że miałaś rację.

Roza się roześmiała.

- I... - dodał Joe, zachęcony jej śmiechem. - Gdybyś ty umarła pierwsza, to oczekuję od ciebie, że ty sprowadzisz mnie z tego pola bitwy. Widok znajomej twarzy po takich przeżyciach na pewno będzie bardzo pomocny.

Udało mu się. Udało mu się sprawić, że w ciemności pojawił się przebłysk światła.

- Wy do niczego nie potraficie podejść poważnie - stwierdziła Roza z westchnieniem. - Żałuję, że ja tak nie umiem.

- My wszystko przyjmujemy poważnie - poprawił ją Joe. - Ale to nam nie przeszkadza śmiać się z tego. Wykręcasz się od swojej uroczystej obietnicy, Rosi. Masz zamiar dopuścić do tego, że będę się kręcił po polu zbryzganym krwią wśród tysięcy innych zmarłych, czy też raczej zaprowadzisz mnie do jakiegoś lepszego towarzystwa?

- Jeśli umrę wcześniej niż ty, przyjdę po ciebie - obiecała. - A jeśli ty umrzesz wcześniej, przyjdiesz po mnie.

Kiwnął głową.

- Dobrze, że ci sąsiedzi tutaj nas nie słyszą. Nie wydaje mi się, abyśmy po takiej rozmowie odnieśli sukcesy towarzyskie. A dla Jenny to takie ważne. Ona również chciałaby we mnie widzieć figurę dziobową.

- Wszystkie figury zdobiące dzioby statków, jakie w życiu widziałam, miały taką czy inną ułomność - pocieszyła go Roza.

- Właściwie masz chyba rację.

- To sporo kosztuje dać się wywiesić na przedzie i przyjmować na siebie napór wichru i niepogody, uderzenia fal - stwierdziła Roza i spytała: - Czy my już wracamy?

- Tak - potwierdził Joe. - Nie masz za grosz zmysłu orientacji. Jak więc odnajdziesz to moje bitewne pole?

- Doskonale orientuję się w terenie - odparła. - Ale miasta są dla mnie nienaturalne. Jestem przyzwyczajona zwracać uwagę na drzewa, wzniesienia i strumienie, a tutaj są tylko domy i wszystkie wyglądają identycznie.

Joe zerknął na nią.

- Wobec tego pójdę pierwszy i wskażę ci drogę, Rosi. Przyjmę na siebie wszystkie uderzenia jak figura dziobowa.

14

Dziobu „Merry Dancer” nie zdobiła piękna kobieta o mocnych barwach, tylko wojownik z dawnej Szkocji w powiewającym kilcie i o tak samo rozwianych wiatrem włosach. Gdyby nie włócznia, którą trzymał obiema rękami, ludzie gotowi byłiby uznać, że to jakaś wojownicza bogini.

Roza pamiętała historię, jaką o nazwie swego statku opowiedział kapitan Hart. Wiedziała, że to mężczyźni, „weseli tancerze”, walczą na nocnym niebie, tworząc zorzę polarną na samej północy Szkocji.

Chwile uroczystego pożegnania już minęły. Roza prosiła, żeby nikt jej nie odprowadzał, lecz Fiona i Adam i tak się jej sprzeciwili.

- A kiedyż to jakiś O'Connor stosował się do zasad? - spytał Adam.

- Nie musisz wcale mówić, jak ci przykro - szepnęła Fiona, ściskając Rozę.

Stały objęte, ubrane podobnie, w ciepłe, drogie płaszcze ze złocistej wełny alpaki, narzucone na czarne stroje. Nosiły takie same czepki, a rude włosy u obydwu miały niemal identyczny blask. Były drobne i szczupłe, z daleka można je było wziąć za siostry.

- Wszyscy będziemy o niego dbali, a on cię pozna, chociaż ciebie tam nie będzie - obiecała Fiona.

- Tylko się nim opiekujcie! - prosiła Roza. - Cała reszta nie jest aż taka ważna. Opiekujcie się nim. Myślcie o tym, czego pragnąłby Seamus.

- Ja myślę o tobie - powiedziała Fiona i zanim odsunęła się od Rozy, ucałowała ją jeszcze w oba policzki.

Adam wziął Lily z rąk Joego, tak by siostra mogła go objąć równie mocno, jak uściskała Rozę. Zanim Joe wróci z Irlandii, oni opuszczą już dom Jaredów w Savannah i wyruszą ku bardziej południowym szerokościom geograficznym.

Adam i Roza stali obok siebie, oboje czuli się trochę zakłopotani. Wiele można było powiedzieć, wiele zostało powiedziane przez te dni, odkąd Roza przedstawiła swoją nieoczekiwaną prośbę. Może wciąż jeszcze coś pozostawało niedopowiedziane. Bali się o tym myśleć, nie mieli ochoty nawet tego dotykać.

- To miało się skończyć inaczej - powiedział Adam w końcu, huśtając Lily, która uśmiechała się zadowolona do pochylonej nad nią twarzy stryja.

- To się wcale nie kończy, Adamie - stwierdziła Roza. - Nie będziemy niemądrze płakać i mówić o głupstwach, po prostu idziemy naprzód. Ty zajmiesz się moim dzieckiem, a ja dzięki temu nigdy cię nie zapomnę. Przysięgam, nie zapomnę cię nigdy.

Uśmiechnął się i oddał dziewczynkę. Lily była niewiele cięższa od piórka. Już jednak widział, że odziedziczyła oczy po Seamusie. Miała też jego brwi. Ale kształt twarzyczki będzie miała podobny do Rozy. I nos Rozy. Zapowiadało się też, że dziecko będzie miało ciemne włosy. Szkoda, że ta rudość zniknie. Roza byłaby bardzo ładna, gdyby nie ten policzek.

Malutka zapowiadała się na nadzwyczajną piękność. Nie był tym zdumiony. W jej żyłach płynęła przecież krew O'Connorów, którzy zwykle posiadali nieodparty urok.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała Roza.

Ona też musiała się uśmiechnąć, kiedy jej tłumaczył.

- Uroda znaczy tak niewiele - stwierdziła.

- Zegnajcie! - powiedział Adam i ucałował Rozę w oba policzki, następnie pochylił się nad policzkami Lily, a potem znów nad Rozy.

- To irlandzka staranność - wyjaśnił. - Ja też cię nigdy nie zapomnę, Rosi. No, wchodźcie już na pokład, zanim się rozpłaczę!

Bracia uścisnęli sobie dłonie, Joe wziął Lily na ręce i przez wąski trap przeszli na pokład „Merry Dancer”. Rozpoczęła się podróż do Cork.

Roza podziękowała odmownie za zaproszenie kapitana na herbatę w jego kajucie. Joe tłumaczył jej, że zachowuje się nieuprzejmie, lecz Roza wymawiała się, twierdząc, że nie może odejść od dziecka.

- Idź sam - poprosiła go. - On mnie nie lubi. Ostatnio też nie poczuł do mnie sympatii. Posiłek razem z nim i Seamusem był dla mnie prawdziwym koszmarem. Nie mam ochoty rozmawiać o niewolnikach, broni, sztormach i jego wspaniałej rodzinie...

Joe nie próbował jej nakłaniać.

- Gdybym to ja był kapitanem Hartem, rozumiałbym ciebie - powiedział tylko.

- Gdybyś ty był kapitanem Hartem, wypiłabym z tobą herbatę.

Nie zamierzała nawiązywać znajomości podczas podróży przez Atlantyck. Nie chciała rozmawiać z nikim innym oprócz Joego. Na statku było dwóch innych chłopaków, jak nazywał ich Joe. Obaj wciąż mówili z ostrym irlandzkim akcentem i oczy robiły im się mokre na wspomnienie wilgotnych czuwań nad zwłokami i tańców w stodole, na których dziewczyny wydawały się znacznie mniej po katolicku cnotliwe, niż Roza widziała w Kilkenny. Joe twierdził, że pamięć tych ludzi wyraża raczej pobożne życzenie.

Odnosili się do Rozy bardzo uprzejmie i nie zwracali się do niej inaczej niż *Madame*. Obaj byli już w takim wieku, że mogliby być jej ojcami, lecz podczas rozmowy z nią okazywali jej dość niechętnie szacunek. Roza zdawała sobie sprawę, że nie jest to jej zasługą. Okazując jej cześć, czcili pamięć Seamusa. Nie wiedziała, czy jej się to podoba. Ogarniał ją strach, gdy widziała, że wciąż otacza się ludźmi. Zaczęła czuć się równie sztywna i pozbawiona własnej woli jak drewniana figura na dziobie „Merry Dancer”.

Trzymała się w odosobnieniu, w kajucie niegdyś należącej do Seamusa. Wmawiała sobie, że czuje jego zapach, zatrzymany w ubraniach, które wciąż wisiały w szafie. Przeżyła szok, gdy po raz pierwszy otworzyła drzwi i znalazła w środku jego koszulę. Jego spodnie. Kurtkę, której nie pamiętała, lecz w której z pewnością go widywała. Rozpłakała się na widok chustki, którą miał na szyi w dniu, kiedy wyjeżdżał z Georgii do Savannah dopilnować przędzalni. Tak właśnie przedstawił jej swoje zamiary. Gdy znalazła tę chustkę na statku, zrozumiała, że wybrał się zupełnie gdzie indziej. Wybaczyła mu jed-

nak to kłamstwo natychmiast, gdy tylko się o nim dowiedziała.

Miłość to wybaczenie.

Dała Lily do powąchania ubranie ojca. Koszulą Seamusa wymościła kosz, w którym spała malutka. Joe zbił dla niego odpowiednią ramę tuż przy jej koi.

... Koja Seamusa...

Koszyk Lily doskonale wpasował się w ramę i bez względu na to, jak mogło rzucać statkiem, nie wyslizgnąłby się z uchwytu. Rama była też na tyle wysoka, że Lily nie mogłaby się z niej sama wydostać.

Kajuta stanie się jej światem przez trzydzieści dni. Roza pamiętała, co mówił jej Seamus, kiedy jechali na zachód. Zachęcał ją, by zażywała świeżego powietrza razem z nim, lecz prosił, by uważała i nie wychodziła na pokład sama. Statki to świat mężczyzn, a kobieta, nawet brzydka jak ona, pozostaje kobietą.

Roza nikomu nie chciała rzucać wyzwania, chciała być pozostawiona w spokoju razem z Lily. Płynęły do Irlandii. Bardzo pragnęła jeszcze raz zobaczyć Charlotte, własnymi słowami opowiedzieć jej o życiu Seamusa, o tym, jak umarł. Chciała opowiedzieć jej o dzieciach i pokazać jej Lily.

Chciała nazrywać konwalii w Kilkenny w dzień świętego Patryka.

Chciała też rozejrzeć się dalej i zastanowić nad resztą życia. Nie miała ochoty wracać do Norwegii, dopóki nie nadejdzie lato. Nie chciała przybywać w ojczyste strony w końcu zimy. W takiej chwili powinno być jasno i świecić słońce, a ona spróbuje znów być dawną Rozą, zanim okres ciemności zamknie ją i pozbawi własnej woli.

Zmieni w figurę dziobową...

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała, myśląc, że to tylko Joe chce jej powiedzieć, co takiego przeszło jej koło nosa, ponieważ odrzuciła propozycję wypicia herbaty i miłych rozmów z przyjacielem i kompanem Seamusem, Malcolmem Hartem.

Tymczasem do kajuty wszedł we własnej osobie kapitan.

Roza zaplątała się w powitaniach, żałując, że przynajmniej nie przeczesła włosów, chociaż elegancki kapitan Hart z pewnością nie zauważyłby żadnej różnicy.

Zrobił dwa kroki w głąb jej kajuty i stanął. Popatrzył na nią i na dziecko śpiące w koszyku. Roza bez trudu rozpoznała uczucie, jakim wprost ociekało jego spojrzenie. Widziała je już tyle razy w tak różnych miejscach, że potrafiła je rozpoznać bez względu na to, gdzie je widziała.

To była naga pogarda.

- Ostatnio nie wiedziałem, kim jesteś - oświadczył Malcolm Hart lodowatym głosem. - Teraz wiem już lepiej.

Roza dumnie zadarła głowę.

- Oczywiście - powiedziała. - Jestem Rosą O'Connor. Wdową po nim. Jestem matką jego dziecka.

- Jesteś matką dzieci różnych ludzi - stwierdził Malcolm Hart. Jego zielone oczy przypominały czysty lód. - Zastanawiam się, co z ciebie za kobieta - dodał, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. - Nie rozumiem tego, ale też i jestem jedynie nieszczęsnym, niczego nie świadomym mężczyzną. I nie pojmuję, jak zdołałaś oszukać tak wspaniałego mężczy-

znę jak Seamus. Czy on o tobie wiedział? Wiedział, kim jesteś? A może go okłamałaś? Zmyśliłaś jakąś historię na jego użytek? Słyszałem, że w domu jego matki uchodziłaś za wdowę...

Roza poczuła, że gotuje się w niej gniew. Ten człowiek nie ma prawa mówić jej, jaka jest nędzna. On jej nie znał, nigdy nie będzie w stanie obiektywnie ocenić tej historii, której części najwyraźniej dotarły do jego uszu.

- To pańska córka wszystko uknuła - odparła Roza zimno. - To pańska córka błagała, bym zrobiła to, co zrobiłam. A ja zrobiłam to dla niej. Nie dla siebie, tylko dla Daisy.

- Nie wymawiaj imienia mojej córki! - wybuchnął Hart.

- To ona wszystko wymyśliła.

Roza zdała sobie sprawę, że to próżne słowa, już w chwili, gdy je wypowiadała. Malcolm Hart potrafił wierzyć jedynie w tę rzeczywistość, jaką przywykł widzieć w obrębie własnych horyzontów. A nie zawsze bywa tak, że najszersze horyzonty ma ten, kto najwięcej podróżuje.

- Moja córka to doskonale wychowana młoda kobieta - oświadczył zimno. - Ośmielę się twierdzić, że należy do jednej z najlepszych rodzin w naszej części kraju. Margaret nigdy nie miała w sobie nic nie-normalnego, dopóki nie pojechała w to straszne miejsce w tej twojej barbarzyńskiej ojczyźnie. Dopóki nie została poddana wpływowi twojego wychowania.

Roza nie odpowiedziała. Obrona przed brudami, które wylewały się z głębi serca tego człowieka, była niemożliwa.

- To ty byłaś tą dziwką, która skusiła i uwiodła jej męża. To ty sypiałaś z nim, dopóki nie spłodził z tobą dziecka. A moja Margaret miała na tyle dobre serce, by życzyć mu przyjscia na świat. Okazała się na tyle wielka, że potrafiła wybaczyć grzech cudzołóstwa, jaki popełnił jej mąż, zapomnieć o tym i przyjąć dziecko jak własne. A ty twierdzisz, że to wszystko jej wina! Że to była jej propozycja! Że Daisy w ogóle mogła wyobrazić sobie podobną historię! Moja niewinna Margaret! Do jakiego stopnia potrafisz być wstrętna? Do jakiego stopnia złośliwa?

Roza mogła mu opowiedzieć, jak bardzo źle większość ojców zna swoje dorosłe córki, ale zatrzymała to dla siebie. Pragnęła jedynie, by ta scena już się skończyła. Żeby on wylał z siebie cały jad, a potem odszedł i zostawił ją w spokoju.

- Dziękuję memu Stwórcy za to, że temu niewinnemu dziecku, będącemu owocem tak bezgranicznego grzechu, pozwolono umrzeć! - oświadczył z przejęciem Malcolm Hart. - Nie mogę nawet myśleć, jaki ciężar spoczywałby na tym dziecku, gdyby dane mu było przeżyć. Płakałem, kiedy umarł, lecz gdy dowiedziałem się tego, co wiem dzisiaj, padłem na kolana i dziękowałem Panu za to, że w swej mądrości zabrał dziecko do siebie. Chłopiec był niewinny...

- On nie żyje? - spytała szeptem Roza.

Malcolm Hart popatrzył na nią. Nie był w stanie wykrzesać z siebie współczucia dla tej kobiety.

- Owszem - odparł.

- Jak to się stało? Kiedy?

- To nie twoja sprawa.

Roza nie żebrała.

- Wkrótce po tym, jak Daisy przywiozła go do domu - odpowiedział mimo wszystko Malcolm Hart. - Zanim uciekłaś do Ameryki ze swoim irlandzkim kochankiem. Zanim zawróciłaś w głowie Seamusowi O'Connorowi. Nie mogłaś zostawić go w spokoju? Musiałaś się przyczynić również do jego śmierci?

- Czy on był chory?

- Chorował i umarł - odpowiedział Malcolm Hart. - Zaskoczony jestem, że to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Nie obchodził cię do tego stopnia, że go oddałaś. Nie wierzę teraz w twoje krokodyłe łzy. Co z ciebie za kobieta? Co z ciebie za matka?

Roza nie znalazła odpowiedzi.

On nie żył.

Małeńkiemu synkowi Davida pisana była śmierć. Nie żył już wtedy, gdy wyjeżdżała do Georgii.

... Nie wyczuła tego...

... co z niej za matka...

- Daisy i David adoptowali twego brata - oznajmił krótko Malcolm.

- Andersa?

- Andrew - odparł kapitan. - Zwrócili się o pozwolenie do najstarszego z twoich braci. Andrew się dobrze u nich czuje. Zaczyna zapominać o Norwegii. Chłopiec ma dobrą rękę do koni. Kazałem Davidowi szukać stanowiska gdzie indziej, nie w Norwegii. Nabrał rozumu. Są razem szczęśliwi. Margaret wybaczyła mu popełniony grzech.

- Gdzie oni mieszkają? - spytała Roza.

- Tego nie zamierzam ci nigdy zdradzić - odparł ostro Malcolm Hart. - Być może masz prawo wiedzieć, gdzie przebywa twój brat, lecz nie masz pra-

wa mieszać się w życie Daisy i niszczyć je kolejny raz.

Roza oddychała z trudem, ledwie trzymała się na nogach. Za jednym razem otrzymała wiele ciosów.

- Życzę dobrej nocy, pani O'Connor - powiedział kapitan „Merry Dancer”. - I liczę, że rozumiesz, dlaczego podczas tej podróży nigdy więcej nie zaproszę cię do swojej kajuty. Nie mam życzenia więcej z tobą rozmawiać. Nie mam życzenia więcej cię widzieć.

- To życzenie z pewnością zostanie spełnione, sir - odparła Roza. - Dobranoc.

Kiedy kapitan opuścił kajutę, roztrzęsła się. Drżała tak, że nie mogła ustać na nogach. Trudno było pojąć wszystko, co powiedział.

W myślach powtórzyła cały przebieg rozmowy i jad, którym Hart ją obrzucił, zniknął. Przestał się liczyć. Ważne było to, co kapitan powiedział o chłopcu. O Daisy i Dawidzie. I o Andersie. Andrew...

Jak to możliwe, że to się stało, a ona nic nie wiedziała? Nie wyczuła tego? Nikt jej nie powiadomił?

Czy was nie ma?

Czy to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie?

Nierzeczywiste...

... Natalia...

... czy ja was zmyśliłam...

- Wchodzę!

Joe wsunął głowę w szparę w drzwiach.

- Pukałem kilka razy, ale ty chyba ogłuchłaś...

Roza popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Czyżbyś zobaczyła ducha? - spytał. - Taka jesteś błada. Powinnaś codziennie łyknąć choć trochę świeżego powietrza. Lily przecież tak spokojnie śpi.

Mógłbym cię zaprowadzić na pokład. Poczulałybyś się o wiele lepiej. Powinnaś też pójść ze mną do naszego drogiego kapitana. To prawdziwy łasuch. Owoce w cukrze były naprawdę pyszne. Pozwoliłem sobie napełnić nimi kieszenie z myślą o tobie...

Wysypał zawartość kieszeni kurtki na koję Rozy.

Roza palcem wskazującym zaczęła trącać jeden z owoców.

- One nie gryzą - powiedział Joe. - Ale ty mogłaś spróbować.

- On przyszedł tutaj mnie odwiedzić - powiedziała Roza. - Kapitan Hart. Powiedział mi, co o mnie myśli.

- Nie podobasz mu się? - zmarszczył czoło Joe, starając się jednocześnie utrzymać żartobliwy ton.

- Nie - odparła Roza. - Nie pytaj o nic więcej, Joe. Nie pytaj! On ma swoje powody. Usłyszysz całą historię mojego nędznego życia, zanim będziemy w połowie drogi do Irlandii, o to możesz się nie obawiać. Ale teraz nie chcę rozmawiać.

- Mam ramię dostatecznie szerokie, żebyś mogła się na nim wypłakać - odparł Joe.

- A zostaniesz dostatecznie długo, bym mogła to zrobić? - spytała.

Kiwnął głową.

- Tak długo, jak tylko zechcesz.

- Masz brandy u siebie w kajucie?

Joe potaknął, lecz tym razem z większym wahaniem.

- Przynieś!

Roza nic więcej nie powiedziała, kiedy więc cisza potrwała wystarczająco długą chwilę, zrobił tak, jak Roza prosiła. Przyniósł brandy i nalał i jej, i sobie.

- Wydaje mi się, że stosunkowo świeżo upieczona matka nie powinna zbyt dużo pić - stwierdził.

- Tak naprawdę chcesz powiedzieć, że kobiety w ogóle nie powinny pić - pokiwała głową Roza i nalała sobie już drugą szklaneczkę. Joe był zaledwie w połowie pierwszej.

- W zasadzie rzeczywiście tak uważam.

- Spotkałam kiedyś takich jak ty - powiedziała. - Były dni, kiedy piłam, żeby nie pamiętać twarzy mężczyzn, którzy płacili za moje ciało.

Joe zamarł ze szklanką w połowie drogi do ust, lecz pod wymownym spojrzeniem Rozy opróżnił ją i pozwolił nalać sobie nową porcję. Roza jego zdaniem piła już trzecią.

- To oczywiście na nic się nie zdało - podjęła. - Zapomnienie ich było niemożliwe, bo wszystkich ich znałam. To byli mężczyźni, z którymi pracował mój ojciec. Mężczyźni, których nazywał kolegami. Byli przyjaciółmi moich braci. Każdemu z nich codziennie podawałam jedzenie. Wszystkich ich znałam. Nie możesz zapomnieć twarzy, która ma imię. Nie można zapomnieć tych, których się zna. - Uśmiechnęła się. - Szokuję cię, Josephie. Nie całkiem wierzysz w to, co słyszysz. Masz ochotę poprosić, żebym się zamknęła, prawda? Nie chcesz wiedzieć, że ta, która była żoną twego świętego brata, była też dziwką. Mam rację?

- Czy Seamus o tym wiedział? - spytał Joe, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Roza pokręciła głową.

- Seamus i ja wiedzieliśmy o sobie dosyć. On nie chciał wiedzieć, dlatego nigdy mu o tym nie opowia-

dałam. Niepotrzebna nam była wiedza o naszym życiu w przeszłości, tej istniejącej, zanim się spotkaliśmy. Nigdy go nie błagałam, żeby mi opowiadał o kobietach, które były przede mną. Nigdy nie prosiłam, żeby opowiedział mi, czym się zajmuje. Nigdy nie prosiłam, żeby skończył z handlem niewolnikami...

Joe wypuścił powietrze przez zęby i nagle pożałował, że w butelce było tak dużo brandy. Nie był pewien, czy chce wiedzieć to, o czym Roza najwyraźniej pragnęła opowiadać.

- Nie chcesz tego wiedzieć, prawda? - domyśliła się. - Ty też nie masz ochoty poznać prawdy o mnie. Nie mylę się?

- Jestem twoim przyjacielem - odparł Joe i usiadł na koi obok Rozy.

Nie bał się jej. Wcale jej nie osądzał. Była dostatecznie dobra dla Seamusa. Tylko to miało jakiegokolwiek znaczenie. Sam nie żył w takiej czystości, by osądzać innych, a już zwłaszcza ją.

- Mogłabym ci opowiedzieć wszystko - Roza, mówiąc to, przysunęła się bliżej. - Ale ty nie chcesz słuchać - powtórzyła. - Ani trochę nie chcesz słuchać. Albo mógłbyś wziąć mnie w ramiona, Joe. Mógłbyś się ze mną kochać.

- Ty nie wiesz, co mówisz! - obruszył się.

Roza się uśmiechnęła. Nie była całkiem pewna, kim jest - Rozą czy Rosi. Uznała jednak, że to wcale nie jest takie ważne.

Kapitan Hart powiedział jej, kim jest. Wyglądał na człowieka, który zna się na rzeczy. Pewnie też i wiedział najlepiej.

Zabrała szklanke Joemu i odstawiła na stolik. Mo-

rze przez cały dzień było spokojne. Szklanka najpewniej się nie przewróci.

Joe był zbyt zamroczony i zaskoczony, żeby ją powstrzymać, kiedy zaczęła mu rozpinąć koszulę. Usiadła mu na kolanach i przycisnęła jędrne uda do jego bioder. Rozsunęła poły białej koszuli, rozbawionymi dłońmi zaczęła wodzić po nagiej piersi. Potem rozpięła swoją bluzkę i przycisnęła jego dłonie do piersi. Wargami nakryła usta, wyrażające sprzeciw.

... Wszyscy oni w końcu się godzą...

Kiedy dogoniła ją noc, Roza leżała w ramionach Joego. Wiedziała, że nie zbliżyli się ze sobą po raz ostatni.

... Wszystko jest lepsze niż samotność...